

Cliff Banks

Szczury

tunelowe

Tunnel Rats

Przełożył

Rafał Śmietana



Porucznik Scott Gaines siedział na podłodze helikoptera czując wibracje silnika i chrzęst olbrzymich łopat nad głową. Ciasno obejmując swój M-16 patrzył przez otwarty luk na przesuwające się jak w kalejdoskopie zielone piekło Wietnamu. Był styczeń 1966 roku, a on rozpoczynał właśnie drugą część służby. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat, lecz zaliczał się już do weteranów walk, dwukrotnie odznaczony Srebrną Gwiazdą, Brązową Gwiazdą i Medalem za Dzielność.

- Co o tym myślisz? - Bob Helms wrzasnął mu prosto do ucha. Był o rok starszy od niego, ale obaj mieli taki sam staż w Wietnamie. Od ponad roku służyli razem.

- Staram się w ogóle nie myśleć - mruknął Gaines.

Joe Gorman posłyszał, o czym mówili i natychmiast wtrącił swoje trzy grosze:

- Masz rację, chłopie. Od tego się ginie.

Wszyscy uśmiechnęli się krzywo. Byli ze sobą wystarczająco długo, by móc ufać i polegać na sobie. Ich wyczyny na północy Wietnamu były dobrze znane Amerykanom, ale i Wietkongowi, który, jak słyszeli, wyznaczył nagrodę za ich głowy. Trudno było się dziwić, skoro każdy z osobna był wystarczająco groźny. Jako oddział znacznie przyczynili się do odniesionych przez wroga strat w ludziach. Nie można powiedzieć, żeby któryś z nich był z tego szczególnie dumny, niemniej jednak przysięgali robić to, co do nich należy, a robili to dobrze. Wierzyli w swoją misję.

Ich patrol rozpoznawczy był małym, ale bardzo ważnym elementem operacji „Paraliż”, której zadaniem było uderzenie w samo serce maszyny wojennej Wietkongu i zadanie jej śmiertelnego ciosu, ogólnym zaś celem misji było zlikwidowanie znaczących sił wroga w okręgu sajgońskim.

Helikopter kierował się w stronę małej opuszczonej wioski Phu My Hung skulonej na brzegu rzeki Sajgon, na samym skraju dżungli. Gaines zauważył szeroką, brązową wstęgę leniwej rzeki wrzynającą się w zieleń drzew, dopiero gdy maszyna zaczęła podchodzić do lądowania. Okolica wydawała się zupełnie spokojna i opuszczona. Gaines wyskoczył z helikoptera, a w ślad za nim trzej pozostali, wszyscy z bronią gotową do strzału. Nie powitało ich nic prócz duszącego gorąca i tumanów pyłu wzbijanych przez śmigła helikoptera, natychmiast przylepiającego się do spoconych ciał.

Przed sobą mieli coś, co kiedyś mogło być plantacją kuczuku. Z rzadka porośnięta drzewami, nie była dla żołnierzy Wietkongu zbyt dogodnym miejscem na zastawienie pułapki. Z prawej strony znajdowała się wioska, spokojna, jak się mówiło.

Kiedy helikopter wystartował, Gaines ruszył przed siebie wiedząc, że pozostali idą za nim tyralierą. Nie przeszli nawet dwudziestu metrów, gdy doleciały ich ze świstem kule snajperów wzbijając małe fontanny pyłu dookoła. Gaines nie zauważył nikogo, na wszelki wypadek wystrzelił jednak w tamtą stronę cały magazynek i szybko przeładował. Z tyłu dochodził go terkot karabinów kolegów. Deszcz liści opadł z drzew kuczukowych i ogień przeciwnika zamilkł.

- Niech to szlag! - odezwał się Fletcher. - Gdzie oni są?

Rozglądali się wkoło, lecz widok specjalnie się nie zmienił. Rzadkie szeregi drzew z przodu i opuszczone chaty na prawo. Żadnego poruszenia, żadnego odgłosu.

- Muszą być gdzieś blisko - warknął Gorman.

- Pewnie kryją się gdzieś w tych chatach, co, Gorman? - zapytał ironicznie Helms.

- Dostaliśmy ogień z innej strony - zauważył Gaines.

Zamilkli na chwilę widząc, że ma rację.

- Tak czy inaczej musimy sprawdzić wioskę - zarządził Gaines. - Nigdy nic nie wiadomo.

W wiosce panowała niesamowita cisza, bambusowe chaty pokryte były pyłem i zasłonięte pajęczynami, jakby nigdy nikt w nich nie mieszkał. Zajrzeli do pierwszych dwóch czy trzech z brzegu. Nic.

- Nie rozumiem - mruknął Helms, kiedy ogień snajperów znów się odezwał.

Gaines odwrócił się, by spojrzeć na niego, i w tej samej chwili, jak w zwolnionym tempie, zobaczył kule strzepujące kurz z munduru Helmsa, zrzucające mu hełm, a potem krew z trzech ran, z czterech, pięciu... Nie żył, zanim zdążył upaść na ziemię.

Gaines i pozostali strzelali jak szaleni w stronę drzew i chat, ale nadal wydawało się, że nikt się za nimi nie kryje.

- Boże - wyszeptał Fletcher.

- Rozdzielamy się! - krzyknął Gaines. - Znajdziemy tych drani!

Resztką drużyny przeszła przez wioskę jak burza. Nic nie znaleźli. Gdy znajdowali się przy ostatniej chacie, usłyszeli znany już klekot karabinów. Gorman próbował skryć się za jedną z chat, lecz kula snajpera roztrzaskała mu kolano, jakby odstrzeliwując nogę w pół kroku. Padł ciężko na ziemię obracając się, by móc chwycić broń, a wtedy trafiły go inne kule dziurawiąc klatkę piersiową i szarpiąc bezlitośnie ciało.

- Widzę ich, do cholery, widzę! - wrzeszczał Fletcher.

Gaines spojrział we wskazanym kierunku, ale nie widział nic. Fletcher jednak musiał coś zauważyć, bo pobiegł nagle jak opętany w stronę kauczukowców strzelając przed siebie z biodra. Gaines puścił się pędem za nim i zobaczył snajperów - było ich trzech. Boże, chyba nie są tacy mali! Wyglądało jakby strzelali stojąc na ziemi, ale wystawali nad jej powierzchnię tylko o jakieś pół metra. Nie, nie z powierzchni ziemi, stali trochę wyżej. Niemożliwe, stali w okopie! Nic dziwnego, że nie można ich było zobaczyć! Teraz widział nawet bambusową osłonę. A więc tak! Wyskakiwali i chowali się jak na sprężynach. Przygarbił się w biegu i nacisnął spust mierząc nisko.

- Padnij! - krzyknął do Fletchera. Miał zamiar wezwać wsparcie z powietrza. Skoro było ich tam trzech, równie dobrze mogło być więcej. Fletcher nie słyszał albo był tak rozgorączkowany walką, że nie chciał się zatrzymać. Atakował tych, którzy zabili mu kolegów.

Za chwilę zabili i jego. Z miejsca, w którym leżał na ziemi, Gainesowi wydawało się, że kule rozpruły Fletchera na pół. Jego nogi jakby biegły naprzód, zaś korpus nagle został w tyle; palce zaciśnięte na spuście posłały w niebo ostatnią, bezużyteczną serię.

Wtedy w Gainesie coś pękło i skoczył na równe nogi. Dobrze wiedział, że robi coś zupełnie szalonego, ale przed chwilą był świadkiem śmierci trzech najlepszych żołnierzy jakich znał, trzech najlepszych przyjaciół. Nadszedł czas zemsty, której on miał być narzędziem. Kule przelatowały koło niego, gdy w biegu odbezpieczył granat zaczepiając zawleczkę o mundur na piersiach i z całej siły rzucił przed siebie. Snajperzy co prędzej wyskoczyli z okopu, nim ten stał się ich grobem. Dwóm się udało. Powietrzem wstrząsnął huk, Gaines zatoczył się, a trzeci snajper, bez nóg, wyleciał kilka metrów w powietrze przesycone dymem. Nie zatrzymał się w pogoni za dwoma pozostałymi, którzy tymczasem znaleźli się wśród kauczukowców. Nie widział ich zbyt dobrze. Mimo że drzewa nie rosły gęsto, nie było łatwo manewrować między nimi. Zobaczył ich, kiedy przystanęli, by otworzyć ogień w jego stronę. Padł natychmiast na ziemię i puścił serię, ale nie trafił. Gdy przestali, wstał i kontynuował pościg.

Wychynęli zza osłony drzew i wydawało się, że pobiegną w stronę rzeki leżącej za szerokim pasem pól ryżowych, lecz nagle zatrzymali się i skręcili w prawo. Zmiana decyzji dała Gainesowi dość czasu, by przystanąć na jedną serię z M-16. Drugi z Wietnamczyków dostał w bok i przewrócił się, tymczasem pierwszy odwrócił się i puścił długą serię z AK-47, która wytrąciła Gainesowi broń z ręki, to jednak nie wystarczyło, by go zatrzymać. Miał przecież jeszcze ręce i nóż. Prąc naprzód czuł, jak błoto ryżowiska czepia się butów. Był już

na tyle blisko, by zobaczyć strach malujący się na twarzy Wietnamczyka, strach człowieka ściganego przez kogoś, kto sam nie całkiem jest człowiekiem, kto pragnie tylko i wyłącznie zemsty.

Wietnamczyk strzelił znowu i Gaines poczuł tępe uderzenie w ramię. Nie zważał na nie, a kiedy znalazł się wystarczająco blisko, rzucił się prosto na wroga. Nim obaj zwałili się w błoto, Gaines zdołał przedtem wydrzeć mu karabin i odrzucić na bok. Teraz chciał tylko dobrać się gołymi rękami do jego szyi i wycisnąć z niego życie. I patrzeć mu przy tym prosto w oczy. Wietnamczyk był niewiele mniejszy od Gainesa, który przy wzroście około metr siedemdziesiąt ważył niespełna siedemdziesiąt kilo. Byli godnymi siebie przeciwnikami - Gaines walczył z furią mściciela kolegów, a Wietnamczyk - o własne życie. Gaines usiadł na nim okrakiem i wyrznął go pięścią w twarz, po czym odnalazł szyję i zaczął dusić. Wietnamczyk nie zamierzał poddać się bez walki. Udało mu się wyprostować ręce i próbował sięgnąć mu do gardła, jednak Gaines miał nad nim przewagę długości rąk. Trafił na ranę na ramieniu Gainesa, wbił w nią palce i szarpał zawzięcie. Gaines, przeszyty potwornym bólem skurczył się, a Wietnamczyk korzystając z okazji wyślizgnął się spod niego jak piskorz. Amerykanin rzucił się za nim i nadział się na silne kopnięcie w twarz. Z zalanymi krwią oczyma i zmiażdżonym nosem udało mu się chwycić Wietnamczyka za nogę i dobył noża, podciągając jednocześnie wroga ku sobie. Ręka Wietnamczyka powędrowała ku kaburze zawieszanej na pasku, skąd wyciągnął rewolwer. Gaines kątem oka dostrzegł, że lufa nie jest zatkana. W ułamku sekundy puścił go i poczuł, jak kula otarła mu się o skroń. Nagle wszystko zabarwiło się na czerwono - niebo, błoto, woda - wszystko. Ugięły się pod nim kolana.

Snajper wstał, otarł oczy i wycelował w Gainesa, który patrzył bez ruchu, jak palec wroga naciska powoli na spust, wtedy nagle przypomniał sobie o nożu, który ciągle ścisnął w prawej dłoni. Rzucił prawie od niechcenia, ostrzem do przodu. Usłyszał najpierw krzyk, potem wystrzał i odgłos ciała padającego ze stłumionym pluskiem w błoto.

Gaines czekał, aż świat wróci do normalnych barw i rozmiarów, lecz nie miało to prędko nastąpić. Głowa pulsowała w rytmie serca na przemian kurcząc się i puchnąc. Z wysiłkiem podszedł do miejsca, gdzie zniknął Wietnamczyk. Zauważył, że jego ciało znalazło się w czymś, co przypominało długi rów, jakby część podziemnych umocnień. Kilkakrotnie zamrugał oczyma, by widzieć wyraźniej, zamiast tego jednak zakręciło mu się w głowie. Nogi zadrżały mu w kolanach, osunął się na ziemię i omal nie wpadł do rowu. Zorientował się, że ktoś do niego strzela, próbował się podnieść, biec, uciekać, ale nie mógł ruszyć się z miejsca. Usłyszał warkot helikopterów i klekot pokładowych karabinów maszynowych

mierzących w kogoś, kto do niego strzelał. Kto, do jasnej cholery, mógł do niego strzelać? Gdzie jest ten diabelski Wietkong? Przecież sprawdzili całą wioskę i nikogo nie znaleźli. Wtem coś trafiło go w plecy tuż nad łopatką i przestał się zajmować wioską. Upadając w ciemność przestał się martwić o cokolwiek.

Gaines był już dawniej w ciemnościach. W stanie Montana, gdzie się urodził i wychowywał, było wiele porzuconych kopalń złota, pochodzących z czasów Virginia City. Było w nich coś takiego, co przyciągało go, intrygowało i nie dawało spokoju. Może romantyczne czasy gorączki złota, może fakt, że czasami w czeluściach ziemi znajdowano olbrzymie fortuny, a może wreszcie dlatego, że jego ojciec był inżynierem górnikiem.

Cokolwiek to było, jako nastolatek spędzał w nich prawie cały swój wolny czas. Czołgał się i odkrywał na nowo tunele i przejścia wykopane tak wiele lat wcześniej przez ludzi żądnych przygody i bogactwa. Nie było to zajęcie bezpieczne, nic więc dziwnego, że rodzice nie byli z tego zadowoleni.

- Czynna kopalnia to zupełnie co innego - mawiał ojciec - zabawa w starych szybach jest niebezpieczna jak sam dynamit, poza tym bez pozwolenia wchodzisz na ziemię, która jest własnością kogoś innego. Jak cię kiedyś złapią, trudno powiedzieć, co ci mogą zrobić.

Gaines nie czuł się bynajmniej onieśmielony z tego powodu i kontynuował swe poszukiwania. Lubił przebywać pod powierzchnią ziemi, z dala od kłopotów, lubił czuć pod dłonią gładką lub chropowatą powierzchnię skały, chłód i cisza jaskiń miały nań kojący wpływ. Czasami głęboko pod ziemią wyłączał latarkę i siedział w zupełnej ciemności czując ciężar tysięcy ton ziemi nad głową. Podziemne korytarze wydawały mu się najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

Nieraz słyszał, jak ojciec śpiewa starą, dość smutną piosenkę o pracy górników wydobywających co prawda węgiel, ale i tak dającą wgląd w warunki pracy pod ziemią. Ale Gaines nigdy nie czuł się tam smutny, bez względu na to, jak dziwne wydawało się to innym. Na przykład nigdy nie mógł wyciągnąć nikogo z kolegów na chociaż jedną podziemną wyprawę.

- Zejdiesz tam, zapadnie się wyjście i co wtedy? - pytał jego kolega Larry Farley. - Będziesz w potrzasku, bez jedzenia, bez wody, aż umrzesz. Nie prosz mnie nigdy, żebym z tobą szedł.

- Właśnie - mówił Grant Tolden - tam się aż roi od nietoperzy. Pomyśl o nich, srają na wszystko, przenoszą rozmaite zarazki. Jeszcze się kiedyś nabawisz wścieklizny, czy czegoś gorszego.

Mimo to Gaines kiedy tylko była po temu okazja, wchodził do szybów.

Kiedy skończył szkołę średnią, zapisał się na studia górnicze, bo wiedział, że chce spędzić resztę życia w kopalni. Studia okazały się niewypałem. Od samego początku Gaines okazał się zbyt niezależny, nie pociągały go teoretyczne rozważania i wzory matematyczne, chciał być w kopalni i odkrywać ją dla siebie.

Zadecydował więc, że będzie pracował na własną rękę. Kupił i miał zamiar doprowadzić do stanu używalności jakąś starą kopalnię, w której miał nadzieję znaleźć dość złota pozostawionego przez pierwszych poszukiwaczy, by utrzymać się i trochę zaoszczędzić. Miał wszakże kłopoty ze znalezieniem chętnych na sfinansowanie przedsięwzięcia, aż pewnego dnia dostał pieniądze i to z całkiem nieoczekiwanego źródła. Ojciec postanowił się do niego przyłączyć.

- Mam dość pracy dla innych - powiedział. - Przez tych parę lat odłożyłem co nieco i chyba czas najwyższy, żebym zaczął coś robić dla własnej przyjemności. A niech tam, spróbujmy.

I spróbowali. Z początku było wiele bardzo ciężkiej pracy i żadnych dochodów, ale przywrócili kopalnię do stanu używalności - uruchomili kolejkę podziemną i zainstalowali nowoczesny sprzęt. Po jakimś czasie znaleźli nawet niewielką żyłę złota, która dała im pewność, że jest go więcej. Zaczynało być coraz lepiej, ale właśnie wtedy opuściło ich szczęście.

Zawał nie zdarzył się z niczyjej winy, był po prostu jednym ze zjawisk geologicznych, które przychodzą bez wiadomego powodu. Pracowali obaj niedaleko żyły w miejscu, gdzie wszystkie stemple były tak nowe, że czuło się zapach świeżego drzewa. Jeden z nich musiał mieć w sobie jakąś rysę, coś, czego nie dało się zauważyć, i nie wytrzymał. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnego wstrząsu, zupełnie nic, aż nagle z okropnym łoskotem stempel pękł i wszystko runęło na nich. Hałas był tak wielki, że Gaines nie słyszał głosu ojca. Miał w ustach tyle ziemi, że sam nie mógł wypowiedzieć ani słowa. Nogi przygwoździły mu do szyn odłamki skał i stempli. Nie wiedział, gdzie jest ojciec. Wszystkie światła, które powiesili w tunelu, zgasły. Było bardzo ciemno, lecz ciemność nie była już przyjazna ani spokojna. Rozmyślał wtedy o tym, co mówili mu koledzy, o śmierci z głodu i pragnienia, lecz najbardziej martwił się o ojca. Kiedy wypluł wszystko z ust, przez długi czas nawoływał, ale żadna odpowiedź nie nadchodziła.

Wtedy zaczął walkę ze skałami, i po wielu godzinach udało mu się uwolnić od nich nogi, lecz nie dał rady usunąć stempla, którego jeden koniec nadal przytrzymywany był przez skały, zaś drugiego nie mógł dosięgnąć, choć próbował do zupełnego opadnięcia z sił. Leżał

w ciemności myśląc o ojcu. Wiedział, że nie zobaczy go więcej.

Nie umarł z głodu i pragnienia. Matka wiedziała dokładnie, gdzie jest, więc wyprawa ratunkowa dotarła do niego na drugi dzień. Nie był nawet poważnie ranny, nie licząc złamanej nogi, licznych potłuczeń, siniaków i zupełnie otartych z naskórka dłoni, którymi usuwał skały z nóg. Jego ojca nie dało się jednak uratować. Nie było wątpliwości, że zginął pod zwałami skał.

- Musieli go tak zostawić. - powiedziała mu matka w szpitalu. Jej oczy były suche i twarde jak gład. - Nie byli w stanie go nawet odkopać. Powiedziałam im, żeby przestali, że sam by sobie tego życzył. Trudno byłoby znaleźć dla niego lepsze miejsce spoczynku.

Potem rozplakała się. Gaines przytulił ją do siebie, aż się uspokoiła. Otoczony ostrym zapachem środków dezynfekujących, patrząc na ściany chłodnego pokoju, obiecał sobie, że nigdy więcej nie zejdzie do żadnej kopalni.

Dwa miesiące po wyjściu ze szpitala dostał powołanie do wojska.

Po przyjsciu do siebie wyczuł znajomy zapach szpitala. Tym razem na sali nie było chłodno, a on sam leżał w otoczeniu innych mężczyzn. Niektórzy po prostu leżeli, inni czytali książki, jeszcze inni siedzieli na łózkach i spoglądali na ściany na coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć.

Gaines czuł tępy ból w głowie i próbował podnieść prawą rękę, ale nie udało się. Nie miał w niej czucia. Spróbował lewą. Była w zdecydowanie lepszej formie niż prawa i dotknął nią głowy, grubo zabandażowanej. Wtedy przypomniał sobie wszystko - opuszczoną wioskę i snajperów wynurzających się nie wiadomo skąd, śmierć przyjaciół. Na wspomnienie Helmsa, Gormana i Fletchera chwycił go skurcz żalu i próbował wstać. Musiał komuś powiedzieć, że chce stąd wyjść, że musi walczyć dalej. Teraz było to coś więcej niż obowiązek. Sprawa osobista, śmierć ludzi, którzy oddaliby za niego życie, gdyby zaszła taka potrzeba. Opadł z powrotem na łóżko. Nie miał jeszcze dość sił.

- Niech pan nie przesadza, panie poruczniku - powiedział głęboki głos opodal łóżka.

Gaines podążył wzrokiem w jego kierunku i ujrzał kapitana - wysokiego mężczyznę z wymiętą twarzą, stojącego na baczność jak podczas parady. Nawet jego koszula wyglądała na świeżo wyprasowaną.

- Jestem kapitan Harrison Carter - głos odezwał się znowu.

Gaines, któremu wciąż kręciło się w głowie, spróbował zaszutować.

- Doceniam to, ale proszę się nie przemęczać.

Gaines skinął lekko głową.

- Wiele się o panu dowiedziałem przez tych parę dni, poruczniku - ciągnął Carter - i wygląda na to, że w przyszłości będziemy razem współpracować. Właśnie przechodziłem i postanowiłem zajrzeć do pana, ale nie sądziłem, że odzyska pan przytomność. Nie przeszkadzam, stawi się pan u mnie, jak pan całkiem wydobrzeje.

Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Gaines nie bardzo wiedział, co się dzieje, z jednego wszakże zdawał sobie sprawę - w każdym jego słowie i ruchu widać było, że traktuje regulamin jak biblię. Kapitan Carter był żołnierzem, którego on był dokładnym przeciwieństwem. Nie, idąc do wojska wcale nie miał oporów. Czuł, że choć Ameryka może nie mieć racji angażując się w wojnę w Wietnamie, należy pomóc ludziom walczącym z wrogiem. Odbił nawet kurs oficerski, rzecz jasna nie bez przygód. Musiał bardzo się starać, by chociaż trochę nagiąć własną niezależność do wojskowej dyscypliny. Udało się, lecz nigdy nie został dowódcą działającym zupełnie zgodnie z zasadami sztuki. Jeżeli zasady w czymś mu przeszkadzały, doskonale potrafił je omijać. Carter był inny, to wyczuł od razu. Coś tu nie grało.

Wkrótce przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie, bo zapadł w głęboki sen, w którym znalazł się z powrotem w kopalni.

3

Ulice Sajgonu parowały po niedawnym deszczu, którego resztki płynęły strumieniami w rynsztokach lub stały olbrzymimi kałużami na ulicy. Powietrze przesycone było wilgocią.

W mieście tłoczno było od ludzi na motocyklach, rowerach czy po prostu na nogach, co jakiś czas można było nawet dostrzec samochód lub jeepa z trudnością przeciskające się przez tłum. Gaines ciągle nagabywany był przez żebraków i małych chłopców twierdzących, że oferują usługi swych siostr. Zaczynał się zastanawiać nad słowami kapitana Cartera, który polecił mu zameldować się u siebie natychmiast po wyjściu ze szpitala, jednak Gaines miał uczynić to nie w bazie, lecz pod pewnym adresem w jednej z gorszych dzielnic miasta, jakich wiele w Sajgonie.

Wreszcie znalazł. W obskurnym budynku znajdował się bar, w którym równie łatwo można było się upić, co dostać nożem w plecy. Gaines nie mógł uwierzyć, że jest we właściwym miejscu.

Wszedł do ciemnej, pozbawionej elektryczności sali, gdzie śmierdziało jak w rynsztoku. Było niewielu klientów, w tym dwóch amerykańskich żołnierzy, jeden z nich leżał z twarzą na kontuarze, a drugi rozwalony przy stoliku, zapity do nieprzytomności lub martwy, Gaines nie mógł z pewnością stwierdzić czy jest tak czy tak. Nikt inny nie interesował się nimi.

Stojące przy barze dziewczynki do wynajęcia spojrzały z nadzieją na wchodzącego. Dziewczynki nie było tu właściwym słowem, były bowiem przynajmniej dziesięć lat starsze od niego i niezbyt atrakcyjne. Rozejrzał się po norze przekonany, że jednak musiał się pomylić.

Mimo to okazało się, że jest we właściwym miejscu. Barman, niski, zupełnie łysy mężczyzna z opaską na oku pomachał do niego dyskretnie ręką i wskazał na drzwi wiodące na górę. Korytarz kończył się jednymi drzwiami. Gaines zapukał.

- Wejść - odpowiedział głęboki głos kapitana Cartera.

Gaines otworzył drzwi i wszedł do pokoju o krańcowo odmiennym wyglądzie niż sala na dole. Na podłodze leżał dywan, powietrze było chłodne, świeże i co ciekawe, zupełnie pozbawione much, od których roiło się na dole. Carter siedział za metalowym biurkiem. Po obu stronach miał zamykane na klucz szuflady. W tej samej chwili Gaines zwrócił uwagę na

coś dziwnego - w pokoju nie było okien.

- Niech pan siada, panie poruczniku, niech pan siada.

Carter wskazał na rachityczne krzesło, jedyny mebel w pokoju oprócz biurka i drugiego krzesła, na którym sam siedział.

Gaines usiadł z obawą, czy krzesło wytrzyma. Wytrzymało, lecz siedziało się na nim nadzwyczaj niewygodnie.

- Widzę, że dobrze się panem zajęli w szpitalu i jest pan już zupełnie zdrowy - zagadnął kapitan.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział Gaines. Mówił prawie całą prawdę. Wszystkie rany zagoiły się, lecz wewnątrz paliło go pragnienie zemsty, jednak nie sądził, by kapitana Cartera mogło to zainteresować.

- Znakomicie - powiedział Carter i rozglądnął się po pokoju. - Zapewne zastanawia się pan, dlaczego zaprosiłem go na spotkanie w tak luksusowym miejscu.

- To prawda - przyznał Gaines.

Carter wstał i założył ręce do tyłu. Wydawał się wyższy, niż pamiętał Gaines, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szeroki w ramionach.

- Pracuję w wywiadzie - oznajmił Carter - a mówiąc dokładniej jestem dowódcą sekcji rozpoznania i wywiadu pierwszego batalionu wojsk inżynieryjnych Pierwszej Dywizji Piechoty.

- Wielka Czerwona Jedyńka - przerwał Gaines.

- Tak jest. Doszedłem do wniosku, że w mojej pracy dobrze jest mieć takie miejsce, o którym nikt nie wie.

- Czy Jedyńka bierze udział w operacji „Paraliż”? - zapytał Gaines.

Carter spojrzał nań ostro:

- Oczywiście, chyba jest pan na tyle domyślny?

- Mam nadzieję, że tak.

- To dobrze. Będzie pan potrzebował całej swojej inteligencji.

- Wypadłem z obiegu - powiedział Gaines. - W szpitalu niezbyt dużo mówiło się o tym, co się dzieje. Jak wypadła operacja?

Carter usiadł z lekka przygnębiony.

- Całkowita klęska - przyznał. - Mieliśmy za zadanie usunąć wroga z teatru działań i nie udało się, chcieliśmy podciąć Wietkong u samych korzeni, a tymczasem to oni nas dostali. Wykorzystaliśmy wszystkie nasze doświadczenia w zakresie technik wyszukiwania i niszczenia wroga, a dostaliśmy kopa w dupę.

Gaines nie oczekiwał tak szczerzej odpowiedzi na swe pytanie, więc zdecydował jeszcze trochę wybadać kapitana.

- Co się stało? Jak mogliśmy tak spieprzyć robotę?

- Rozpoznanie było do dupy - warknął Carter. - Ani moja wina, ani nikogo innego. Skąd mogliśmy wiedzieć! - walnął pięścią w stół i zaklął: - Cholera by to wzięła!

Gaines skłonny był się założyć, że do wyprowadzenia z równowagi człowieka takiego jak Carter potrzeba czegoś rzeczywiście dziwnego. Zastanawiał się, co było nie tak z operacją „Paraliż” i nagle zdał sobie sprawę, że mogło to mieć jakiś związek z nim i z tym, co wydarzyło się w wiosce Phu My Hung, ze śmiercią jego kolegów.

- Ale co się właściwie stało? - zapytał.

- Skopali nam dupę i tyle. Po prostu mieliśmy przeciwko sobie gromadę ludzi, którzy walczyli w sposób odmienny od tego, do czego byliśmy przyzwyczajeni. Pieprzony Wietkong pojawiał się nagle w samym środku oddziału, strzelał, co miał do wystrzelenia i ślad po nich ginął. To tak jakby próbować walczyć z duchami.

- Jak oni to robili? - Gaines przeszedł wreszcie do pytania, na którym bardzo mu zależało.

- Tunele.

- A niech to - pokiwał głową Gaines. - Pieprzone tunele. - Zorientował się, że wiedział o tym, że podświadomie domyślał się tego. Przypomniał sobie wtedy ostatnią rzecz, na którą padł jego wzrok, nim stracił przytomność w wiosce - jakiś wykop czy fosa. Oczywiście, to musiała być część tunelu.

- Mogły zachować się tu z czasów wojny z Francją - mówił dalej Carter. - Ale nie wiedzieliśmy o tym. System podkopów i tuneli jest teraz z pewnością bardziej rozbudowany, niż moglibyśmy przypuszczać. Jednak udało nam się co nieco dowiedzieć, a teraz czas coś z tym zrobić.

- Co?

- Tu właśnie pan wkracza do akcji - poinformował go Carter.

Resztę dnia spędzili przeglądając plany w pokoju Cartera.

- Wierzchnia warstwa ziemi w tych okolicach doskonale nadaje się na wszelkiego rodzaju podkopy - wyjaśnił Carter. - Składa się głównie z gliny przemieszanej trochę z piaskiem. Ściany dobrze się trzymają, a nawet są trochę porowate i przepuszczają powietrze.

Wietkong nie mógł jednak polegać jedynie na przepuszczalności gliny i Carter pokazał mu, w jaki sposób kopano szyby wentylacyjne.

- Nie mogą się skarżyć na przeciągi, ale do przeżycia zupełnie wystarczy. Są specjalnie przystosowane do tego, by uniemożliwić spenetrowanie przez wroga - kontynuował Carter. - W żadnym miejscu nie są szersze niż metr, zwykle znacznie węższe, a sklepienie rzadko osiąga wysokość metra osiemdziesięciu. Najczęściej jest na wysokości około osiemdziesięciu centymetrów. Tym z Wietkongu wystarcza to w zupełności, bo mają mniejszych ludzi niż my czy Francuzi.

Carter wyciągnął z szuflady kolejny rysunek i rozłożył go na biurku.

- Nawet jak znajdziemy tunel i chcielibyśmy tam wysłać naszego człowieka, kłopoty dopiero się zaczynają. W tunelach są zapadnie prowadzące z jednego poziomu na drugi, ukryte tak dobrze, że prawie nie można ich znaleźć. Wystarczająco dobrze są zamaskowane na powierzchni, a co dopiero tam, po ciemku. Tak ciasno pasują, że można się nad nimi przeczołgać nie zauważając niczego. Zostają jeszcze pułapki, miny, ostre drewniane kolce, co pan chce. Aż roi się tam od skorpionów, jadowitych węży i wielkich mrówek.

- Wygląda na to, że powinni mieć z nimi takie same kłopoty jak my - wtrącił Gaines.

- Pewnie, jak się tylko na nie natkną, ale oni dobrze wiedzą, gdzie lepiej nie chodzić. My nie.

- Dlaczego by tak nie spuścić paru granatów i wypieprzyć ich do diabła? - zastanawiał się Gaines.

- Nie patrzy pan uważnie na rysunki - powiedział Carter stukając palcem w blat biurka. - Tam prawie się nie da strzelić do nikogo. Wszystko jest poskręcane jak jelita. Niech pan patrzy, zakręcają o sześćdziesiąt stopni i więcej. Można odbezpieczyć granat, a oni dadzą nura za zakręt i siedzą bezpieczni jak u pana Boga za piecem.

- Gaz? - zaproponował Gaines.

- Tegośmy też próbowali, ale zakręty i zapadnie blokują rozchodzenie się gazów.

- Do diabła.

- Właśnie.

Carter wyjął następną planszę.

- Aż trudno uwierzyć, co tam mają pod ziemią: szpitale, kuchnie, składy ryżu, magazyny broni. Nawet teatry, żeby aktorzy mogli podtrzymać ducha żołnierzy.

Gaines potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie. Powiem więcej, zlokalizowaliśmy małą odlewnię, gdzie robili miny.

Gaines usiadł na krześle próbując przetrawić to, co powiedział mu kapitan.

- Prawdziwe miasto - rzekł powoli.

- Nie całkiem. Jest tam ciemno i wilgotno. Kiedy gotują, jest też trochę dymu. Normalni ludzie powiedzieliby, że nie da się żyć w takich warunkach.

- I są tam, odkąd wkroczyli Francuzi?

- Tunele owszem. Poza tym ich sieć jest teraz znacznie bardziej rozległa.

- Ale znaleźliście je teraz - powiedział Gaines. - Czyli już po wszystkim.

- Właśnie że nie - przerwał ostro Carter. - Sprawa dopiero się zaczyna.

Gaines nie zrozumiał.

- Wiemy tyle o tych tunelach, bo dostały nam się w ręce dokumenty i plany. Udało nam się też spenetrować dwa z nich, ale to wszystko. Bóg jeden wie, ile tam tego mają, setki, może tysiące.

Gaines patrzył na kapitana bez wyrazu.

- Mówię panu prawdę. Nie odkryliśmy nawet dziesiątej części tego, o czym wiemy, że istnieje.

Przerwał na chwilę i zaczął chodzić po pokoju.

- Mam nadzieję, że wie pan, co to oznacza?

- Nie całkiem, panie kapitanie - odparł Gaines.

- Oznacza to, że mamy do czynienia z wrogiem, który może walczyć, nawet kiedy zajęliśmy jego terytorium. Może wycofać się do tuneli i stamtąd prowadzić walkę, a nam się wydaje, że spacyfikowaliśmy całą okolicę. Może pojawić się wszędzie, zrobić co ma do zrobienia i zniknąć tam, gdzie nie możemy go ścigać.

Gaines pomyślał o tym, co przydarzyło się Fletcherowi, Gormannowi i Helmsowi.

- Nie wierzę.

- Przecież widział pan to na własne oczy.

Gaines nie mógł zaprzeczyć. Wszystko brzmiało tak nieprawdopodobnie jak wzięte z filmu science-fiction.

- A nawet jak uwierzę, co ja mam z tym wspólnego?

- Będzie pan pracował dla mnie - powiedział Carter.

- Co? - wykrzyknął Gaines i zreflektował się: - Słucham, panie kapitanie?

- Proponuję panu pracę, panie poruczniku.

Gainesowi niezbyt się to podobało. Chciał wrócić do walki, by pomścić kolegów, ale nie bardzo przemawiała do niego propozycja człowieka takiego jak Carter. Mimo wszelkich wyróżnień, jakie otrzymał i doświadczenia w walce nie chciał mieć nic wspólnego z jakimś oficerkiem z tyłów. Carter postępował według przepisów, Gaines szedł za głosem intuicji. Był pewien, że Carter nie zrozumie jego osobistych motywów, a nawet gdyby - nie spodobają mu

się. Oczywiście nie musiał mu się z nich zwierzać. Zdecydował, że dobrze byłoby wybadać kapitana jeszcze trochę. Ze swej strony Carter również nie był pewien Gainesa, ale wiedział jedno - że go potrzebuje.

- Sprawy mają się tak - zaczął Carter. - Miałem zamiar stworzyć kilka drużyn, które zajmą się „problemem tunelu” i natknąłem się na pana nazwisko.

Gaines wiedział dlaczego. Był w Szkole Saperów. Takie rzeczy po prostu były w kartotece.

- Uprzedzam pana - Carter mówił dalej. - Dostaje pan najbrudniejszą robotę w całej tej brudnej wojnie. Będzie się pan musiał czołgać w ciemnościach po wąskich tunelach, szukać przejść, które istnieją lub nie, a Wietkong może pana zaatakować z przodu, z tyłu, z góry lub z dołu. W towarzystwie nietoperzy, mrówek i innych takich. Będą na pana czekały pułapki. Miejsca będzie niewiele. Nie należy pan do gigantów, to trzeba przyznać, ale jest pan wytrzymały, do tego powinien pan być jeszcze przewidujący.

Gaines zrozumiał teraz, że nie miał racji mówiąc Helmsowi, że myślenie zabija. Gdyby wtedy pomyślał, Helms mógłby żyć.

- Będzie pan dowódcą drużyny - kontynuował Carter. - Specjalnie dobranych ludzi. Waszym zadaniem jest dostać się do nich tam, pod ziemią. Misja objęta jest ścisłą tajemnicą, a ja koordynuję całość. Dostaniecie konieczne wsparcie, ale przede wszystkim zdani będziecie na własne siły.

- Do tego nie wszyscy się nadają - zaproponował Gaines.

Carter uśmiechnął się i nie był to najprzyjemniejszy widok.

- Poradzi pan sobie, jak sądzę.

- W tym się zgadzamy. Zastanawiałem się tylko, czy znajdą się inni chętni. - Gaines odwzajemnił uśmiech.

- Oczywiście, mam już paru. Bez pańskiego doświadczenia w pracy pod ziemią, ale są do pana podobni. Niespecjalnej postury, ale twardzi. A do tego niebezpieczni.

- Ilu w sumie?

- Czterech, razem z panem. Jeden z nich był kiedyś w Wietkongu i przeszedł na naszą stronę. Zna tunele lepiej niż ktokolwiek z nas. Sam je kopał.

Pewnie, pomyślał Gaines, pieprzony żółtek. Ale nie miało to dla niego znaczenia, wiedział, że się zgadza. Obiecał sobie kiedyś, że nie wróci pod ziemię, ale co tam. Teraz będzie wiedział, co się dzieje, Wietkong zapłaci za trzech zabitych kolegów. Spojrzał przelotnie na Cartera.

- Jestem do pana dyspozycji - powiedział.

4

Major Pham, dowódca lokalnego oddziału Wietkongu, cicho wprowadził swych ludzi do wioski. Jedynym słyszalnym odgłosem był „Tieng Goi Thanh Nien” - hymn Północnego Wietnamu, który nucił pod nosem.

Choć mieszkańcy wioski nie wiedzieli o tym, zajmowali bardzo ważne położenie strategiczne - tylko pięć kilometrów od kompleksu tuneli, bazy Phama, skąd miała wyruszyć ofensywa połączonych sił Armii Północnego Wietnamu i Wietkongu. Pham wpadł na pomysł, by upewnić się, że wieśniacy nie będą w niczym przeszkadzali.

Mężczyźni zajęci byli oraniem pól ryżowych drewnianymi pługami zaprzężonymi w woły, kobiety przygotowywały posiłek z ryżu i ryb, a dzieci bawiły się głośno goniąc psy lub bijąc między sobą.

Pierwszy zobaczył ich starzec. Nguyen Minh siedział przed swą chatą wspominając dni, kiedy tak jak chłopcy biegał i bawił się, a później zgodnie z kolejną rzeczą uprawiał pola. Wszystko to minęło tak dawno, że sam nie był pewien kiedy. Od lat nie był zdolny do pracy. Jego mięśnie były słabe, jego kości kruche, lecz wiek i mądrość zapewniały mu szacunek i honorowe miejsce w społeczności.

Zadrzał, kiedy ujrzał żołnierzy, wiedział bowiem, że nie wróży to nic dobrego ich wiosce. Sam był zdania, że Wietkong nie wróżył nikomu nic dobrego pomimo ustawicznych deklaracji. A do tego jeszcze Armia Ludowa, Armia Północnego Wietnamu. Minh roześmiał się na wspomnienie nazwy, która nic nie znaczyła. Armie nie istniały dla ludzi, lecz przeciw nim i ta była taka sama, bez względu na to, co mówili.

Wkrótce wszyscy zauważyli nadchodzących i cała wioska ucichła. Dzieci przybiegły do matek, które zaraz odprowadziły je do chat. Mężczyźni przerwali prace, by wrócić do swych żon. Podobnie jak Minh wiedzieli, że żołnierze nie oznaczają nic dobrego.

Gdy Pham wkroczył do wioski, Minh wstał, by go przywitać. Jako najstarszy mężczyzna, był nieoficjalnym przywódcą wioski.

Spotkali się na głównej ulicy - ścieżce wygładzonej bosymi stopami wielu pokoleń. Obaj mężczyźni byli niewysocy i na tym kończyło się podobieństwo między - nimi. Minh był stary i przygarbiony, z siwą broda i wąsami. Miał na sobie podniszczony kaftan. W jego oczach mieszkała mądrość.

Oczy Phama promieniowały okrucieństwem. Choć dzień był gorący, a powietrze ciężkie od wilgoci, jego mundur wyglądał jak prosto spod igły. Miał krótko przystryżone włosy i wąsy, a kiedy się uśmiechał, odsłaniał przerwę między zębami, która jednak miał czynić go zabawnym, potęgowała wrażenie okrucieństwa. Minh nie okazywał strachu, mimo iż czuł go we krwi. Wiedział, co przynosi Pham.

- Witam cię, starcze - zaczął Pham. - Przynosimy wam wielki dar.

- Jaki to dar? - Minh przestraszył się jeszcze bardziej, lecz próbował opanować drżenie głosu.

- Dar nauki - odparł Pham nie przestając się uśmiechać.

Minh zmusił się do uśmiechu.

- Czegóż więc pragniecie nas nauczyć?

- To proste. - Głos Phama przeszedł z udanej dobrotliwości w jadowity syk. - Dowiedzieliśmy się, że wasza wioska sprzyja wrogom ludu. Przyszliśmy was nauczyć szacunku dla kraju i uświadomić konsekwencje dla tych, którzy bratają się z jego wrogami.

- Nie wiemy nic o żadnych wrogach - powiedział Minh pewien, że zaszło jakieś nieporozumienie. Może nie miał się o co martwić, żołnierze po prostu pomylili wioski.

Odwrócił się i objął ruchem ręki całą wioskę.

- Nie ma tu żadnych wrogów, są tylko nasi ludzie, mieszkańcy wioski. Uprawiają ziemię, jeżdżą, śpią. - Minh uśmiechnął się. - Jak zawsze.

- To twoje zdanie. - warknął Pham. - Ja mówię, że ci ludzie współpracują z wrogiem, a ty pomagałeś żołnierzom, którzy przybyli tu, by odebrać nam wolność.

Minh spojrział na majora nie rozumiejąc. Ludzie w jego wiosce zawsze byli wolni. Nikt z zewnątrz ich nie odwiedzał, Minh nie wiedział nawet, o jakim wrogu mówi Pham i powiedział to głośno.

- Nazwałeś mnie kłamcą, starcze - krzyknął Pham.

- Nie - odparł Minh. - Na pewno zaszła jakaś pomyłka.

- Nie ma żadnej pomyłki - Pham wyjął z kabury pistolet. - Ja się nigdy nie mylę.

Przytknął lufę do głowy Minha i nacisnął spust. Kula przebiła czoło starca, a z tyłu wyrwała kawał mózgu pomieszanego z krwią.

Jedna z kobiet zaczęła krzyczeć, gdy ciało Minha zważyło się w pył. Niektórych ludzi ogarnęła panika i próbowali uciekać. Pham rozkazał swoim ludziom strzelać w powietrze. Na odgłos wystrzałów biegnący zatrzymali się, zaś żołnierze zbierali ludzi w jedną wielką grupę.

- Przeszukać wszystkie chaty - rozkazał Pham. - Nie pozwólcie nikomu uciec.

Żołnierze bardzo się starali wiedząc, co spotkałoby ich ze strony Phama, gdyby coś

przeoczyli. To samo, co miał zamiar zrobić za chwilę z mieszkańcami wioski.

Frank DeLuca miał długi staż więzienny zważywszy na to, że miał dopiero dwadzieścia jeden lat. Gdy wyrastało się w Roxbury, na południu Bostonu, w więzieniu bywało się dość często, przynajmniej tak mu się zdawało. Inni mogli być odmiennego zdania, ale zwykle były to mięczaki, których DeLuca rozkładał jednym szybkim ciosem. Tacy zaśmiecali tylko okolicę swoimi zębami i nigdy nie przestawali się oglądać, kto za nimi idzie. Najczęściej był to ktoś jego pokroju.

Frank DeLuca nie musiał się za siebie oglądać. Niechby tylko ktoś spróbował dobrać mu się do skóry - jeden cios i po wszystkim, jak wtedy, kiedy miał sześć lat, a Angelo Marco, lat dziewięć, chciał mu odebrać samochodzik Matchboxa. Frank zabrał go do szkoły, żeby pokazać koledze. Jego rodziców stać było tylko na taki prezent urodzinowy i Frank był zeń strasznie dumny. Więc oczywiście Marco zaraz zabrał go i próbował uciec. DeLuca dogonił go, wskoczył mu na plecy, powalił na ziemię i sprął na kwaśne jabłko. Inne dzieci musiały go odciągnąć, inaczej twarz Marca zamieniłaby się w hamburgera. Od tej chwili nikt nie ważył się dotykać zabawek Franka.

Mimo to, zawsze tak się jakoś składało, że Frank co chwila wikłał się w jakieś bójki, zupełnie jakby one same go szukały. Po prostu był magnesem dla wszystkich, którzy mieli zbyt dużo energii.

Potem dostał się do stanowych mistrzostw w boksie, w czym pomógł mu kolega i rodzina. Był dobry, jak sam o sobie mawiał, ilekroć go ktoś zapytał. Był na najlepszej drodze do mistrzostwa w wadze piórkowej, kiedy złamał rękę w pojedynku ze swym partnerem treningowym. Nie wystąpił więc w finałach, ktoś inny zdobył złoto i prawie wszyscy na jakiś czas zapomnieli o Franku DeLuca, a gdy usłyszeli o nim powtórnie, było już za późno.

Wszystko stało się w barze, gdzieś w Roxbury, teraz nie potrafiłby sobie nawet przypomnieć gdzie. Wszedł do środka, żeby się schronić przed deszczem. Wypił niezbyt dużo, ale wystarczyło, żeby trochę zaszumiało mu w głowie. Wtedy któryś z klientów zaczął mu dokuczać.

- Hej, chłopaczku - powiedział. - Czy przypadkiem nie widziałem cię kiedyś na ringu?

DeLuca nie odpowiedział, lecz mężczyzna nie dawał za wygraną.

- Dlaczego olałeś sprawę? Bałeś się, że ci powybijają te piękne ząbki?

DeLuca wpatrywał się w dno swojej szklanki starając się nie zwracać na niego uwagi. Powoli facet zaczynał go denerwować, ale próbował się powstrzymać. Poradziłby sobie z nim nawet gdyby miał metr osiemdziesiąt. Był miękki i pulchny, jak ocenił, więc jeden cios w

twarz powinien wystarczyć. Ale grubas mógł mieć w barze koleśków. Poza nim siedziało tam jeszcze pięciu lub sześciu facetów, a Frank nie znał żadnego z nich. Nie trzeba mu było kłopotów. Co to jest, zastanawiał się w milczeniu, że właśnie tacy faceci lubią się przyczepiać do porządnych ludzi.

Tamten nie przestawał.

- Musi ci być szkoda twojej ślicznej buźki. Pewnie dałeś sobie siana z ringiem, żeby się nie obija, co? Ty, powiedz mi, masz dużo panienek?

Barman podszedł do niego i próbował uspokajać.

- Niech pan skończy drinka i wyjdzie stąd. Ma pan dość.

Ten spojrział na swoją szklankę i odparł:

- W porządku.

Podszedł do Franka.

- Co, wydaje ci się, że jesteś taki dobry? Nie odzywasz się? A może się ze mną napijesz? - Z tymi słowami chlusnął resztką alkoholu w twarz Franka.

Frank nie wytrzymał. Zerwał się z krzesła i wypuścił szybki prawy sierpowy, który rozwalił nos tamtego, opryskując mu całą twarz krwią. Poprawił szybkim lewym, który zagłębił się w brzuchu tamtego po nadgarstek. Grubas padł na kolana i zaczął wymiotować dookoła, między innymi na buty Franka, co rozwścieczyło go tak bardzo, że zrobił to, czego nigdy normalnie nie robił. Kopnął go w twarz.

Mężczyzna pośliznął się i upadł na plecy charcząc pod nosem i plując krwią. Frank odwrócił się i poszedł dokończyć drinka. Żaden z pozostałych klientów nie spojrział nawet w jego stronę po pierwszym ciosie. Barman zbliżył się do niego.

- Głupio mi mówić, bo ten facet to prawdziwy skurwiol - powiedział, wycierając bar szmatą. - Ale tak się składa, że jest jednym z najlepszych prawników w Bostonie.

- Niech to szlag - wyrwało się Frankowi.

- I to by było na tyle - zakończył barman.

W taki sposób Frank DeLuca dostał się do Wietnamu. Po wyjściu z baru ukrywał się, ale prawnik znał każdego inspektora policji, więc wytropili go. Oskarżenie brzmiało „umyślna napaść”, lecz potem stonowane zostało do „czynnej napaści”. Sędzią była kobieta w średnim wieku, która nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Frank bez przerwy jest zamieszany w bójki. Wydawało się jej, że jest sprawiedliwa jak Salomon, kiedy powiedziała:

- Jest pan z natury dość porywczy, panie DeLuca, dlatego mam zamiar dać panu okazję konstruktywnego wykorzystania tej porywczowości. Kraj potrzebuje teraz takich jak pan.

Skorzystał z szansy. Miał nadzieję, że wreszcie trochę się zabawi, poza tym wkrótce

okazało się, że ma prawdziwy talent do obchodzenia się z nożem i walki wręcz. Ale miał kłopoty z przyjmowaniem rozkazów. Udawało mu się powściągnąć trochę w czasie szkolenia wstępnego, a nawet przez pewien czas w samym Wietnamie, ale kiedyś jakiś tam gówniarz dał mu rozkaz, mycie latryny, czy coś podobnego.

Nie był to dla nich dobry dzień, trzech chłopaków z plutonu nie żyło, głównie dzięki głupocie porucznika, a pozostali mieli tylko jedno w głowie - poczęstować go granatem. DeLuca wspaniałomyślnie podbił mu oko i tym najpewniej uratował mu życie. A tu, zamiast wdzięczności, więzienie i sąd wojskowy.

Był właśnie na boisku robiąc poranną rundę dwustu pompek, kiedy znalazł go Gaines, więc pierwszą rzeczą, którą zobaczył, były jego buty. Wszystko jedno, tylko raz można stawać przed sądem wojskowym. Kiedy skończył, skoczył lekko na równe nogi.

- Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać - zaczął Gaines.

Pieprzony porucznik. Jeszcze jeden, tego mu tylko brakowało.

- A ja nie - odwarknął i chciał odejść.

Gaines wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

- Zabierz stąd swoją pieprzoną rączkę. - DeLuca rzucił się jak oparzony.

- Proszę, panie poruczniku - poprawił go Gaines. - Miałeś zamiar powiedzieć „proszę zabrać stąd swoją pieprzoną rączkę, panie poruczniku”. - Formalności nie obchodziły go zbyt, lecz musiał dać mu odczuć, kto tu rządzi.

DeLuca spojrział na niego.

- Wiem, że nie przepadasz za tym miejscem - powiedział Gaines. - Ale nie mam do ciebie pretensji. Chcę ci pomóc stąd wyjść.

- Pierdolisz - powiedział DeLuca. - Gadaj zdrów.

Gaines zrozumiał, że po dobroci nic z nim nie załatwi.

- Dobra, ty mały skurwielu - warknął.

Podziałało.

DeLuca podszedł do niego na krok, zaś Gaines odepchnął go. DeLuca odbił dłoń na bok, na co Gaines odpowiedział prawym prostym, który wylądował pod okiem tamtego. DeLuca, nawet nie myśląc, skontrował lewą, która natrafiła na blok Gainesa i sam dostał cios w klatkę. Zachwiał się, a Gaines poszedł do przodu. Pozostali mężczyźni zebrali się wokół, żeby się rozerwać.

Strażnicy zaczęli się trochę niepokoić, ale Gaines wyraźnie powiedział im, żeby nie przeszkadzali. Nie wiedział, jak zareaguje DeLuca na to, co miał mu do powiedzenia, rozważał nawet możliwość, że zaczną go obrzucać wyzwiskami, dlatego chciał, żeby

zostawiono ich samym sobie. Nie był przygotowany na walkę, ale jeżeli DeLuca tego chciał, dostanie.

Gaines wiedział, jak groźnym przeciwnikiem mógł być DeLuca, ale nie przejmował się tym zbyt. Sam trochę walczył, a lata pracy w kopalni zrobiły zeń twardego mężczyznę. Jeżeli nawet DeLuca pobije go, może przynajmniej zaczną z nim rozmawiać.

Skulony puścił serię szybkich ciosów wymierzonych w brzuch, nie dając mu czasu odetchnąć, potem odskoczył. Zrobił błąd. DeLuca trafił go prawym w podbródek i Gaines poczuł, jak zawirowało mu w głowie. Wykorzystując przewagę DeLuca zbliżył się i zaatakował. Gainesowi zrobiło się miękko w kolanach, próbował się cofnąć, ale o mało nie potknął się o drugą nogę. DeLuca szedł za ciosem chcąc dokończyć walkę, ale Gaines zdołał uskoczyć przed sierpowym, potem zebrał się w sobie i walnął tamtego z całej siły poniżej pasa.

DeLuca skurczył się. Gaines nie dał mu czasu na odpoczynek, i po krótkiej serii ciosów zakończył walkę silnym uderzeniem w splot słoneczny. DeLuca natychmiast znalazł się na ziemi próbując złapać oddech, zaś więźniowie zaczęli się rozchodzić. Mieli nadzieję zobaczyć, jak człowiek z zewnątrz dostaje lanie, ale srodze się zawiedli.

Uspokojeni strażnicy wrócili do swoich zajęć, a Gaines czekał, aż DeLuca przyjdzie do siebie. On sam sporo oberwał, wydawało mu się, że uszy ma wielkości słonia Dumbo i nie bardzo mógł spokojnie oddychać.

Po chwili DeLuca odezwał się:

- Twardy z ciebie gość.
- Niekoniecznie - odpowiedział Gaines.
- Nigdy byś mnie nie dostał, jakbyś walczył fair.
- Tak mi się wydawało - przytaknął Gaines.

DeLuca wyciągnął dłoń.

- Pomożesz mi?
- O nie - uśmiechnął się Gaines.
- Pewnie - DeLuca odwzajemnił uśmiech. - Nie dziwię ci się.

Powoli wstał.

- Przez jakiś czas będę chodził jak kaczką.

- Na to wygląda - mruknął Gaines. - Powinieneś coś z tym zrobić. Za bardzo się denerwujesz.

- Próbowałem, ile razy. Tylko zawsze wszyscy mają coś do mnie, a ja tego nie lubię.
- Sam się o tym przekonałem. Możemy gdzieś porozmawiać w cztery oczy?

- Tylko tutaj - poinformował go DeLuca.

Gaines opowiedział mu o tunelach, o drużynie, którą organizowali, o niebezpieczeństwach czyhających w czasie wyprawy.

- Co ja z tego będę miał? - zapytał DeLuca na koniec.

- Wychodzisz stąd, po pierwsze.

- Nie jest mi tu źle.

DeLuca rozejrzył się dookoła.

- Dają jeść trzy razy dziennie i nikt mi nie próbuje podskoczyć.

- Tak ci się tu podoba? Robisz pompki, a inni tam za ciebie giną? DeLuca, szkoda, żebyś tu gnił.

Tamten stał krew spod oka i wytarł dłoń o spodnie.

- A co potem? - zapytał Gaines. - Możesz mieć nadzieję, że cię tylko wywalą z wojska za dyscyplinę. Jak się zgodzisz, będziesz mógł zacząć na nowo, z czystym kontem.

- Możesz to załatwić? - DeLuca zapytał bardziej zaciekawiony niż przekonany.

- Ja nie - przyznał Gaines - ale przychodzę w imieniu ludzi, którzy mogą. Daję ci słowo.

- Kto cię tu przysłał?

Gaines powiedział mu o Carterze.

- Nigdy o takim nie słyszałem.

- Nie szkodzi. On słyszał o tobie.

DeLuca potrząsnął głową.

- I chce mnie? Z takimi papierami?

- Tak. Prawdę mówiąc papiery są w porządku, nie wspominając o pewnych nielicznych kłopotach z dyscypliną. Udowodniłeś, że potrafisz walczyć.

- To by się zgadzało.

Gaines nie powiedział mu, że jego głównymi zaletami, była nieustępliwość i niski wzrost. Carter chciał ludzi mniej więcej o rozmiarach Wietnamczyków, którzy nie mieliby specjalnych kłopotów z pracami w tunelu. Większość Amerykanów była po prostu za duża.

- Jest niebezpiecznie? - dopytywał się DeLuca.

- Nie owijam w bawełnę. Jak cholera.

- Będziemy razem w drużynie, wszyscy równi.

- Każda drużyna ma dowódcę, DeLuca.

- Wiem o tym. I to pewnie nie będę ja. Ale nie będzie żadnego gówna, jakichś

regulaminów, no wiesz...

- Tego też musi być trochę - westchnął Gaines.

- No... Niech to szlag trafi, wszystko mi jedno. Chyba lepiej coś robić niż gnić tutaj nie wiadomo dokąd. Spróbuję.

Wyciągnął dłoń i Gaines podał mu swoją.

- Kiedy stąd wyjdę? - zapytał.

- Po południu, najdalej jutro.

- Wystarczy.

Gaines odwrócił się.

- Zawsze tak bijesz? - rzucił za nim DeLuca. - Poniżej pasa?

- Tylko kiedy muszę - odpowiedział z uśmiechem Gaines. - Tylko kiedy muszę.

DeLuca zasalutował.

- Ja też.

5

Robiło się coraz goręcej i Pham zaczął się pocić, choć można się było domyślać, że był to jeden ze skutków podniecenia, bowiem podniecał się zawsze, ilekroć miał zadanie do wykonania, a szczególnie takie zadanie. Mężczyznom z wioski kazał wykopać dół długi na dziesięć metrów, szeroki na dwa i głęboki na półtora. Praca nie była ciężka, miękka ziemia łatwo poddawałaby się łopatom. Jednak mężczyźni odmówili. Pham udawał, że nie wie dlaczego.

- Przecież to prosta robota, poza tym damy wam narzędzia. Zróbcie to dla waszego kraju, na dowód, że nie trzymacie z wrogami ludu.

Żaden z mężczyzn nie zrozumiał słowa „wróg ludu”, wiedzieli jednak, na co potrzebny był dół i nikt nie podniósł łopat, które żołnierze rzucili im pod nogi.

Pham smutno potrząsnął głową.

- Szkoda, że jesteście tacy uparci, nie lubię takich scen. - Mówiąc te słowa ledwo mógł powstrzymać uśmiech cisnący się na usta, bo wprost kochał swoje zajęcie. Kazał swoim ludziom wybrać jedną z kobiet stłoczonych przy chatach. Przyprawdzili jakąś starą wiedźmę, a Pham od razu wiedział dlaczego. Nie opierała się, kiedy wywlekali ją na środek ścieżki. Miała zamknięte oczy i całkiem możliwe, że nie zdawała sobie sprawy, co miało się zdarzyć. Żołnierze pchnęli ją pod nogi Phama, a kiedy podniosła głowę, strzelił jej prosto w oko. Poleciała do tyłu z rozłożonymi rękami. Rzuciła się przez chwilę w pyłe, więc Pham strzelił jeszcze raz, tym razem w serce. Jej ciało wygięło się i uspokoiło na zawsze. Na twarzy usiadła mucha, do której za chwilę dołączyło wiele innych.

- Kopcie dół - powtórzył Pham.

Tym razem mężczyźni posłuchali. Dobrze wiedzieli, że opieranie się było prawie tak bezużyteczne jak posłuszeństwo. Wszyscy byli zgubieni.

Gdy skończyli, Pham podszedł nad krawędź rowu, by przyjrzeć się ich dziełu.

- Dobra robota - pochwalił nie wiadomo kogo. Krótko szczechnął do swych podkomendnych: - Ognia!

Za chwilę rów napelnił się krwawymi ciałami, a powietrze wypełniły krzyki mordowanych. Pham po chwili dołączył do strzelających dobijając tych, co dawali jeszcze znaki życia. Wieś znowu ucichła, jeśli nie liczyć płaczu kobiet i dzieci.

- Przyprawdźcie dzieci - rozkazał przyjaznym głosem, jakby prosił o filiżankę herbaty.

Niektóre kobiety próbowały walczyć, te trzeba było przekonać kolbami. Phamowi było przykro z tego powodu. Jego żołnierze woleliby je osiąść w stanie nienaruszonym, ale cóż można było zrobić, skoro trwały w zawziętym uporze czepiając się dzieci.

Pham zauważył, że po ostatniej serii kontrrewolucjonistów, dół zaczynał się niebezpiecznie przepęlniać. Widocznie źle ocenił liczbę ludzi we wsi, ale następnym razem obiecał sobie nie popełnić takiego błędu. Miejsca oczywiście wystarczy, tylko wierzchnia warstwa ziemi nie będzie tak gruba jak należy.

- Możecie się rozerwać - powiedział żołnierzom. Ci natychmiast rzucili się ku kobietom i dosiedli je jak zwierzęta, którym zbyt długo odmawiano zaspokojenia. Wrzaski kobiet i jęki mężczyzn nie przeszkadzały bynajmniej Phamowi. Miał inne sposoby doznawania rozkoszy, o czym świadczyła wilgotna, gorąca lepkość między jego nogami. Po pół godzinie zabili kobiety i zasypali rów. Wszyscy żołnierze, nie wyłączając Phama byli zadowoleni, choć bardzo zmęczeni. Wieś została uspokojona raz na zawsze.

- Spalcie chaty - dodał na odchodnym. Patrząc na czerwone języki płomieni połykające zeschnięte poszycia westchnął z przyjemnością. Dzień spędził bardzo pożytecznie.

Johnny Hidalgo urodził się i dorastał we wschodniej części Los Angeles, chociaż to ostatnie tylko po części było prawdą. W porównaniu ze swymi rówieśnikami prawie zupełnie nie rósł, w związku z tym musiał spędzać wiele czasu udowadniając sobie i innym, że jest takim samym mężczyzną jak oni. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek miał pretekst do nazwania go *cobarde* - tchórzem. Wszyscy ludzie znający go od dziecka wiedzieli, że Johnny nie cofnie się przed niczym. Nieważne, że połknięty stężony kwas przeżerał ściany jego żołądka, nieważne, że chciało mu się wyć z bólu - Johnny Hidalgo był gotów na każde wyzwanie.

Kiedyś wyskoczył z samochodu jadącego z prędkością ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę tylko dlatego, że ktoś powiedział, że widział coś podobnego na filmie, ale w rzeczywistości było to niemożliwe. Jego koledzy podziwiali wyczyn, lecz chirurg, który zszywał go po wypadku stwierdził, że jest szalony.

Innym razem zwiślał na rękach przez pełen kwadrans z dachu dziesięciopiętrowego budynku, po czym podciągnął się z powrotem. Wtedy nawet jego koledzy uznali, że brak mu piątej kleпки. Lecz najdłużej pamiętali to, co zrobił Jaime Ortizowi, chłopakowi, który zgwałcił mu siostrę. Jaime, w odróżnieniu od Johnny'ego nie tylko robił różne szalone rzeczy,

on po prostu był stuknięty - prawdziwy *loco*, od samego urodzenia.

Ze szkoły wyrzucili go prawie na samym początku, kiedy złamał dyrektorowi szczękę, bo ten chciał przerwać jedną z jego licznych bijatyk. Później znalazł się w poprawczaku, gdy złapano go z kolegą, jak okradali któryś z kolei sklep z alkoholem i próbowali uciec ukradzionym samochodem. Jak tylko wyszedł na wolność, wrócił do dawnego zajęcia.

Był dobrze zbudowany, a prócz okradania sklepów jednym z jego ulubionych zajęć były ćwiczenia siłowe, nic więc dziwnego, że mając kilkanaście lat wyglądał jak zawodowy zapaśnik. Niestety, dziewczęta go omijały, bo miał reputację brutala, a kiedy coś nie szło po jego myśli, stawał się jeszcze brutalniejszy. Gdy miał pieniądze, korzystał z usług prostytutek, ale i one wkrótce przestały odpowiadać na jego zakusy. Więc pewnej nocy, ot tak, dla zabawy, zgwałcił Estrellitę Hidalgo. Oczywiście poznała go od razu, lecz jemu wydawało się, że nie powie nikomu, zwłaszcza, że potem pobił ją i zagroził, że zrobi coś gorszego, jeżeli ta piśnie choć słówko.

Estrellita ledwo przeżyła całe wydarzenie. Pobicie gwarantowało, że nigdy nie znajdzie męża, który pokocha ją dla urody, ale nie powiedziała nikomu. Dopiero kilka miesięcy później, gdy Johnny zastał ją płaczącą przed lustrem, przełamała się. Johnny ruszył na poszukiwanie Jaimego. Nie wziął nawet pistoletu, chociaż niektórzy z jego kolegów mogli mu łatwo załatwić broń. - *Mano a mano* - powiedział im wtedy. - Będziemy walczyć na ręce, tak mu powiedzcie, jak który z was go zauważy.

Ludzie pomyśleli wtedy, że Johnny naprawdę oszalał, bardziej niż Jaime, ale słowa poszły na wiatr.

Pewnego wieczora, kiedy Johnny wracał do domu, ktoś zawołał do niego zza węgła: - Podobno mnie szukasz, *Amigo*?

Johnny spojrzał w tamtym kierunku i choć nikogo nie zauważył, poznał głos Jaimego.

- Dobrze słyszałeś, *pendejo* - wysyczał. - A teraz chodź tu, żebym cię mógł zobaczyć.

- Nie ma głupich, *chingado*. Sam mnie musisz dostać.

Większość zwykłych ludzi poprzestałaby na tym i zapomniała o wszystkim, lub przynajmniej wezwała posiłki, lecz Johnny Hidalgo do tej większości nie należał. Chciał się sprawdzić w każdej sytuacji. Zagłębił się w zaułek, gdzie czekał Jaime. Wskoczył na Johnny'ego zza kosza na śmieci, lecz tego ostrzegł chrzęst butów Jaimego na chodniku i był przygotowany. Nie był szalony, co więcej, nie był głupi, o czym świadczyła niespotykana umiejętność przechytrzenia nauczycieli w szkole. Jaime też mu nie poradził, bo Johnny, odkąd zorientował się, z kim będzie miał do czynienia, nie rozstawał się z półmetrową rurką, którą nosił przyklejoną plastrem do nogi.

Jaime zaatakował, ale Johnny pochylił się i uderzył z całej siły napastnika w kolano. Trzask łamanej kości zabrzmiał dlań jak najcudowniejsza muzyka. Gdy Jaime leżał na ziemi wijąc się z bólu, Johnny postukał go rurką po głowie. Niezbyt mocno, chciał tylko porozmawiać.

Jaime był twardy. Nie miał ochoty się poddawać, przestał wrzeszczeć i rzucił się na Johnny'ego. Zapłacił za to drugim kolanem. Wtedy musiał słuchać, a skoro słuchał, Johnny nic poważniejszego mu nie zrobił zorientowawszy się, że Jaime do końca życia będzie chodził jak starzec, jeżeli w ogóle wstanie o własnych siłach.

Johnny cierpliwie wyjaśnił mu przyczyny swojego postępowania i ze szczegółami opisał, co mu robi, jak go jeszcze kiedyś zobaczy w swojej dzielnicy. Potem od serca dołożył mu jeszcze parę razy po głowie.

Od tego czasu nikt nie widział Jaimego. Urwały się napady na sklepy, lecz Johnny skromnie nie przyznawał się do niczego.

Kiedy zaczęła się wojna w Wietnamie, Johnny zaciągnął się. Nikogo to nie zaskoczyło. Gdziekolwiek czyhało jakieś niebezpieczeństwo, Johnny Hidalgo był pierwszym, który sprawdzał, jak rzeczy miały się naprawdę.

Siedział teraz w barze mniej więcej takiej samej kategorii jak ten, w którym Gaines spotkał Cartera i grał w pokera z trzema żołnierzami z jakiegoś plutonu, frajerami, jak miał nadzieję, którzy nie będą mieli nic przeciwko temu, że uwolni ich od paru dolarów. Wszyscy trzej byli znacznie lepiej zbudowani niż on i trochę już wypili, ale nigdy dotąd Johnny się nie przejmował takimi detalami, poza tym picie bardzo ułatwiało zadanie. Byli sami przy stole na tyłach baru, z dala od zgiełku, by móc skoncentrować się na kartach.

Właściciel baru, zawsze gotów spełnić każde życzenie żołnierzy, wytrzasnął skądś starą szafę grającą i napchał ją płytami z rock and rollem. Kiedy Gaines wchodził do baru, Rolling Stonesi grali właśnie „Satisfaction”. Gaines rozejrzał się wokół powoli, przyzwyczajając oczy do półmroku i zauważył, jak Johnny rozdaje kolejkę. Ruszył w kierunku stołu, a wtedy właśnie jeden z graczy złapał Hidalgo za rękę.

- Poczekaj chwileczkę, kolego - powiedział groźnie. - Co się tu dzieje?

Po akcencie Gaines poznał, że prawdopodobnie pochodził z Oklahomy.

Hidalgo położył karty na stole, koszulkami do góry.

- Nic się nie dzieje.

- Eddie, co jest grane?

Gainesowi przypominali trzech braci bliźniaków, tak byli do siebie podobni z twarzami jak wkleśłe żelazka, a każdy z osobna był bez wielkiej przesady dwa razy większy

od Johnny'ego.

- Skurwiel brał sobie ze spodu talii - odparł Eddie. - Dlatego nas orznął.

- Jesteś pewien, Eddie?

- Tommy, ty bucu, myślisz, że nie poznam szulera, jak go mam przed sobą?

Powinniśmy się mu byli lepiej przyjrzeć, zanim zaczęliśmy z nim grać.

- Szuler - potrząsnął smutnie głową Tommy. - Co ty na to, Leon?

- Bierzemy naszą forszę i tyle.

- I tyle? - zapytał Eddie z niedowierzaniem. - Ja ci mówię, że powinniśmy go zabić.

- Co mi tam - zgodził się Leon. - Najpierw bierzemy forszę, a potem czapa.

Johnny zdecydował, że byłoby nadzwyczaj nierozsądnie dyskutować z nimi. Najwyraźniej nie byli w nastroju słuchać jego wyjaśnień. Wstał szybko wpychając do kieszeni tyle pieniędzy, ile się dało i przewrócił na nich stół.

Jego przeciwnicy zareagowali niespodziewanie szybko jak na swe rozmiary, czego Johnny się nie spodziewał. Uskoczyli przed stołem, po czym chwycili zań i pchnęli w jego kierunku przewracając go. Był w opałach popełniwszy najbardziej niewybaczalną z pomyłek, jaką można sobie było wyobrazić - nie docenił swych przeciwników.

Udało mu się kopnąć w genitalia jednego z nich, nie pamiętał którego. Ten wrzasnął, upadł do tyłu i uderzył głową w stół wydając przy tym zadowolający głuchy odgłos, lecz na jego miejsce natychmiast wyrósł Tommy wymachując krzesłem.

- Odsuń się, Leon, to mu łeb rozwałę! - wrzasnął.

Johnny chwycił Leona za włosy i trzymał. Żał mu było własnej głowy, więc zamierzał się osłonić przed uderzeniem żywą tarczą. Z pewnością Tommy nie będzie chciał zrobić krzywdy koledze.

Leon nie mógł się oderwać, próbował tedy przewrócić się na bok, by Johnny znalazł się na górze. Powiodło się.

- Bij skurwiela! - krzyknął.

Krzesło rozleciało się w drzazgi o plecy Johnny'ego, powietrze uciekło mu z płuc i zemdlał. Tommy ściągnął go z grzbietu Leona i wycelował olbrzymią pięść w jego twarz.

Nikt w barze nie wydawał się zainteresowany tym, co się dzieje. Większość gości gapiała się w swoje drinki lub wzdychała w sufit przy dźwiękach „Łez pożegnania” z wyjącej szafy grającej.

Gaines musiał wkroczyć do akcji, jeżeli z Johnny'ego miało coś zostać. Chwycił Tommy'ego za rękę wzbudzając tym u niego niepomierne zdziwienie.

- Puszczaj, dupku! - ryknął.

- Dobrze - odparł Gaines i sprytnym chwytem przerzucił go przez biodro. Tommy musiał puścić Johnny'ego i wylądował na podłodze w niezbyt wygodnej pozycji. Gaines domyślił się, że ma zwichniętą rękę.

Johnny też upadł, otrząsnął się, i w tej samej chwili dostał w głowę pięścią Leona, dokładnie takich samych rozmiarów jak pięść Tommy'ego. Osunął się na bok i wpadł na Eddiego, który właśnie próbował wstać. Jednak nie dane mu było, bowiem Johnny z półprzysiadu trafił go nogą w wystające jabłko Adama. Eddie złapał się rękami za gardło i wydał z siebie serię niezrozumiałych dźwięków.

- Musisz popracować nad wymową, kolego - powiedział doń Hidalgo i odwracając się zauważył, jak Gaines podnosi Leona za koszulę i lokuje kilka celnych ciosów w jego podbródku, po których ten wali się bezwładnie na ziemię.

- Dzięki za pomoc, poruczniku. - powiedział Johnny. - Czy my się skądś nie znamy?

- Powiedzmy, że jestem twoim nowym przyjacielem - uśmiechnął się Gaines. Chodźmy stąd, zanim tamci się obudzą.

- Niezły pomysł - zgodził się Hidalgo. - A może by tak po piwku?

- Dlaczego nie.

Na piwo zajrzeli do baru dwie ulice dalej.

- Ci trzej nawet nie będą mnie szukać - powiedział Johnny. - Wiedzą, że mogę im dać popalić.

Przelknął piwo, które miał w ustach.

- A teraz, o co chodzi z tymi tunelami?

Gaines powiedział mu wszystko.

- I mówisz, że to niebezpieczna robota?

- Nie ma nic gorszego. - Gaines wiedział, że dobrze to rozegrał, bo Carter opowiedział mu wcześniej o Hidalgo. Wiedział, że podejmie się wszystkiego, o ile inni będą się tego bali. Jego brawura granicząca z lekkomyślnością, nie wspominając o posturze, sprawiała, że był doskonałym kandydatem do drużyny. O ile nie strzeli mu do głowy coś głupiego.

- Ilu pójdzie z nami? - zapytał Johnny.

- Ty, ja, jeden Amerykanin i jeden Wietnamczyk - skaut.

W głosie Gainesa musiało zabrzmieć coś dziwnego, bo Hidalgo spojrzał na niego i powiedział:

- Nie ufasz mu, co?

- Nigdy go nie widziałem - odparł Gaines.

- Jak chcesz, żebym się do was przyłączył, musisz mi wszystko powiedzieć. Widzę, że coś tu nie tak i chcę wiedzieć co.

- Dezerter z Wietkongu. Teraz jest w Armii Południowego Wietnamu.

- I to wszystko?

Johnny nie widział w tym nic złego.

- W takim razie jestem z wami.

Gaines skinął głową.

- To dobrze. Niedługo się z tobą skontaktujemy i przejdiesz do drużyny - podniósł się do wyjścia. - A teraz dokończ piwo i postaraj się nie wpaść w kłopoty. Jeżeli możesz.

Johnny zasalutował butelką.

- Możesz na mnie liczyć. Nigdy nie miewam kłopotów. Z tymi chłopakami to było takie małe nieporozumienie.

- Nie oszukiwałeś?

Johnny uśmiechnął się po chłopięcemu.

- Nie musiałem, poruczniku. Urodziłem się szczęściarzem.

- Cieszę się - odrzekł Gaines. - Naprawdę. Tam gdzie idziemy będziesz potrzebował szczęścia.

Gdy Pham ze swym oddziałem wrócił do bazy w okręgu Cu Chi, na spotkanie wyszedł im generał Vinh, zupełne przeciwieństwo majora. Spokojny, przewidujący strateg, umiejący szanować nawet swych wrogów. Poznali się już wcześniej i od samego początku serdecznie znienawidzili. Teraz przyszło im działać razem. Vinha wyznaczono na głównego koordynatora wielkiej ofensywy przeciwko Amerykanom, złożonej z połączonych sił Wietkongu i Armii Północnego Wietnamu. Bazą wypadową miał być kompleks tuneli, gdzie rozlokowane były siły dowodzone przez Phama.

Pham nie bardzo ucieszył się z widoku generała, lecz gdy ten objaśnił mu plan, humor poprawił mu się nieco. Widział tam dla siebie wielkie pole do popisu w zakresie „uspokajania” okolicznych wiosek.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytał ostro. - Wiesz, że to ja koordynuję wszystkie ruchy wojsk. Jeżeli zaalarmowałeś wroga, obiecuję, że nie ujdiesz surowej kary.

Pham głęboko ukrył pogardę, jaką żywił do generała. Według niego Vinh był mięczakiem, nieporadnym dowódcą, któremu nigdy nie przyszłoby do głowy zorganizowanie podobnego wypadu.

- Byliśmy tylko na patrolu zwiadowczym. - Powiedział gładko. Musimy być pewni, że wrogowie nie otoczą nas, kiedy śpimy.

Porozumiewawcze uśmieшки na twarzach żołnierzy Phama wskazywały, że nie mówił całej prawdy, lecz generał postanowił nie naciskać. Wiedział, że ludzie tacy jak Pham byli mu potrzebni do przeprowadzenia ofensywy, a na zbytnej dociekliwości mógł tylko stracić. Na konfrontację było jeszcze za wcześnie. Odprawił majora i wszedł do namiotu.

Swoich oddziałów nie przegrupował jeszcze do tuneli, bo pozostało sporo pracy na powierzchni, a on wolał być z nimi jak najdłużej. Żołnierze myśleli tak samo. Spędzanie całych dni pod ziemią było bardzo dokuczliwe. Zlani potem dyszeli jak ryby wyrzucone na brzeg i próbujące łapać powietrze. Dobrze, że choć noce mogli spędzać na powierzchni. Wiedzieli jednak, że prędzej czy później będą musieli zadomowić się w tunelach kryjąc się po atakach na siły amerykańskie.

Zanim to nastąpi, wszystkie ślady namiotów znikną, a wejścia do tuneli zostaną tak zamaskowane, że nikt ich nie znajdzie, przynajmniej tak się Vinhowi wydawało. Jeżeli tylko

Pham nie nawali, wszystko powinno pójść dobrze. Amerykanie okazali się być zupełnie nieprzygotowani na taki sposób prowadzenia walki. Dobitnie uświadomiła to obu stronom niesławna operacja „Paraliż”, teraz zaś będą mieli do czynienia z prawdziwą ofensywą, która powinna zakończyć się sromotną porażką okupanta.

Plan był znakomity. Żołnierze, mający za zadanie związać siły amerykańskie, wprowadzą je na teren pod którym są tunele, gdzie Wietkong mógł się poruszać praktycznie bez ograniczeń. Amerykanie znajdą się w pułapce: każą swym oddziałom polować na Wietnamczyków, więc będą musieli sprowadzić posiłki. Ale nie znajdą nikogo, a ich własne siły poszarpane zostaną na strzępy.

Pham... Z nim mogą być kłopoty. Vinh rozumiał, że nie był normalnym żołnierzem. Wszyscy zabijali, ale tylko Phamowi sprawiało to przyjemność. Chociaż bardzo się starał ukryć ten fakt przed Vinhem, generał czuł, że ze wszystkiego co robi major, przebija jakieś niezdrowe podniecenie samym zabijaniem. Bez wątpienia i tego dnia wyrwał się na patrol w swoim stylu, ale generał nie zamierzał robić z tego sprawy. Za kilka dni ofensywa ruszy, a wtedy ludzie tacy jak Pham będą mogli się przydać. O ile nie zrobią jakiegoś głupstwa.

Gaines spotkał się z Bok Van Thu w tajnym biurze Cartera. Thu. zupełnie otwarcie opowiadał, jak walczył o wyzwolenie Wietnamu i o tym, jak bardzo kochał swą rodzinę. Powiedział, że przeszedł na stronę Amerykanów, by ratować swych najbliższych.

- Wierzę, że istnieje coś takiego jak wolność - powiedział Gainesowi - i dlatego jestem tutaj. W Sajgonie znaleźliśmy spokój, jakiego nigdy nie było na Północy. Amerykanie w końcu by nas zniszczyli, więc pomyślałem sobie, dlaczego nie miałbym ocalić swojej rodziny i walczyć o wolność za jednym zamachem? Nawet jeżeli zginę, oni będą mieli gdzie mieszkać i żyć w spokoju.

Gaines, siedzący za biurkiem Cartera, prawie że mu uwierzył.

- Więc byłeś w tunelach? - zapytał.

- Tak, wiele razy. Mogę powiedzieć, że to, za co się zabieramy, jest bardzo niebezpieczne, ale to jedyny sposób, by dostać się do skóry żołnierzom Wietkongu i zniszczyć ich kryjówki.

- Kapitan Carter opowiadał mi trochę o tunelach, ale niezbyt wiele, a mnie się wydaje, że musimy wiedzieć o nich znacznie więcej, zanim nawet pomyślimy o zejściu na dół. Pewnie ma jakiś plan.

- Jestem tego pewien.

Widać było, że Thu wie znacznie więcej o planie niż on sam, co wcale się Gainesowi

nie spodobało.

- Już ci powiedział? - zapytał.

- Nie. - Thu uśmiechnął się. - Ja mu powiedziałem.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi i nim Gaines zdołał na nie zareagować, do pokoju wszedł Carter.

- Poznaliście się? - zapytał.

- No - mruknął Gaines. - I nie podoba mi się to, co usłyszałem. Myślę, że nie powiedział mi pan wszystkiego.

Wszedł zza biurka i zbliżył się do Cartera, który wbił w niego niechętny wzrok. Wiedział, że kiedyś będą musieli się zderzyć i był zadowolony, że stało się to teraz, w związku z niezbyt ważną sprawą. Oczyszczenie atmosfery z pewnością wpłynie korzystnie na ich stosunki.

- Nie miałem zamiaru nic panu mówić aż do chwili, kiedy się upewnię, że jest pan z nami - odparł Carter, spoglądając znacząco na Thu.

Gaines zauważył to i zrozumiał, co Carter ma na myśli - pytał go, czy przyjmie Thu do drużyny.

- Jestem - powiedział. - Całkowicie.

Carter zrozumiał.

- Bardzo dobrze - usiadł za biurkiem zostawiając Gainesa na stojąco. - Nie powiedziałem panu tylko o jednej rzeczy. Niedawno zdobyliśmy jeden tunel.

Gaines był zaskoczony, bo Carter wcześniej nawet słowem nie zdradził się z tym. Thu uśmiechał się do nich.

- Zasługa Thu - ciągnął Carter. - Nawet nie pomyślelibyśmy, że coś takiego może się znajdować właśnie w tym miejscu. Do miasta jest z niego mniej niż piętnaście kilometrów, a nasze oddziały przemieszczały się tamtędy setki tysięcy razy bez najmniejszych podejrzeń. Ale Thu wiedział o nim, bo kiedyś ukrywał się w tam przez cały tydzień, a kiedy powiedziałem mu o nowej drużynie, poddał mi myśl zdobycia go.

- I udało się? - zapytał Gaines.

Carter wyglądał na zakłopotanego.

- W pewnym sensie. Gdy tam dotarliśmy, był opuszczony, może nawet od kilku miesięcy. Nie wiemy dlaczego go zostawili, prawdopodobnie znaleźli coś dogodniejszego.

Gaines zastanowił się - istniały przecież i inne powody takiego zachowania, na przykład ostrzeżenie. Ale to nie bardzo miało sens, dlaczego Wietnamczycy mieliby zapraszać Amerykanów do tunelu? Obudziło to nowe wątpliwości co do szczerości intencji

Thu.

- Czyli przyjrzelismy się tunelowi?
- Trochę więcej, prawda, Thu?
- Prawda - Thu pokiwał głową.
- Czyli brakuje nam tylko praktycznego rozpoznania - zakończył Carter.

Następnego dnia pojechali na miejsce. Thu kierował pierwszym jeepem wraz z Carterem, zaś drugim jechał za nimi Gaines z resztą drużyny. DeLuca nie robił tajemnicy z tego, że nie podoba mu się Wietnamczyk.

- Ten żółtek jest jakiś dziwny, wygląda dokładnie tak samo jak wszyscy inni, których musiałem zabić. Nie podoba mi się, że będzie nam tu rozkazywał.

Gaines, chociaż sam walczył z uprzedzeniami wobec Wietnamczyka, kazał mu się zamknąć.

- Ma nam pomagać, bez niego nic byśmy nie wiedzieli o tych cholernych tunelach, zanim byśmy w jakiś nie wpadli.

- Racja - zgodził się Johnny. - Poza tym przeszedł na naszą stronę. U mnie jest w porządku.

- Jak chcecie, możecie mu wierzyć - wymamrotał DeLuca. - Ja się nigdy nie odwrócę do niego plecami. Za nic.

Przed nimi Thu skręcił w zagubioną pomiędzy zaroślami ścieżkę i zatrzymał się na małej polanie. Wszyscy wysiedli i rozglądali się dookoła.

- Ktoś tu smęci łagę - zaczął DeLuca. - Przecież tu nic nie ma.

Carter uśmiechnął się i skinął głową do Thu.

- Lekcja pierwsza - powiedział skaut. - Odszukiwanie tuneli.

Johnny roześmiał się.

- Chłopie, dałbyś sobie spokój. Żarty żartami, a ty weź nas teraz tam, gdzie są naprawdę.

- On nie żartuje - odezwał się Carter poważnym tonem.

- Poważnie? - zapytał DeLuca. - Mówisz, że tu gdzieś jest tunel?

- Nie „gdzieś”, ale właśnie tutaj. W promieniu trzech metrów od nas.

- Pewnie gdzieś w drzewach. Chodź, Hidalgo, rzucimy okiem - powiedział DeLuca.

Johnny posłuchał wezwania i za chwilę razem przetrząsali zarośla.

- A pan, Gaines? - zapytał Carter. - Poddaje się pan?

Gaines nie brał udziału w sprzeczce, nie lubił bowiem mówić, gdy czekała robota.

Uważnie przyglądał się powierzchni ziemi szukając choćby najmniejszej wskazówki.

Nic nie budziło jego podejrzeń i to go niepokoiło. Zdał sobie sprawę, że zadanie przed nim postawione, będzie trudniejsze, niż przypuszczał. Ale najpierw trzeba było zrobić to co niemożliwe - znaleźć właz. Nie dawał za wygraną.

Carter z Thu oparci o jeepa patrzyli na niego. Thu wyciągnął paczkę cameli, i zaciągnął się dymem wypuszczając go nosem.

- W tunelu nie da się palić - zauważył.

Gaines nie zwrócił na niego uwagi. Dobiegły go przekleństwa miotane przez DeLucę i Hidalgo, którzy miotali się między drzewami.

- Cholerne pająki! Spadają z drzew prosto za kołnierz.

- Jeżeli nie lubi pajaków - powiedział Thu - nie spodoba mu się pod ziemią.

- Poradzi sobie - powiedział Carter. - Będzie musiał.

Gainesowi wydało się wreszcie, że coś widzi - nieznaczną wypukłość tuż przy zaparkowanym jeepie Thu. Z bliska wyglądała jak pręga, czy garb, długości około pół metra. Jeżeli to był właz, był najlepiej schowany spośród wszystkich rzeczy, jakich zdarzyło mu się kiedykolwiek szukać. Wyjął bagnet i zagłębił w ziemi. Nie wszedł zbyt głęboko i trafił w coś twardego.

Wyjął bagnet.

- Jest.

Thu uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze, piętnaście minut. Kapitan Carter męczył się przez dwadzieścia pięć.

- Nie wiedziałem, czego szukam - poskarżył się Carter - a on tak.

- Bez różnicy. - Thu wzruszył ramionami - Znalazł. Zawołam resztę.

DeLuca i Hidalgo wrócili na polanę zaskoczeni tym, co pokazywał im Gaines.

- To ma być to? - zapytał DeLuca - Nic nie widzę.

- Popatrz - powiedział Thu chwytając za dwie pętle uplecione z drutu i zakopane w pyle, i podniósł klapę.

Zrobiona była z kilku warstw plecionego bambusa, mocna, lecz niezbyt ciężka. Jej brzegi wygięte były do środka, by pasowała ściśle do otworu i nie obwisała. Zdradzało ją nieznaczące wygięcie, i gdyby Gaines nie wiedział, gdzie jej szukać, nigdy by jej nie znalazł.

Thu odłożył klapę na bok. Wszyscy z wyjątkiem Cartera zajrzeli do dziury, lecz prócz ciemności nic nie było widać.

- O kurwa! - zaklął Johnny. - Nic nie widać.

- O to właśnie chodzi - wyjaśnił Thu.

Johnny Hidalgo poczuł, jak ciarki przebiegają mu po grzbiecie. Za nic w świecie nie przyznałby się przed nikim, że nie bardzo pociągała go perspektywa czołgania się po ciemnych, ciasnych tunelach i prawie czuł, jak przygniatają go gliniane ściany. Przez chwilę nie mógł oddychać. Było jednak za późno, by się wycofać. Jeżeli odezwałby się choć słowem, inni wzięliby go za tchórza, za *maricon*. Musiał im udowodnić, że się mylą, musiał udowodnić sobie, że się nie boi.

- Więc tak to wygląda - powoli powiedział DeLuca. - Jesteś pewien, że tam mogą być żołnierze?

Thu skinął głową.

- Bardzo wielu, zresztą sam zobaczysz.

DeLuca roześmiał się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Ciekawe.

Thu położył klapę z powrotem na ziemi, przykrył druciane uchwyty i zasypał szpary dookoła.

- Myślicie, że potrafilibyście jutro sami znaleźć to miejsce?

Polana wróciła do poprzedniego wyglądu. Żaden z nich nie chciał się założyć, że potrafi.

- Zapewniam was, że nie będzie to łatwe - przyznał Thu, gdy nikt się nie odezwał. - Ale nauczycie się. W dżungli jest jeszcze trudniej, niektóre wejścia są dodatkowo zamaskowane roślinami.

- Nikt wam nie obiecywał łatwej roboty - wtrącił Carter. - Niech któryś z was na tym stanie.

DeLuca zrobił krok do przodu.

- Żadnej różnicy - zauważył.

- Podskocz do góry.

- Nic. Nieruchome jak skała.

- Zgadza się - powiedział Carter. - Nawet ja nic nie czułem, a jestem cięższy niż wy wszyscy. Sami widzicie, że nie mamy do czynienia z półgłówkami. Ci ludzie potrafią planować, budować i robić zasadzki.

- To kiedy schodzimy? - zapytał Gaines.

Carter uśmiechnął się.

- Cieszę się, że jesteście tacy chętni. Thu robi wam dziś mały wykład i rozda wyposażenie, a jutro poznacie tunele bliżej. Od środka.

W drodze powrotnej do Sajgonu Gaines zdecydował, że Thu jest człowiekiem godnym zaufania. Gdyby kłamał, po co opowiadał Carterowi o tunelach, a to, że były puste, było czystym zbiegiem okoliczności.

Poza tym Gaines uważał, że doświadczenie w walce nauczyło go właściwie oceniać ludzi. Z DeLuką było gorzej, cały czas mówił, jak bardzo mu nie ufa, na przemian z epitetami, wśród których „żółtek zdrajca” był jednym z najwyszukańszych. Nie dał się przekonać, zresztą Gaines nawet nie próbował. Czy im się to podobało czy nie, mieli przecież pracować razem. Pocieszał się, że z czasem wszystko się ułoży.

Zamiast do obozu, Carter zaprowadził ich do bazy za miastem, gdzie jedno z pomieszczeń magazynu było puste. Było w nim bardzo gorąco, ale przytulnie, nikt im nie przeszkadzał i każdy miał dość miejsca dla siebie.

Thu powiedział im o czyhających na nich pod ziemią pułapkach, nietoperzach, pająkach i innych stworzeniach, od których roilo się w pewnych miejscach tunelu, i o kilku bardzo praktycznych sprawach.

- Nie bierzcie swoich czterdziestekpiątek, są za duże i za głośne. Jak będziecie musieli strzelać pod ziemią, hałas was ogłuszy. Kapitan Carter przyniósł tutaj trochę broni do wyboru.

Gaines wybrał smith wessona kalibru 0.38, podobnie jak DeLuca. Hidalgo zdecydował się na taki sam kaliber, ale z dłuższą lufą.

- Bagnety też się mogą przydać - kontynuował Thu. - Ale nie do walki, tylko do badania gruntu. Wiele tuneli jest zaminowanych. Nie jest wykluczone, że będziemy musieli iść po omacku centymetr za centymetrem. Na koniec latarki.

Carter otworzył jakąś skrzynkę i podał każdemu po jednej metalowej latarce.

- I to wszystko? - zapytał DeLuca. - Wystawiamy się nie wiadomo na co z pistoletem, z bagnetem i z pierdoloną latareczką?

- Nie całkiem - odparł Thu. - Zapomniałem o jednym. Weźmiemy też granaty, ale wszystko inne ograniczałoby naszą zdolność poruszania się. Weźmiemy zapasowe żarówki, ale żadnych baterii. Będziemy je wymieniać przed każdym zejściem na dół. I pamiętajcie, nigdy nie strzelamy więcej niż trzy razy, bo inaczej zorientują się, ile nam jeszcze zostało i może być niewesoło.

- Moglibyśmy zabrać po kilka zapasowych kulek - odezwał się sarkastycznie DeLuca.
- Prawda - zauważył Thu. - Ale nie będziesz miał czasu, żeby przeładować, zanim cię zabiją.

DeLuca nie zareagował.

- Przez większość czasu będziemy się poruszać w zupełnych ciemnościach, a z latarkami stalibyśmy się doskonałym celem dla wroga.

Johnny Hidalgo poczuł mdłości. Ani nawet światła!

- Poza tym co jakiś czas będziemy musieli się rozdzielić: ktoś z nas pozostanie w głównym tunelu, a reszta pójdzie na rozpoznanie do bocznych korytarzy.

Boże, pomyślał Johnny. Sam, w ciemności pod ziemią... Starał się oddychać normalnie. DeLuca nie był w lepszym nastroju.

- Jak pierdolone szczury.

- Dokładnie - uśmiechnął się Gaines. - Tak się będziemy nazywać. Szczury tunelowe.

- E, tam - DeLuca nie był zadowolony. - Co byście powiedzieli na Nieustraszonych?

Carter roześmiał się w głos.

- Był taki serial w telewizji. Z twoimi papierami „Szczury” lepiej brzmią. Podoba mi się ta nazwa.

Hidalgo poklepał DeLukę po ramieniu próbując go rozweselić.

- Nie wygłupiaj się, Frank. Ty szczurze.

DeLuca uśmiechnął się. Szczury przeszły.

Następnego dnia pojechali na polanę bez Cartera.

- Co się stało z kapitanem? - zapytał DeLuca. - Nie chce się z nami pobrudzić?

- Nie - wyjaśnił Thu. - Za duży.

- Powiedzmy - wtrącił Gaines. - Pojechaliby z nami, gdyby mógł, ale wypadła mu jakaś ważna sprawa.

- Co to za sprawa? - zapytał DeLuca.

- Nie wiem, nie powiedział mi - odparł Gaines.

Major Pham jak zwykle dobrze się bawił. W pobliżu tuneli była jeszcze jedna wioska, którą miał zamiar „pouczyć”. Był tak zajęty swym zadaniem, że mało brakowało, by nie usłyszał nadlatujących śmigłowców.

Przekonał już wieśniaków, by wykopali dół, co sprawiło mu większą niż kiedyś przyjemność, bowiem byli dosyć oporni na perswazję. Musiał zastrzelić trzy kobiety, zanim

wzięli się za łopaty. Naprawdę, byli odważni. Pham był dumny ze swych rodaków.

Śmigłowce nadleciały od południa, gdy egzekucja już się zaczęła, dlatego nie usłyszał ich od razu. Rozkazał swoim ludziom zająć pozycje obronne, ale było za późno. Helikoptery wylądowały i właśnie wypluwały ze swych wnętrzości zielone sylwetki, które natychmiast puszczaly się pędem w stronę wioski ziejąc ogniem ze swych karabinów.

Kilkunastu ludzi Phama wpadło do rowu wprost na ciała swych ofiar. Kobiety próbowały schronić się w chatach z dziećmi, tymczasem Pham z uśmiechem na twarzy strzelał im w plecy i patrzył, jak przewracają się bluzgając krwią.

Gdy się obejrzał, mina mu zrzędła i nie chodziło mu bynajmniej o to, że zginęło tak wielu jego ludzi. Nie mógł sobie wybaczyć tego, że popełnił błąd, który Vinh mógł wykorzystać. Obawiał się tego bardziej niż śmierci. Wiedział, że generał orientował się doskonale w celach jego eskapad, że po cichu nim gardził i sądził, że jest zagrożeniem dla ich misji. A teraz okazało się, że ma rację.

Amerykański patrol musiał odkryć grób w poprzedniej wiosce i dlatego ich żołnierze zwracali baczniejszą uwagę na to, co się dzieje w okolicy. Znalazł się w pułapce.

Zawsze jednak pozostawał choćby cień szansy, że przeżyje i że będzie musiał stanąć przed Vinhem i odpowiedzieć za to, co zrobił. Podbiegł do rowu, chwycił AK-47 upuszczony przez któregoś z jego ludzi i zaczął strzelać w stronę nadbiegających Amerykanów. Oprócz rowu i chat nie miał się gdzie schronić, obawiał się jednak, że gdy marines wygrają bitwę, nie omieszkają dokładnie przeszukać każdej chaty i z pewnością go znajdą. Wymyślił więc plan awaryjny, po czym skoncentrował się na zabijaniu jak największej ilości żołnierzy wroga, zanim ci zmuszą go do skorzystania z planu.

Opróżnił jeden magazynek mierząc uważnie i strzelając pojedynczym ogniem. Więcej przyjemności sprawiało mu, gdy wiedział dokładnie, kogo zabija, zamiast walić na oślep seriami. Celował w głowę. Lubił, jak głowa człowieka pęka na dwoje i wytryska mózg, a hełm wali się bezradnie w trawę. Trafił trzech na pewno i jednego ranił, zanim wyczerpał się drugi magazynek. Rozejrzał się wkoło i dojrzał następny za paskiem zabitego żołnierza.

Amerykane byli coraz bliżej i niektórzy z jego żołnierzy zaczęli rzucać granaty, kłopot w tym, że amerykańska piechota też wiedziała, jak się nimi posługiwać. Pham zaczął wątpić w powodzenie planu, gdy jeden z granatów rozerwał się dziesięć metrów przed rowem z ciałami. Co prędzej schował głowę.

Niewielu z jego żołnierzy pozostało przy życiu. Jeden wyskoczył z rowu i puścił się biegiem w kierunku chat. Prawie mu się udało, ale seria w nogi powaliła go na ziemię, po czym następna dobiła.

Nadszedł czas. W rowie leżało wiele ciał, zaś Pham przez cały czas stał na ciałach dwóch ludzi z wioski. Pośliznął się na krwi i wnętrznościach. Nie czuł współczucia, byli przecież tylko mięsem. Z jego oddziału pozostało tylko dziesięciu ludzi zajętych desperacką próbą pozostania przy życiu. Jeden z nich dostał właśnie kulę w oko i upadł. Na Phama nikt nie zwracał uwagi.

Puścił serię w ciała pod stopami. Rozległ się trzask kości, popłynęła krew. Pham ukrył się między zwłokami usmarowawszy się uprzednio krwią po twarzy i mundurze. Obłożył się też urwanymi fragmentami ciał starając się, by wyglądały jak najnaturalniej.

Za chwilę było po bitwie. Strzały stały się sporadyczne, potem całkiem ucichły. Pham był przekonany, że żaden z jego ludzi nie przeżył. On też udawał martwego. Umarli nie mieli potrzeby oddychać, ich serca nie biły. Powoli, z wielkim wysiłkiem woli wprowadzał się w stan całkowitego wyobcowania z otaczającego świata.

Szeregowy Washington przyglądał się zabitym, którzy leżeli w rowie i nie wierzył własnym oczom. Tylu martwych ludzi w jednym miejscu. Boże to straszne, niewiarygodne. Dzień był bardzo gorący, muchy rozpoczęły już swój zwykły taniec. W powietrzu unosił się okropny odór, który z minuty na minutę będzie się pogarszał, a Farley Washington był w Wietnamie dopiero od tygodnia. Zabitych widział jeden jedyny raz, w wypadku samochodowym w Jersey. Wtedy tylko przejeżdżał, wypadek specjalnie go nie zainteresował.

A teraz? Chyba sam zabił kilku z nich. Nie był pewien, czy rzeczywiście, ale bardzo próbował. Dlatego zmuszał się do tego by patrzeć. Jeżeli miał odwagę pozbawić ich życia, powinno mu teraz jej starczyć na to, co miał przed oczyma. Może to dziwne, ale jemu wydawało się to sprawą honoru.

Jednak nie wytrzymał, czuł, że przewracają mu się wnętrzności i za chwilę zwymiotuje. Zjedzone wcześniej posiłki, nie dość, że niezbyt smaczne, dawały mu się jeszcze we znaki. Odwrócił się od rowu, nie powinien wymiotować na umarłych. Ale jeden z nich chyba...

Poczuł dotknięcie dłoni na ramieniu.

- Niezbyt przyjemnie wygląda, co? - powiedział głos.

Washington spojrzął do góry.

- Tak jest, panie kapitanie. Bardzo.

- Czujesz, że musisz popatrzeć, prawda? - powiedział Carter.

- Tak jest. - Obecność kapitana sprawiła, że poczuł się lepiej. Może się uda? Inaczej koledzy mieliby go za tchórza.

- Panie kapitanie, nie jestem pewien, ale wydaje mi się...

- Nie bój się, mów, o co chodzi.

- Widziałem, jak jeden z nich się ruszał.

Carter zjrzał do rowu. Niczego bardziej nie pragnął jak wziąć jakiegoś jeńca z okolic Cu Chi, największego skupiska podziemnych umocnień Wietkongu. Lecz tam? Rów wyglądał jak rzeźnia przed sprzątnięciem.

- Który? - zapytał.

- Nie... nie wiem dokładnie.

- Idź tam i zobacz. A przy okazji, jak się nazywasz?

- Washington, panie kapitanie.

- Dobrze, amerykańskie nazwisko. Podejdz tam i pokaż mi, który się poruszył.

Szeregowiec zrobił krok do przodu. Za wszelką cenę chciał uniknąć widoku ciał, ale przemógł się. Znalazł się wśród krwi, wydartych wnętrzności i zdeformowanych sylwetek ludzkich. Było to ponad jego siły.

- Ten, panie kapitanie - powiedział, wskazując na Phama.

- Nie wygląda zbyt radośnie - zauważył Carter przyglądając się zwłokom, które wyglądały, jakby postrzelono je wiele razy, bo całe były pokryte krwią i poszarpanymi kawałkami ciała. W pewnej chwili Carter zauważył, że jego mundur wydawał się być nienaruszony, chyba że dziury były pod warstwą krwi.

- Podaj mi karabin - rozkazał.

Carter pchnął Phama lufą. Ten nawet nie drgnął.

- Strzelę mu w głowę - warknął Carter. - Ty nic nie widziałeś.

- Nie, znaczy tak jest, panie kapitanie - żołądek Washingtona skurczył się niebezpiecznie.

- Jeśli jeszcze żyje - dodał Carter - to już niedługo.

I tak by się stało. Kapitan miał zamiar strzelić, lecz w tej samej chwili Pham zerwał się na równe nogi i próbował uciekać. Carter rzucił się za nim w pogoń nie zważając na ciała, potykając się o nie i ślizgając we krwi. Washington nie patrzył. Odwrócił się i zwrócił zawartość żołądka.

Carter dopadł Phama, jak ten próbował wydostać się z rowu. Złapał go za nogi i ściągnął z powrotem w dół. Major kopał zawzięcie trafiając kapitana piętą w brzuch. Carter potknął się, ale nie stracił równowagi. Skoczył do przodu, chwycił Phama za gardło i obaj spadli na zwłoki ochlapując się wzajemnie krwią. Na mundurze Phama nic nie było widać, zaś Carterowi nie zależało, chciał za wszelką cenę zdobyć jeńca.

Pham chciał odczołgać się dalej, lecz kapitan nie rozluźniał uchwytu. W pewnej chwili jednak dłoń ześliznęła mu się po wilgotnym mundurze Phama. W mgnieniu oka Pham wyskoczył z rowu i zaczął uciekać.

Nim przebiegł pięć metrów, tuż przed nim rozpruła ziemię seria z karabinu.

- Stać, nie ruszać się! - krzyknął Washington, który tymczasem wyciągnął z rowu zakrwawioną broń i wycelował w Phama.

- Stój, albo będziesz wyglądać jak ci w dole.

Pham nie rozumiał angielskiego, ale znał sens słów. Nie miał wyboru, zatrzymał się.

8

Thu zaskoczył ich każąc ponownie odszukać wejście do tunelu, zaś oni zaskoczyli siebie robiąc to w pięć minut. Gaines wprawdzie zauważył je wcześniej, ale chciał dać szansę wykazania się innym.

- Bardzo dobrze - pogratulował Thu, potem zademonstrował, jak się podnosi klapę za pomocą uchwytów.

Słońce świeciło teraz pod innym kątem, dlatego zauważyli, że tunel jest niezbyt głęboki.

- Zgoda - powiedział Thu - ale zapominacie, że one mogą mieć po kilka poziomów, które rozgałęziają się w różnych kierunkach. Ten może być wyjściem zapasowym albo przejściem do innego tunelu.

- Powiesz nam coś więcej? - zapytał DeLuca.

- Tylko tyle, że nigdy nie możecie wiedzieć, czego się tam spodziewać. Nie zakładajcie niczego z góry. Ja zareaguję dopiero wtedy, kiedy popełnicie błąd. Sami musicie go rozpoznać.

Mimo światła padającego z góry, Johnny skurczył się ze strachu. Oczywiście nic nie powiedział.

- Dzisiaj schodzimy parami - wyjaśnił Thu. - Każdy z was ze mną. Powiem wam, co widzicie albo co czujecie. I co, który pierwszy na ochotnika? A może według stopni?

Gaines podszedł do drzewa i odłamał gałąź.

- Nie ma sensu bawić się w stopnie, tam na dole i tak nie mają znaczenia. Będziemy ciągnąć losy.

- Najkrótszy idzie na końcu. Bierz, Hidalgo.

Johnny wyciągnął swój kawałek. Był dosyć długi, a kiedy DeLuca dostał się trochę krótszy, wiedział już, że idzie pierwszy, zanim Gaines pokazał trzymany w dłoni najkrótszy kawałek.

- Masz szczęście - powiedział Gaines do Hidalgo.

- Fajnie. - Johnny uśmiechnął się. Chciał uciekać, byle dalej, ale z wiadomych przyczyn nie zrobił tego. Czy był nadal tym samym człowiekiem, który dla zabawy potrafił wyskoczyć z jadącego samochodu, zwisał z dziesiątego piętra, aż palce zaczęły krwawić? Do

diabła, tak! Zejdzie na dół bez względu na to, ile go to będzie kosztować.

- Chodźmy - popędził Thu. - Ale najpierw ściągamy koszule.

- Co?

- Na dole jest okropnie gorąco - wyjaśnił - i brudno. Chyba nie chcesz sobie pobrudzić koszuli? Zabieramy nienaładowane pistolety, bagnety i latarki. Bez granatów.

Zrzucił koszulę i wsadził sobie pistolet z tyłu za pasek spodni.

- Przez cały czas będziemy się czołgać - dodał. - Z jedną ręką zajęta latarką i z bagnetem w drugiej nie ma jak trzymać broni, ale musisz być gotów w każdej chwili rzucić bagnet i chwycić za broń.

Johnny zdjął koszulę i naśladując Thu wsadził pistolet za pas.

- W porządku, jestem gotowy - powiedział z marsową miną wierząc, że nikt w to nie wątpi.

- Dobrze - odpowiedział Thu. - Idziemy.

Johnny wziął głęboki oddech i poszedł za nim.

Olbrzymi helikopter transportowy wisiał w powietrzu bijąc je olbrzymimi śmigłami. W środku, nie licząc pilota, było czterech mężczyzn. W jednym z nich rozpoznać można było kapitana Harrisona Cartera, w drugim majora Phama, który w mundurze poplamionym krwią starał się nie patrzeć w dół przez otwarte po obu stronach maszyny luki. Cierpiał na lęk wysokości, choć był pewien, że nikt o tym nie wie. Wioska wyglądała stąd jak niewielkie koło, a ludzie jak mrówki.

Pozostali dwaj nie przedstawili się ani Carterowi, ani nikomu innemu, mimo to wszyscy wiedzieli, że pracują dla CIA. Uderzało ich podobieństwo - młode twarze zastygłe w wyrazie przedwcześnie zdobytego doświadczenia, patrzące bezlitośnie oczy.

Pham doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wcale ich za to nie winił. I on tak samo zachowywałby się na ich miejscu. Wiedział, że wzięli go do helikoptera, żeby go przestraszyć. Bardzo dobrze mówili jego językiem. Przesłuchanie zaczęło się spokojnie, im więcej jednak mówili, tym bardziej zdawkowe stawały się odpowiedzi Phama.

- Dajmy go na świeże powietrze - zaproponował jeden po angielsku.

Pham zrozumiał intencję, lecz nie dał poznać po sobie strachu.

- Jesteśmy żołnierzami, nie mordercami - zaproponował Carter.

- Pierdolisz. Widziałeś ten dół, nie? I co, dalej myślisz, że to święty Mikołaj?

- My mieliśmy być inni - warknął Carter.

- W porządku, nie zabijemy go. Przewietrzy się tylko.

Bez ostrzeżenia nagle odwrócił się i kopnął Phama w głowę, a ten zatoczył się i upadł do tyłu.

- Bierz go za nogi. Zawiesimy go i zobaczymy, jak mu się podoba.

A do Cartera powiedział:

- Nie martw się, nie puścimy go, a nawet gdyby, będziesz wiedział, że to wypadek przy pracy.

Po skoku w dół tunel zrobił się szerszy. Thu i Hidalgo mogli stanąć wyprostowani koło siebie.

- Jak widać, jest tylko jedno wyjście. Prowadzisz.

Przez chwilę wydawało się Johnny'emu, że wszystko będzie w porządku. Tam gdzie stali, nie było nawet bardzo ciemno, a teraz Thu każe mu zejść w ciemność, do prawdziwego tunelu. Wziął oddech, przyklęknął i zajrzał do dziury.

- Nie ma tam nikogo - uspokoił go Thu. - Możesz zapalić latarkę.

Johnny skorzystał z rady.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - dodał.

W głowie Johnny'ego zaroilo się od węży, pajaków, nietoperzy i wszelkiego rodzaju pułapek. Rzeczywiście, było tak, jak się tego obawiał: ramionami ocierał się o ściany, a sklepienie wisiało tuż nad głową. Wyglądało, jakby lada chwila miało nań runąć i pogrzebać żywcem.

- Zatrzymaj się - głos Thu brzmiał głucho w tak małej przestrzeni. - Lekcja numer dwa. Jak jesteś pewien, że wróg jest blisko, musisz zgasić latarkę, jeśli tylko się tego spodziewasz, trzymaj ją gdzieś z boku, żeby się nie wystawiać łatwo na kule.

Niewesoło, pomyślał Johnny. Ale nie było odwrotu.

- Rozumiesz? - zapytał Thu.

- No. - Johnny'emu zaschło w gardle.

- Dobrze. Teraz ruszamy. Ostrożnie.

Johnny czołgał się badając bagnetem korytarz przed sobą i wyężając wzrok w poszukiwaniu pułapki. Dotarł do pierwszego zakrętu.

- Zatrzymaj się i odwróć - powiedział Thu.

Johnny posłusznie wykonał niełatwy manewr. Kiedy spojrzął na Thu, zobaczył w jego dłoniach jakiś kształt, przypominający zabloconą minę.

- Bum! - powiedział Thu. - Jesteś sztywny.

Pham zawisł wysoko nad ziemią i stłumił krzyk strachu. Nie miał zamiaru dać im tej satysfakcji. Zamknął oczy i zmusił się do myślenia o tym, jak spokojnie jest w powietrzu. Ponad nim z maszyny wychylało się dwóch mężczyzn, z których jeden trzymał go za nogi, a drugi zadawał pytania próbując przekrzyczeć ryk silników.

- Gdzie macie bazę? Kto wami dowodzi? Ilu macie ludzi?

Pham nie odpowiadał. Pomyślał przelotnie o ludziach, których zabił i zastanawiał się, co czuli przed śmiercią. Nie żeby go teraz zaczęli obchodzić, po prostu z ciekawości. Ale żeby świat mógł obyć się bez niego? Niemożliwe.

- Decyduj się! - krzyknął mężczyzna. - Mój kolega łatwo się męczy.

Psychologia, powiedział sobie Pham. Nie zrzucą go. Wszyscy wiedzieli, że Amerykanie nie potrafili zabijać. Nagle wydało mu się, że uchwyt dłoni Amerykanina zelżał. Niemożliwe! Jego prawa noga zadyndała w powietrzu. Oni naprawdę chcieli go zrzucić.

- Dowódca! - krzyknął drugi z nich.

Pham zmusił się do zachowania spokoju. Jeżeli uda mu się dostać z powrotem do helikoptera, miał szansę uciec albo przynajmniej zginąć z godnością. Cóż można było osiągnąć upadkiem i roztrzaskaniem się o ziemię?

- Vinh! - krzyknął - Generał Vinh!

- Wyciągnij go - padły słowa.

Po godzinie Thu i Hidalgo wyszli z tunelu brudni i spoceni. Ich twarze prawie nie dało się rozpoznać.

- Jak było? - zapytał DeLuca.

- Sam zobaczysz - odparł Johnny.

Thu napił się wody z manierki i po krótkim odpoczynku był gotów na kolejną rundę, tym razem z DeLuca.

Pham powiedział im tyle, że byli zadowoleni, ale jednocześnie zachował dla siebie to, co mógł. Powiedział im o generale, ale ani słowa o tunelach, o siłach wojsk czy uzbrojeniu.

Znów wysłali go „na powietrze”.

- Nie wiem, jak długo mój kolega wytrzyma! - krzyczał jeden z nich. - Minutę, może mniej?

Pham tym razem nie mógł zamknąć oczu. Z przerażeniem wpatrywał się w ziemię i wrzeszczał, że powie wszystko. Kiedy go wciągnęli, usiadł na podłodze helikoptera trzęsąc się ze strachu. Minęło kilka minut, zanim mógł przemówić choć słowo.

Carter patrzył beznamiętnie na to, co się dzieje. Nie próbował tortur jako metody przesłuchiwania więźniów, lecz tą akcją nie dowodził. Był kimś w rodzaju gościa. Jeżeli sytuacja wymknie się spod kontroli, miał zamiar zareagować, inaczej nie.

Jeden z przesłuchujących kucnął przed Phamem i zaczął bić go po twarzy, najpierw delikatnie, otwartą dłonią, potem ciosy stały się mocniejsze. Cieniutka strużka krwi pojawiła się w kącie ust Phama.

- Teraz mów.

Pham powiedział im wszystko, co wiedział, lecz nie było tego wiele, bowiem Vinh mu nie ufał. Nie wiedział, co kryje się za znaczną koncentracją sił wietnamskich w okolicach tuneli.

- Wierzysz mu? - zapytał przesłuchujący.

- Chyba tak. Myślę, że powiedział wszystko, co wie.

- W porządku. To może by go teraz za burtę?

Oczy Phama otwarły się szeroko ze strachu. Nie rozumiał dokładnie, ale sens był jasny.

- Dlaczego nie?

DeLuca zaszedł dalej niż Hidalgo. Znalazł minę i spytał Thu, co z nią zrobić.

- Przejdź nad nią i miej nadzieję, że ziemia wkoło nie jest zbyt wrażliwa na wstrząsy.

Pokonali pierwszy zakręt i DeLuca zauważył biegnącą w poprzek korytarza linkę, która trochę w inny sposób niż tło odbijała światło latarki. Hidalgo też ją zauważył w czasie swojej rundy i Thu był bardzo zadowolony, bowiem przechodziła nisko nad ziemią i dla niepoznaki wysmarowana była błotem.

- Obejrzyj ją sobie - powiedział Thu - nic ci nie grozi tym razem.

DeLuca przejechał ręką po lince aż do miejsca, w którym wchodziła w ścianę. Szarpnął lekko oczekując, że stawi opór, lecz zamiast tego w ścianie otworzyły się maleńkie drzwi. DeLuca poświecił do środka. Było nie większe od dużego pudełka zapalek.

- Gdybyś się przeczołgał nad linką, rozerwałoby cię na strzępy. Pewnie nigdy byś się nie zorientował, co zrobiłeś. Ale ja tak.

Ale się wymądrza, pomyślał DeLuca.

- Powiedz mi.

- To pudełko, które właśnie otworzyłeś, było kiedyś pełne skorpionów. Wylazłyby na korytarz po tym, jak przeszedłeś. Najprawdopodobniej nie zabiłyby mnie, chyba że byłbym uczulony na ich jad, ale dość uprzykrzyłyby mi życie.

DeLuca zauważył niedomówienie, ale nic nie powiedział. Poszli dalej w głąb tunelu. DeLuca poczuł się pewniej. Z pewnością zastawili kilka pułapek przy wejściu, ale dalej nie. Myśleli, że dostaną cię od razu i po wszystkim.

Wtedy wpadł do dziury.

- Cholera! - krzyknął na cały głos.

- Nic ci nie jest? - zapytał Thu.

- Chyba nie. Co to jest, do diabła?

- Pułapka - powiedział krótko Thu.

DeLukę przebiegł zimny dreszcz. W dole mogło się roić od zaostzonych palików posmarowanych kałem. Jeżeli one nie zabiły od razu, istniało duże prawdopodobieństwo, że zrobi to zakażenie.

- Dół nie jest głęboki, nie musi być. Gdyby były tam paliki, na pewno byłbyś ranny, a przynajmniej nie chciałoby ci się kontynuować wycieczki po tunelu. Poza tym miałbyś kłopoty z powrotem.

O tym DeLuca nie pomyślał.

- Jak mam się stąd wydostać, kiedy jestem ranny? - zapytał.

- Mieć z sobą kogoś, kto cię poniesie.

- Poniesie?

- Na plecach. Tak jak robią strażacy. Chyba nie chciałbyś, żeby ci się coś podobnego przytrafiło?

- Pewnie, że nie. - DeLuca wydostał się z pułapki. - Byłem zbyt pewny siebie.

- Dlatego robimy sobie taką wycieczkę. Nauczysz się, że powinieneś zawsze mieć się na baczności. A teraz ci pokażę, dlaczego nie zauważyłeś dziury.

Na te słowa Pham wystraszył się nie na żarty i zaczął rozglądać za jakąś bronią. Jeżeli musiał, chciał umrzeć w walce. Nie da się wyrzucić z helikoptera, dopóki ma jeszcze dość siły, by walczyć. Amerykanie rozbroili go wewnątrz maszyny i kątem oka zauważył dwa granaty wiszące na uprząży, którą zdobył na jakimś amerykańskim żołnierzu.

Zanurkował pod wyciągniętymi ramionami mężczyzn, którzy go przesłuchiwali, chwycił jeden z granatów i pokazał im, by dobrze widzieli, co ich czeka.

- Stój! - krzyknął Carter. - Nic ci nie zrobią, ja tu teraz przejmuję dowództwo! Odłóż granat, obiecuję, że nic ci się nie stanie!

Carter uważał agentów za idiotów. Skąd mogli wiedzieć, że Pham powiedział im wszystko? Powinni go byli od razu zabrać do bazy i dać penotalu. Carter zrozumiał

poniewczasie, że powinien był wcześniej włączyć się do akcji. Może ci faceci z CIA byli zawodowcami, ale z pewnością nie w jego stylu. Tę robotę spieprzyli, aż miło.

- Możesz mi wierzyć! - krzyczał Carter. - Nic ci się nie stanie, rozumiesz?

Pham nie rozumiał, ale sytuacja była klarowna. Wysoki mężczyzna chciał, by mu zaufać. W chwili nieuwagi jeden z dwóch pozostałych rzucił się na niego. Pham zauważył go i cofnął się krok do tyłu, potknął i odbezpieczył granat. Zawleczka upadła na podłogę i choć w śmigłowcu było za głośno, by cokolwiek usłyszeć, nikt nie miał wątpliwości co do tego, co stanie się za chwilę.

Mieli najwyżej dziesięć sekund. Carter nie wahał się, skoczył w kierunku Phama i trafił go stopą w udo. Impet uderzenia był tak silny, że Wietnamczyk wypadł przez otwarty luk. Zaskoczony, nie puścił granatu, jakby ten miał go w cudowny sposób uratować. W chwilę później granat eksplodował rozrzucając szczątki Phama nad okolicą.

- Ale z was buce - wycedził Carter.

Nie bronili się. Wiedzieli, że ma rację.

Thu i DeLuca bardzo starannie odbudowali pułapkę, ale Gaines i tak ją znalazł. Pod ziemią czuł się przynajmniej tak pewnie jak Thu, poza tym wiedział, że musi być ostrożny. Zaskoczyło go, że niewiele myślał o swym ostatnim pobycie pod ziemią, kiedy w zawale zginął jego ojciec.

Tunel skończył się jeden zakręt za pułapką. Wbił bagnet kilka razy w ścianę, ale nic za nią nie było, tylko glina.

- Niezbyt długi ten tunel - poskarżył się.

- Pod warunkiem, że nic nie przeoczyłeś - powiedział zagadkowo Thu.

- Aha.. - Gaines zastanawiał się przez chwilę, ale niczego nie wymyślił. - Chyba jednak przeoczyłem, co?

- Inni też. Nie przejmuj się, poszło ci znakomicie.

Thu opowiedział mu o przygodach pozostałej dwójki.

- Nie wygląda różowo - stwierdził.

- Ale nie wygląda też czarno. Pamiętaj, że pierwszy raz byli w takim miejscu. Przynajmniej będą mieli trochę praktyki zanim porwą się na prawdziwy.

- Trochę jakby za mało - zauważył Gaines.

- Nie całkiem - zapewnił Thu. - Zapominasz o czymś.

- Tak, o tym co przeoczyłem. Ale chyba nie jest tego zbyt wiele.

- Zobaczysz - powiedział Thu. - Inni też. Czas, żebyśmy weszli razem do tunelu, żeby

sprawdzić, czy poradzimy sobie jako drużyna. I znaleźć to, cośmy przegapili.

- Więc do roboty - powiedział Gaines.

Poszli w kierunku wyjścia.

Dokładnie nad nimi była kłapa łącząca dwa korytarze.

Na oko nie różniła się niczym od otaczającej gliny, oni zaś tak bardzo skupili się na omijaniu pułapek i innych niebezpieczeństw, że nawet nie pomyśleli o tym, co może być u góry.

- Boże - westchnął DeLuca. - Nie mieści mi się w głowie. Nie dość, że trzeba mieć oczy z przodu i z tyłu, to jeszcze u góry. Mówię wam, że dostaną nas za pierwszym razem.

- Hej! - powiedział Johnny, ukrywając własny strach pod warstwą humoru. - Dlatego tak dobrze nam płacą.

- Wiem coś o tym - odparł DeLuca.

- Kłapa - powiedział Gaines. - I co dalej?

- Musimy sprawdzić, co jest piętro wyżej - uśmiechnął się Thu.

- A pierwszy, co wystawi głowę... - DeLuca nie skończył.

Wszyscy zamilkli.

- Zupełnie nie myślicie - ostrzegł Thu.

- Rozumiem - powiedział DeLuca. - Granaty!

Thu był zadowolony.

- Nie mamy ich teraz, ale potem będziemy. Teraz wypadałoby z nich skorzystać.

DeLuca dokończył za niego.

- Pewnie. Nawet jeżeli tunel zakręca, rzucamy granat, a po wybuchu nie będzie w pobliżu nikogo, kto mógłby nam przeszkodzić. Mamy piętnaście - dwadzieścia sekund, zanim zaczną do nas strzelać.

- A jak będziemy musieli działać z zaskoczenia? - zapytał Gaines.

Trudno było wzruszyć ramionami w ciasnym tunelu, ale Thu mimo to spróbował.

- Zaryzykujemy.

- Fajnie - rzucił DeLuca. - Po prostu bomba.

Hidalgo nie odzywał się. Źle się czuł w tak małej przestrzeni i miał kłopoty z oddychaniem. Dziwił się, że inni robili to normalnie.

- Zobaczmy, co się dzieje na górze - zaproponował Gaines.

Thu stanął dokładnie pod kłapą, kucnął i wypchnął kłapę ku górze.

- Chodźcie za mną.

Korytarz był jeszcze węższy niż poprzednio i musieli się prawie przez niego przeciskać. Ale niedługo. Za pierwszym zakrętem rozszerzał się i wydawał prowadzić w dół. Po chwili Gaines zorientował się, że byli głębiej pod powierzchnią niż w pierwszym tunelu. Byli teraz w głównym korytarzu większego kompleksu, gdzie nie było min ani innych pułapek. Korzystało z niego zbyt wiele osób.

Po przejściu krętymi korytarzami około stu metrów dotarli do większego pomieszczenia. Mieli wystarczająco dużo miejsca, by się wyprostować.

- Szpital - poinformował ich Thu. - Korzystało z niego wielu rannych. Jak widzicie, teraz jest pusty.

- Bzdury - parsknął DeLuca. Przez cały czas zachowywał się podejrzliwie w stosunku do tego, co opowiadał Thu. - Wszyscy by się pozarażali jeden od drugiego.

- Masz rację - przyznał Thu. - Ale niektórzy przeżyli. Znacznie więcej niż gdyby ich pozostawić samym sobie. Narzędzia chirurgiczne wygotowywano w zwykłych garnkach. Materiał z amerykańskich spadochronów był używany do pokrycia ścian. Patrzcie. - Thu wskazał na korytarz, gdzie stały obok siebie cztery rdzewiejące metalowe łóżka.

- Łóżka szpitalne - powiedział.

- Niech mnie diabli - wyrwało się Gainesowi.

- Skąd idzie światło? - zapytał DeLuca.

- Z szybu wentylacyjnego - wyjaśnił Thu. - Wychodzi na samą powierzchnię, ale mieli tu też żarówki zasilane bateriami.

- Ciekawe - powiedział Gaines.

- Jest tego więcej. - Thu poprowadził ich dalej, do kuchni. - Szyby wentylacyjne nie bardzo radziły sobie z usuwaniem dymu, ale w razie czego trzeba było i tak. Gotowano przeważnie w nocy, więc dym rozpraszał się między drzewami.

Fakt, że dym znajdował sobie w jakiś sposób drogę na zewnątrz, podniósł Johnny'ego na duchu, a światło z szybu wentylacyjnego, nie wiadomo dlaczego ułatwiło mu oddychanie.

- Jak się czujesz, Johnny? - zapytał Gaines.

- Ja? Wszystko w porządku, to tylko skurcz - podskoczył kilkakrotnie, by rozciągnąć mięsień. - Nic mi nie będzie.

Thu popatrzył nań z zaciekawieniem, ale nie odezwał się.

- Czy chcesz nam jeszcze coś pokazać? - spytał Gaines.

- Pewnie. Na tym nie koniec.

Wraz z Thu zagłębili się w następny korytarz.

Generał Vinh dowiedział się o amerykańskim ataku na oddział Phama w kilka minut po jego rozpoczęciu. Nie miał pojęcia, jaki będzie wynik potyczki, ale nie mógł ryzykować. Ze wszystkich możliwych rozwiązań jedno wydawało mu się najkorzystniejsze, lecz nie podzielił się z nikim tą myślą. Wydał swoim ludziom rozkaz przeniesienia wszystkiego do tuneli. Misja była zbyt ważna, by miał ją narażać z powodu Phama, który i tak miał niewielkie szanse przeżycia. Wiedział, że major jest głupcem i zagrożeniem dla powodzenia ofensywy. Teraz było za późno, można było schronić się w tunelach i mieć nadzieję, że Amerykanie sobie pójdą.

Za godzinę na powierzchni nie pozostało ani śladu obozu. Tylko jeniec z oddziału Phama mógłby dać Amerykanom jakąś wskazówkę, ale nawet sam major nie znał wszystkich planów Vinha.

System tuneli, do których wycofał się Vinh, był podobny, lecz znacznie rozleglejszy niż ten, który w tej samej chwili zwiedzali Gaines z drużyną. Oprócz szpitala i kuchni były tam magazyny, pomieszczenia konferencyjne, latryny, schrony, a nawet magazyny amunicji z porozbieranymi na części i naoliwionymi działami, które w razie potrzeby można było szybko złożyć i wprowadzić do akcji.

Największą przestrzeń zajmowały kwatery oddziałów i właśnie tam skierował się teraz porucznik Huu Oanh. Był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Vinha, którzy znali cały plan, i który w razie, gdyby coś mu się przydarzyło, przejąłby dowodzenie operacją. Jak wszyscy inni zastanawiał się teraz nad wynikiem bitwy oddziału Phama, ale raporty nie były pomyślne. Amerykanie mieli liczebną przewagę i najprawdopodobniej niewielu ludzi z oddziału, Phama powróci.

Oanh nie przejmował się tym zbyt. Skulony w ciasnej jamie do spania, zaczął czytać tomik poezji przy słabym świetle świecy. Wkrótce jednak dym sprawi, że powietrze w jego jamie stanie się nie do zniesienia. Poza tym było bardzo gorąco i pocił się intensywnie. Oczywiście zdarzało się to nawet na powierzchni, ale tam przynajmniej od czasu do czasu czuło się powiew wiatru. W tunelu nic.

U wejścia pojawił się Vinh.

- Czas, żebyśmy porozmawiali o naszych planach - powiedział.

Oanh odłożył książkę. Vinh pobrudzony gliną wyglądał jak prosty chłop, ale przy jego posturze trudno było pozostać czystym w tunelu.

- Czy moglibyśmy pójść do sali konferencyjnej? - zapytał.

- Oczywiście - odparł generał. - Będzie z nami kilku innych.

Powoli poszli w głąb korytarza mijając po drodze żołnierzy.

Sala konferencyjna była znacznie większa od pozostałych pomieszczeń, ze stołem i czterema krzesłami na środku. Z szybu wentylacyjnego dochodziło słabe światło. Gdy weszli do środka, zastali tam już dwóch mężczyzn.

- Obawiam się, że dzisiejszy wypad Phama może nas kosztować powodzenie całej operacji - zaczął Vinh.

- Racja - zgodził się kapitan Quyet, siedzący po lewej stronie generała. - Właśnie otrzymałem meldunek od naszego zwiadowcy. Powiedział, że wszystko wskazuje na to, że wszyscy ludzie Phama zginęli.

- Czy wiadomo coś o nim samym? - zapytał beznamiętnie Vinh.

Quyet wzruszył ramionami.

- Nic. Możemy tylko przyjąć, że zginął w walce. Zwiadowca powiedział, że w wiosce nie słychać już strzałów, a Amerykanie mają nad nią całkowitą kontrolę. Nie zauważono nikogo z naszych, zmierzających w kierunku poprzedniego obozu.

- Co z naszym planem? - zapytał Oanh.

- Przyspieszymy uderzenie - zdecydował Vinh. - Kiedy możemy zaczynać?

- Za dwa dni - odparł Oanh - Nie mniej. Trzeba jeszcze dopracować kilka szczegółów.

- Więc za dwa dni. Do tej chwili nikomu nie wolno wychodzić z tunelu z wyjątkiem warty w pajęczym gnieździe.

- To jest pajęcze gniazdo - powiedział Thu.

Znajdowali się teraz na powierzchni. Z wdzięcznością przyjęli propozycję Thu, który przezornie zabrał ze sobą kanister wody i gąbki, by się umyli i trochę odpoczęli. Nadal nie całkiem przypominali ludzi, lecz teraz czuli się o niebo lepiej. Potem Thu zabrał ich na skraj drogi i pokazał im pierwszą linię obrony.

Pajęcze gniazdo było tak samo ukryte jak główne wejście do tunelu. Kłapa wyplatana z bambusa, zamaskowana roślinami, dawała się lekko podnosić i opuszczać.

- Ten korytarz prowadzi do głównego tunelu, z którego właśnie wyszliśmy, a w tym miejscu wystawia się warty.

DeLuca patrzył przez zarośla.

- Widać stąd drogę. Thu przytaknął.

- Byłoby ich więcej, gdyby w tunelu działo się coś ważnego. Ten służył tylko za kryjówkę w razie niebezpieczeństwa, więc nie było potrzeby wystawiania więcej niż dwóch strażników, którzy śledzili ruch na drodze.

Gaines przypomniał sobie nagle potyczkę, w której zginęli Helms, Gorman i Fletcher,

żołnierzy Wietkongu wyskakujących spod ziemi to tu, to tam. Prawdopodobnie stali na straży tunelu, zaś on i jego ludzie zagrażali im w jakiś sposób, więc stąd otworzyli ogień.

- W większych systemach jest więcej takich gniazd, co? - zapytał.

- O tak - odparł Thu. - Kiedy cały oddział znajdzie się już w tunelu, albo nic nikomu nie grozi, strażę też się chowają. W razie wpadki niszczą korytarz za sobą. Poza tym zwykle całe dojście jest dosłownie usiane pułapkami.

- A ty nam zaraz pokażesz kilka z nich - prychnął DeLuca.

- Tak - Thu uśmiechnął się. - Odpoczęliśmy sobie, więc czas na dalszą naukę. Gotowi?

Gaines i DeLuca przytaknęli. Hidalgo próbował przywołać na twarzy wyraz zainteresowania.

- Idziemy. - Thu pierwszy wśliznął się do dziury.

Oanh skulony w swej jamie z tomikiem poezji żałował, że nie mogą wcześniej wyruszyć do akcji. Im prędzej wyjdzie z tej dziury, tym lepiej. Dym świecy, choć nie było go wiele, zaczynał gryźć w oczy. O życiu pod ziemią można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest przyjemne, lecz znał takich, którzy zamieszkiwali tam aż przez pięć lat podczas wojny z Francuzami. Miał nadzieję, że wojna z Amerykanami nie będzie trwała tak długo. Nie uśmiechała mu się myśl spędzenia reszty życia w ciemnych, gorących i zatłoczonych norach.

Dziwne, lecz w czasie wojny z własnej woli mieszkał w takich warunkach, które wcześniej uważałby za zbyt prymitywne nawet dla zwierząt. Najgorsze, że ludzie przyzwyczajali się do najgorszych rzeczy, nawet do tych, które przerastały ich wyobraźnię.

Odłożył tomik z poezją, bo nie potrafił się skoncentrować na urodzie języka, gdy jego głowa pełna była tak przygnębiających myśli. Zastanawiał się, nie pierwszy raz zresztą, dlaczego Amerykanie podjęli interwencję w wojnie domowej, i dlaczego jego własny naród nie mógł żyć w pokoju z braćmi, dlaczego Północ i Południe musiały się wzajemnie zwalczać.

Nie potrafił sobie z tym poradzić. Może odpowiedź leżała w samej naturze człowieka, tej samej, która sprawiała, że przystosowywał się do życia pod ziemią, tej samej, co zrodziła Phama, którego pragnienie krwi zmusiło ich do zmiany planów.

Zwinął się w kłębek i próbował zasnąć...

10

Tego wieczora Gaines był zaproszony na kolację do domu Bok Van Thu. Przyjął to jako oznakę zaufania do jego osoby, a może czegoś więcej, chyba rodzącej się przyjaźni.

Przybył tuż po zmierzchu i zapukał do domu, który z zewnątrz wydawał się podobny do wielu innych. Przywitała go żona Thu i przedstawiła mu dwójkę ich dzieci - dziesięcioletniego chłopca Kima i kilkunastoletnią dziewczynę o błyszczących oczach i kruczoczarnych włosach. Miała na imię Khanh, lecz poprosiła Gainesa, by nazywał ją Rose.

- Rose - zastanowił się. - To znaczy twoje imię po wietnamsku?

Dziewczyna spuściła oczy i uśmiechnęła się.

- Nie, ale podobają mi się amerykańskie imiona.

Młody mężczyzna, który przyszedł do nich w odwiedziny, zrobił na niej wielkie wrażenie. Miała nadzieję, że i ona nie pozostanie mu obojętna.

Natomiast jej brat nie był wcale nieśmiały i niewiele rzeczy robiło na nim wrażenie.

- Widziałem w telewizji Johna Wayne'a - powiedział na początek. - Znasz Johna Wayne'a?

Gaines roześmiał się.

- Muszę cię rozczarować, Kim, ale niestety nie.

Do rozmowy włączył się Thu, który właśnie wszedł do pokoju.

- Kimowi wydaje się, że jedynym Amerykaninem, jakiego warto znać, jest John Wayne. Naoglądał się filmów, a teraz chce się nauczyć jeździć konno.

- Przynajmniej to umiem - powiedział Gaines. - Ale długo nie jeździłem.

Posiłek bardzo mu smakował. Wszystko było tu o niebo lepsze niż w stołówce, nawet zwykły ryż, gotowany z nieznanymi mu przyprawami, smakował jakoś inaczej.

Rozmowa zeszła na temat wojny, co do której wszyscy byli pewni, że niedługo się skończy i na życie w Ameryce, co bardzo zainteresowało Rose.

- W telewizji oglądałam filmy o Nowym Jorku. Czy naprawdę tak tam jest?

- Chyba tak - odparł Gaines. - Ale dokładnie nie wiem, bo nigdy tam nie byłem.

Poznał, że jest rozczarowana, ale zaraz zaczęła pytać go o inne rzeczy, a gdy dowiedziała się, że pochodzi z Montany i że pracował w kopalni złota, rozmowie nie było końca.

Gaines nagle zorientował się, że czuje się u nich bardzo dobrze. Po raz pierwszy zrozumiał, co Thu miał na myśli mówiąc, że rodzina jest dla niego najważniejsza. Jego dzieci były przyszłością nie tylko Wietnamu, ale całego świata i Thu naprawdę starał się im zapewnić jak najlepsze warunki.

Nim skończył jeść, wszelkie wątpliwości, jakie kołatały w jego głowie co do lojalności Thu, zniknęły bez śladu.

Posiłek porucznika Oanha nie był tak smaczny. Dostał tylko ryż z sosem rybnym, ale i tak miał szczęście. Szyby wentylacyjne nie działały dobrze, więc trzeba było wygasić kuchnię, zanim udało się ugotować cały ryż. Niektórzy nie dostali nic.

Oanh zawiązał swoją porcję w liść bambusa i zaniósł ją do jamy, gdzie przykucnął i zaczął jeść. Sos rybny musiał być chyba zepsuty, bo pozostawił mu w ustach nieprzyjemny posmak. Tak czy owak był w lepszej sytuacji, niż większość żołnierzy. Niektórzy nie mieli nawet jamy do spania. Zajęci innymi zadaniami nie mieli czasu, żeby je sobie wykopać i musieli spać na korytarzach albo po kilku w większych pomieszczeniach. Poza tym nigdzie nie można było się umyć. Czasami ludzie pozostawali w tunelu całymi miesiącami nie myjąc się ani raz.

W tunelu nie istniały dzień i noc. Po pewnym czasie ludzie otoczeni całkowitą ciemnością zaczęli odczuwać zaburzenia naturalnego rytmu życia, aż do momentu, gdy przestawało im na czymkolwiek zależeć, z ostatecznym wynikiem wojny włącznie. Snuli się na pół śpiący po korytarzach jak cienie umarłych. Byli przecież pod ziemią.

Istniały oczywiście wyjątki, ludzie, którzy nawet w tak skrajnych warunkach funkcjonowali zupełnie normalnie. Przeżywając powoli swój posiłek Oanh miał nadzieję, że należy do tej drugiej grupy, lecz nadzieja ta z każdą chwilą malała.

Frank DeLuca i Johnny Hidalgo lubili się zabawić, ale żaden z nich nie miał ostatnio ku temu okazji. Życie obozowe zaczynało dawać im się we znaki, więc Frank zaproponował koledze, by poszli rozerwać się do miasta.

- Skoro nasz porucznik chce się bratać z tym cholernym żółtkiem, niech mu świeci. My potrafimy sobie zorganizować wolny czas.

- Thu jest teraz z nami, a to znaczy, że jest naszym kumplem - tłumaczył Johnny.

- Może tak, może nie - sprzeciwiał się DeLuca. - Ja nie potrafię uwierzyć komuś, kto zdradza swoich.

- Porucznik mówił, że przeszedł na naszą stronę bo zrozumiał, że mamy rację.

- Zdradził swoich, kiedy przeszedł na naszą stronę, jeśli w ogóle przeszedł. Nas też może zdradzić, jak nadarzy się okazja. - DeLuca machnął ręką. - Ale dajmy sobie z nim spokój. Idziemy, czy nie?

Johnny nie miał nic przeciwko temu, bowiem chciał jak najprędzej zapomnieć o tunelach. Ostatnia wyprawa nie udała się tak, jak planował, prawdę mówiąc gdyby nie interwencja Gainesa, nieźle by oberwał od chłopaków z Oklahomy. Tym razem obiecał sobie, że nie spojrzy nawet na karty.

- Znam taki bar, gdzie dziewczynki pracują topless - powiedział.

- Z ust mi wyjąłeś - przyznał DeLuca. - Mam nadzieję, że będą chętne do współpracy.

Johnny skinął głową.

- Na pewno takie znajdziemy.

- To na co czekamy?

Za dwadzieścia minut dotarli do „Złotej Dziewczyny”, niedaleko od centrum Sajgonu. Choć było już ciemno, ulice tętniły życiem, a błyskające światła przypomniały mu nocne życie w Bostonie. Poczul się jak w domu.

Weszli do środka i natychmiast uderzył ich w uszy głośny dźwięk rocka, w którego rytm tańczyła na podium dziewczyna ubrana tylko w spód skąpego kostiumu kąpielowego. Zebrani dookoła mężczyźni wpychali tam banknoty dolarowe i klaskaniem zachęcali do dalszego tańca.

DeLuca i Hidalgo przepchali się wśród tańczących par do baru. Na razie chcieli przyjrzeć się dziewczynie.

Jak na kobietę ze Wschodu miała dość duży biust na przemian zakrywany i odkrywany długimi czarnymi włosami. Ciało posmarowane jakimś olejkiem szклоło się i błyszczało w światłach reflektorów przecinających wypełnioną dymem salę.

- Cholera - wydyszał DeLuca. - Kiedy ostatni raz miałem coś takiego...

- Będziesz musiał jeszcze trochę poczekać - zgasił jego zapal Hidalgo. - Ona nie jest do wzięcia.

DeLuca obruszył się.

- Dlaczego nie?

- Nie lubi mężczyzn.

- Bredzisz - powiedział zawiedziony DeLuca.

- Nie. Wiem z dobrego źródła.

- Szkoda.

Jego rozczarowanie zmniejszył trochę fakt, że podeszły do nich dwie dziewczyny od

innego stolika.

- A może tak szampana, żołnierzu? - zapytała jedna z nich przyjemnym, niskim głosem. Nie dorównywała atrakcyjnością tancerce, nie była też tak skąpo ubrana, ale najwyraźniej przyjaźnie usposobiona. Jej przyjaciółka zaś i wydawała się zainteresowana Johnnym.

- Tamci, z którymi siedzieliśmy, nie chcieli nam postawić drinka - kontynuowała. - Mialiśmy nadzieję, że wy nie będziecie tak skąpi - uśmiechnęła się odsłaniając przerwę między górnymi zębami. DeLuca uważał to za nieomylny znak gorącego temperamentu kobiety.

- Wiedzieliście, kogo wybrać - uspokoił ją DeLuca. - Ludzie mówią o nas, że jesteśmy rozrzutni. Chodźmy do jakiegoś stolika.

- Dobry pomysł - przyznał Johnny.

Zamówili szampana i usiedli.

- Zatańczymy? - zaproponował DeLuca.

- Pewnie - odpowiedziały razem kobiety.

Trzech mężczyzn siedzących kilka stolików dalej nie było zadowolonych z takiego obrotu sprawy.

- Dziewczynki winne nam były coś więcej niż te parę minut, przecież postawiliśmy im po piwie, no nie, Eddie? - zapytał jeden.

- Masz rację, Tommy - zawtórował drugi. - A ty, Leon?

Leon próbował przebić wzrokiem mętną od dymu atmosferę baru i smutno potrząsnął głową.

- Szlag mnie trafia, że dziewczynki poszły sobie do tego małego śmierdźla, co nas chciał kiedyś orznąć w karty.

- Nie, to nie on - Eddie, któremu dosyć porządnie szumiało w głowie, zaczął się przyglądać Johnny'emu - Zdaje ci się.

- Tobie się zdaje! - krzyknął Leon. - Najpierw obrobił nas w karty, a teraz zabiera nam dziewczyny.

- No - przyłączył się Tommy.

Leon spojrzał na nich groźnie.

- I co, ujdzie mu to na sucho?

- Nie. - Tommy potrząsnął głową.

- Eddie?

- Pierdolę go.

Leon odsunął krzesło i wstał.

- Dobra chłopaki. Do roboty.

Thu i Gaines wyszli po kolacji na zewnątrz.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - zaczął Thu. - O jednym z naszych ludzi.

- Hidalgo - domyślił się Gaines.

- Ty też zauważyłeś.

- Pod ziemią czuł się jakoś niepewnie. Czy jest jeszcze coś?

- Nie wiem, ale on najwyraźniej się bał. W walce może się to okazać bardzo groźne.

Gaines wiedział, że Thu ma rację.

- W papierach piszą, że jest odważny aż do szaleństwa.

- Niektórzy ludzie nie bardzo sobie radzą pod ziemią, nie lubią małych, zatłoczonych przestrzeni. Słyszałem, że się to jakoś nazywa, ale nie potrafię powtórzyć.

- Klaustrofobia - pomógł mu Gaines.

- Właśnie.

Gaines zastanawiał się przez chwilę. Każdego z początku mogły przstraszyć takie warunki.

- Wypróbujemy go jutro - powiedział. - Na razie nie mamy nikogo innego.

- Zgoda - zakończył Thu.

Oanh nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wyszedł ze swojej jamy, żeby trochę rozprostować kości. W sali konferencyjnej zastał generała Vinh siedzącego przy stole. Ten przywitał go uśmiechem.

- Niełatwo się przystosować do życia w tunelu.

Oanh przyznał mu rację.

- Czy są jakieś wiadomości na temat ruchów nieprzyjaciela w pobliżu?

- Żadnych - odparł Vinh. - Zdaje się, że Amerykanie wycofali się stąd na dobre.

Oanh zawahał się, potem zasugerował:

- Czy nie powinniśmy na wszelki wypadek wysłać patrolu, żeby się upewnić? - Nie chciał kwestionować decyzji przełożonego, ale wydawało mu się, że strażnicy w pajęczych gniazdach nie wystarczali.

Vinh przyznał mu rację.

- Już zarządziłem. Zastanawiałem się nad tym, co powiedzieliśmy na spotkaniu i doszedłem do tego samego wniosku co ty - że Pham albo jeden z jego ludzi mógł zdradzić

naszą tu obecność.

Oanh poczuł się lepiej.

- Cieszę się. Czy ma pan dobre miejsce do spania?

- Nie lepsze niż ty. Ale dobry generał nie zasługuje na nic więcej. Pamiętaj, Oanh.

- Tak jest, panie generale - odwrócił się i poszedł do siebie. Może teraz zaśnie.

Leon klepnął Johnny'ego po ramieniu.

- Odbijany.

Johnny rozejrzał się dookoła.

- Co, do diabła... - zaczął i poznał ich. - Skąd żeście się tu wzięli?

Leon nie odezwał się. Odepchnął go na bok i wziął kobietę za rękę.

Johnny zatoczył się, ale utrzymał się na nogach. Stanął mocno na ziemi i zamachnął się mierząc pięścią w twarz Leona. Cios zatrzymał Eddie.

- Tym razem nikt ci nie pomoże, chłopaczku. Spuchnie ci ta twoja piękna twarzyczka - to rzekłszy uderzył go w brzuch.

Johnny przewrócił się i poleciał do tyłu wpadając na po drodze na kilka tańczących par. Żołnierze pozdrowili go wyzwiskami.

- Ty dupku, patrz z czego żyjesz!

Johnny zatrzymał się na ramieniu jakiejś kobiety i rzucił się na Leona, który odbił mu tancerkę. Trafił go głową w brzuch i przewrócił na podłogę, potem chwycił go za włosy i zaczął walić głową o podłogę. Eddie próbował trafić kopniakami Johnny'ego, lecz ten sprytnie chował się za swego przeciwnika, który bombardowany był teraz ciosami z dwóch stron.

- Ty bucu! - krzyknął Leon - kop jego, a nie mnie!

W tej chwili włączył się do walki Tommy, nieco trzeźwiejszy niż jego dwóch kolegów. Chwycił Johnny'ego za pasek i kołnierz munduru, oderwał od Leona, mimo iż nie było to łatwe zadanie, i rzucił pomiędzy tancerzy, co spowodowało znaczne zamieszanie. Dwaj żołnierze, na których wylądował, wstali mniej więcej równo z nim, i nie czekając na wyjaśnienia, zaczęli okładać go pięściami. Johnny zasłonił się, po czym w odpowiednim momencie skontrował dwoma prostymi i jednym sierpowym rozwalając jednemu z przeciwników nos. Ten zawył, na pomoc rzucił mu się kolega, którego spotkał taki sam los. Johnny pchnął obu w stronę podium, gdzie leżała tancerka przebierając nogami, zaś sam udał się na poszukiwanie swej trójki.

Nie było to łatwe zadanie, gdyż w barze rozpętało się prawdziwe piekło. Zamiast

tańczących par potworzyły się grupki walczących i nie wiadomo było już, kto zaczął. Wiadomo było tylko, że trzeba bić albo uciekać, a nikt z gości nie zaliczał się do tchórzy. Ktoś rzucił krzesłem w jego stronę, lecz nie trafił. Wreszcie zauważył leżącego na podłodze Leona, który próbował się podnieść, ale za każdym razem ktoś kopał go lub stawał na nim. Johnny miał nadzieję, że tak już zostanie.

W całym zamieszaniu dwie zaciętrzewione kobiety zaczęły się targać za włosy straszliwie krzyząc. Jedna rozerwała drugiej suknię z przodu wyłuskując dwie dojrzałe piersi. Walka w tym rejonie sali całkiem ustała, bowiem mężczyźni chcieli nasycić zmysły tak rzadkim widokiem.

Nagle Johnny zauważył DeLukę, który wciąż tańczył, jakby nic się nie stało. Ciasno przytulony do partnerki, chyba nawet nie słyszał muzyki. Johnny wpadł we wściekłość zapominając na chwilę o tych, których szukał i ruszył w jego stronę. Tak przyjaciel pomaga w biedzie!

Nie doszedł doń jednak, bo poczuł potężne uderzenie w plecy. Odwrócił się i zobaczył ledwo trzymającego się na nogach Eddiego, który brał zamach, by wysłać Johnny'ego na orbitę. Hidalgo nie dał mu skończyć. Skulił się i zanurzył całą rękę w brzuch tamtego. Eddie padł na ziemię próbując złapać dech. Johnny zastanawiał się, czy nie pobawić się jego głową jak piłką futbolową, ale postanowił, że nie. Został przecież Tommy.

Ujrzał go wymachującego groźnie butelką po szampanie i gdy ktoś nawinął mu się pod rękę, pozbawiał go przytomności jednym ciosem. U jego stóp leżało już kilku delikwentów. Johnny rozejrzał się za jakąś bronią i zobaczył taką samą butelkę po szampanie walającą się po podłodze. Kiedy po nią sięgał, stanął na niej jakiś mężczyzna, pośliznął się i poleciał do tyłu. Nim zdążył wylądować, butelka znajdowała się w dłoni Johnny'ego, który przedzierał się teraz do miejsca, gdzie stał Tommy i przymierzał się do swej kolejnej ofiary. Niecałe dwa metry od niego walczyli dwaj mężczyźni, bliższy bardzo gruby, ostrzyżony na jeża. Najwidoczniej Tommy'ego zafascynowała wygolona głowa, bo wahał się z zadaniem ciosu. Wykorzystał to Johnny i zawołał z tyłu:

- Cześć, młocie!

Tommy odwrócił się.

- Cieszę się, że mnie poznałeś - powiedział Johnny i uderzył go w twarz butelką. Pozostała nieuszkodzona w jego ręku, czego natomiast nie dało się powiedzieć o twarzy Tommy'ego. Na pożegnanie Johnny dołożył mu w brzuch.

Gdzie, do cholery jest DeLuca? pomyślał. Był tam, gdzie widział go poprzednio. Jak go tak swędzi, dlaczego nie znajdzie sobie jakiegoś łóżka? zastanawiał się.

Bijatyka właściwie już ustała, w niewielu miejscach toczyły się odizolowane potyczki. Johnny nie interesował się nimi. Najważniejsze, że ci durnie z Oklahomy dostali za swoje. Może wreszcie dadzą mu spokój.

Nagle usłyszał dźwięk syren. Cholera, żandarmeria. Trzeba było się zwijać. Poszedł ostrożnie na drugi koniec sali i chwycił DeLukę za ramię.

- Spływamy - powiedział z naciskiem.

DeLuca strząsnął jego dłoń.

- Daj mi spokój - wymamrotał.

- DeLuca, policja jedzie!

- Mówię ci, zostaw mnie.

Johnny zorientował się, że czas przedsięwziąć bardziej drastyczne środki. Chwycił kobietę za włosy i szarpnął z całej siły. Krzyknęła i odsunęła się od zdziwionego DeLuki.

- Co się dzieje?

- Policja! Zwijamy się!

DeLuca rozejrzał się po sali, w której pełno było ofiar niedawnej walki.

- Co się stało? - zapytał.

- A co cię to obchodzi? Nie słyszysz?

Dźwięk syren był już bardzo blisko i DeLuca otrząsnął się z otępienia.

- Spieprzamy! - krzyknął.

- Cholera, to ci właśnie próbuję powiedzieć! Ruszaj się!

Johnny pociągnął go do tylnego wyjścia mając nadzieję, że dotrą tam przed policją.

- Tędy! - powiedział Johnny i obaj przebiegli na drugą stronę ulicy, gdzie zatrzymali się na chwilę, by uspokoić oddech. Potem poszli wolno ulicą jak turyści odbywający kolejną rundę zwiedzania.

- Pobawiliśmy się, co Johnny? - spytał DeLuca.

- Jak cholera - zgodził się Hidalgo. Dobra, klasyczna bijatyka. Ten sposób walki Johnny rozumiał i aprobował. Nie uśmiechało mu się wracać do tunelu, do duszącej oddech ciemności i ton ziemi nad głową. Wszystko jedno jak bardzo próbował sam siebie przekonać, że nic mu nie grozi, nie chciał tam wracać i już.

11

Kapitan Carter wezwał oddział Szczurów, jak się teraz oficjalnie nazywali, do swego biura z samego rana. Pokój wzbogacił się o trzy krzesła, by każdy z nich mógł usiąść.

- Jak idzie trening? - zapytał.

Gaines spojrział na Thu, który domyślił się, że ma mówić w ich imieniu.

- Biorąc pod uwagę brak doświadczenia, całkiem dobrze. Za kilka tygodni będziemy gotowi.

Carter wstał.

- Nie ma czasu.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.

- Więc kiedy? - spytał Gaines.

- Wyruszenie dziś wieczorem na pierwsze zadanie.

Johnny popatrzył na innych. Próbował się uśmiechnąć, ale czuł, jakby w żołądku zaległ mu kawał lodu.

- Nie jesteśmy gotowi - powiedział Thu. - Zostało wiele rzeczy do zrobienia, a my ledwo zaczęliśmy.

- Myślicie, że nie wiem o tym? - rozżościł się Carter. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy wysłać niewyszkolonych ludzi na misję, ale sytuacja jest poważna. Nawet bardzo.

Opowiedział im o koncentracji wojsk w rejonie Cu Chi, o wymordowaniu przez oddział Phama dwóch wiosek i o możliwości planowanej ofensywy.

- Wszystko wskazuje na to, że główne siły są rozlokowane w tunelach. Musimy dowiedzieć się, gdzie, i zdusić to w zarodku.

Gaines był gotów podjąć się ataku w tym właśnie rejonie, by pomścić śmierć kolegów, lecz wydawało mu się, że naprędce zorganizowana akcja nie może przynieść dobrych wyników. Powiedział o tym kapitanowi.

- Ma pan rację, niemniej jednak trzeba spróbować. To nasza jedyna szansa odkrycia planów wroga.

- Co my możemy zrobić? - zapytał wprost DeLuca.

- To jest właśnie najgorsza część wszystkiego.

Johnny pomyślał, że to żart. Nic gorszego nie mogło ich już spotkać.

- Jakoś sobie poradzimy. - DeLuca był zdecydowany.

- Macie zejść do tunelu i schwytać generała Vinha. Jest dowódcą miejscowego zgrupowania Armii Północnego Wietnamu. Jedyne człowiek, który na pewno zna plany ataku.

- Porwać generała? - zapytał z niedowierzaniem Thu. - To niemożliwe!

- Dlaczego by nie wysadzić wszystkiego w powietrze? - zapytał DeLuca - Byłby spokój.

Carter pomyślał o dwóch facetach z CIA i ich metodach pracy: wycisnąć z kogoś informacje i do widzenia. DeLuca bardzo mu ich przypominał.

- Pomyśl sam - powiedział ostro. - Potrzeba nam informacji, a nie trupów. Powiedzmy, że wysadzimy kilka tuneli. Czy nam to gwarantuje, że nie zaatakują w inny sposób, z innego miejsca? Z tego co wiemy o tunelach, nie moglibyśmy być pewni, czy rzeczywiście nie nadają się do użytku. Ale kiedy dowiemy się o planach całej operacji, możemy ją zdusić w zarodku albo przynajmniej opóźnić.

- Ma pan rację - przyznał DeLuca.

Thu nie był do końca przekonany.

- Zadanie jest zbyt niebezpieczne. Zejść do tunelu to jest sztuka sama w sobie, ale jeszcze generał? Niemożliwe.

Carter usiadł za biurkiem i założył ręce.

- Ale takie mamy zadanie.

- Wobec tego pójdę sam. Przynajmniej będę miał cień szansy, bo mówię po wietnamsku. Poza tym wyglądam jak oni.

- Gaines pójdzie z tobą - Carter był stanowczy. - Do tego potrzeba was przynajmniej dwóch, a Gaines ma więcej doświadczenia, niż pozostali.

Johnny odetchnął z ulgą. Nie musi iść do tunelu!

- Hej! - wyrwał się DeLuca. - A ja i Johnny? Też chcemy iść.

- Nie martwcie się - uspokoił go Carter. - Pójdziecie jako ich ubezpieczenie. Ktoś musi być na straży, jak ci będą taszczyć Vinha z powrotem.

Gaines prawie uśmiechnął się na sposób, w jaki Carter stawiał sprawę - jakby schwytanie generała było dziecinną igraszką, podczas gdy obaj najprawdopodobniej nie wyjdą żywi z tunelu.

- Ruszamy dziś wieczór?

- O zmroku. Helikopter wyrzuci was w wiosce, którą spacyfikował major Wietkongu i stamtąd będziecie się musieli dostać do tunelu. Proponuję, żebyście we dwóch zeszli po

generała i zostawili na straży DeLukę z Hidalgo.

Gaines musiał przyznać, że plan Cartera był prosty. Ale z drugiej strony taki musiał być, bo kapitan wiedział tyle co oni o sytuacji w tunelu i nie mógł przygotować nic dokładniejszego.

Carter myślał o facetach z CIA i sposobie, w jaki potraktowali Phama. Było już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić, lecz żałował, że nie wkroczył wcześniej. Pham mógłby stać się cennym źródłem informacji, zamiast jeszcze jednym martwym żołnierzem Wietkongu.

- Czyli wchodzimy na ślepo?

- Tak to wygląda. - Carter potrząsnął głową. - Przykro mi, ale musimy spróbować.

Trudno, pomyślał Gaines, wiedzieliśmy od początku, w co się pakujemy.

- W porządku, czas się przygotować.

- Dobrze - zgodził się Thu. - Na szczęście nie potrzebujemy całego ekwipunku.

- Bierzecie wszystko i rzucacie dopiero przy wejściu - upomniał go Carter. - I żadnych granatów w tunelu. Musicie wejść i wyjść cicho.

- Kłopot w tym, że mogą nas rozpoznać, będą wiedzieli, że tam jesteśmy - zaproponował Thu.

- Zrobicie z nimi, co chcecie, ale żadnych granatów. Są jakieś pytania? Nie słyszę. Widzimy się znowu punkt osiemnasta - zakończył kapitan.

Porucznik Oanh obudził się cały spocony i obolały. Kilka minut zajęło mu zorientowanie się, gdzie jest, potem poczuł przygnębienie. Śniła mu się rzeka, las i chłodny wiatr, a w rzeczywistości nie ruszył się ani na krok z dusznego, śmierdzącego i ciemnego tunelu. Zapowiadał się ranek bez śniadania, bo kuchnie nie działały. Poza tym gnębiło go niejasne przeczucie, że stanie się coś złego. Zwykle nie dawał wiary przeczuciom, ale to było bardzo silne.

Odszukał generała Vinha, który wyglądał niewiele lepiej niż on sam. Po raz setny porucznik zastanawiał się, jak Phamowi udawało się tak wyglądać w tunelu. Był szaleńcem, ale czystym szaleńcem. Teraz, rzecz jasna, najpewniej już nie żył.

Zameldował się u generała i podzielił się z nim swym przeczuciem.

- Nie mam nic na potwierdzenie tego, co czuję - dodał.

- Przeczucia czasem mogą oddać żołnierzom nieocenione usługi - zgodził się Vinh. - Ale tym razem chyba martwisz się niepotrzebnie. Nawet gdyby któryś z ludzi Phama się wygadał, zanim Amerykanie wkroczą do akcji minie parę dni - uśmiechnął się. - Sam wiesz,

jacy oni są, działają powoli, są niepewni siebie. Nie potrafią zorganizować większej operacji bez całych tygodni czy nawet miesięcy przygotowań.

- A co z oddziałami Wietkongu, które mają się do nas przyłączyć? Jeżeli nie przybędą na czas...

- Lubisz się martwić - uspokoił go Vinh - ale nie jest to całkiem złą cechą. Nic się nie stanie, jeśli spóźnią się o dzień czy dwa. I tak wyprzedzimy przygotowania Amerykanów.

- Nie potrafię być tak spokojny - wybuchnął Oanh.

- Ja jestem spokojny za ciebie - powiedział generał. - Nie bój się o nic.

Oanh wrócił do siebie, ale przeczucie nie ustępowało.

Po spotkaniu z Gainesem DeLuca poprosił Gainesa na stronę.

- Naprawdę idziesz z tym Wietnamczykiem?

- Taki jest rozkaz - odparł Gaines.

- Nie przyszło ci do głowy, że Thu może nas wydać Wietkongowi? Skąd wiesz, że można mu ufać?

- Na początku podejrzewałem go, ale teraz mu wierzę.

- Nie byłbym taki pewny. Tego właśnie nie znoszę w tej cholernej wojnie - nie można powiedzieć, kto jest wrogiem. Jest z Północy, mówi ich językiem, wygląda tak jak ci, z którymi mamy walczyć. Sam nie wiem. Myślę, że się wystawiamy.

- Wolałbyś siedzieć w kiciu?

DeLuca wyglądał na urażonego.

- Nie o to mi chodziło, chciałbym tylko mieć okazję mu się bliżej przyjrzeć, zanim będziemy razem walczyć.

- Ufasz mi, prawda? - spytał Gaines.

- Pewnie. Znaczą tak, jak każdemu oficerowi.

Gaines uśmiechnął się.

- To musisz zaufać Thu w taki sam sposób. Dziś wieczorem naprawdę tam idziemy, czy ci się podoba czy nie.

- Skoro tak, to rzeczywiście lepiej, żebym go polubił - mruknął DeLuca. - Ale nie mogę.

Gaines otworzył usta, by coś powiedzieć, ale DeLuca zatrzymał go podnosząc dłoń.

- Powiedziałem, że mi się to nie podoba, ale nie powiedziałem, że nie idę z wami. Jestem w drużynie i chcę, żeby tak zostało.

- W porządku. Pomóż Hidalgo się przygotować.

- Jemu? - roześmiał się DeLuca. - Ten chłopak urodził się gotowy, nie potrzebuje mojej pomocy.

Gaines nie podzielał jego pewności.

Tymczasem Hidalgo bynajmniej nie martwił się o nic. Nocny rajd na terytorium wroga? Dlaczego nie? Nikt nie musiał go namawiać. Zdobyć i utrzymać pajęczę gniazdo? Sama przyjemność. O ile tylko nie będzie musiał schodzić do tych cholernych tuneli.

DeLuca podszedł do niego, kiedy siedział na pryczy czyszcząc karabin.

- Rozmawiałem z porucznikiem dziś rano i powiedział mi, że Thu jest w porządku, można mu zaufać.

- Nie mówiłem? - powiedział Johnny. - On by nie zostawił kolegi na pastwę wszystkich w barze, bo trzymał jakąś cizię za dupę.

- Mówiłem ci, że nawet nie zauważyłem, że masz kłopoty - zaprotestował DeLuca. - Poza tym dałeś sobie świetnie radę.

Johnny zaczął składać swój M-16.

- Wiem, żartowałem tylko.

DeLuca przysiadł się.

- Co ty o tym wszystkim myślisz? Dla mnie to nie ma najmniejszego sensu.

Hidalgo wzruszył ramionami.

- My jesteśmy od roboty, nie od myślenia.

- Posłuchaj tylko, mamy tam wejść, nie dać się zabić, znaleźć wejście do tunelu dla porucznika i Thu, poczekać w dziurze, aż porwą pieprzonego generała, i zwiać, zanim się zorientują, że tam jesteśmy. Powiedz, jak ma się nam to udać?

Johnny zrobił minę w stylu Bogarta i powiedział:

- Będziemy musieli stać się niewidzialni.

DeLuca jęknął.

- Ty chyba naprawdę jesteś pomyłony.

- Kto wie - zgodził się Johnny.

Wiedział, że to nieprawda. Lubił walczyć, po to się przecież zaciągnął, a nie żeby się czolgać pod ziemią. Właśnie to było czyste szaleństwo.

Gaines i Thu rozmawiali o zadaniu i nie podobało im się tak samo, jak pozostałym szczerom.

- Sam nie wyjdzie, nawet jak go znajdziemy - powiedział Gaines.

- Nie - przyznał Thu. - Trudno go też będzie wynieść korytarzem bez wzbudzenia podejrzeń, nawet jak go obezwładnimy.

Gaines westchnął.

- Myślisz, że mamy jakieś szanse?

- Tak. Szanse zawsze są.

- Ale niezbyt wielkie.

- To prawda. Ale nie wypada nam zawieść kapitana.

Gaines ze swej strony nie przejmował się zbytnio Carterem, bardziej martwiła go nadchodząca ofensywa sił wroga, w której mogło zginąć wielu amerykańskich żołnierzy. Jeżeli istniał choć cień szansy, że mogą temu zapobiec, trzeba było spróbować.

- Gdzie może być generał? - zapytał.

Thu podszedł do małego stolika i rozłożył na nim schemat tunelu, bardzo podobny do tego, jaki pokazał mu Carter.

- Nie wiemy dokładnie. - Thu przejechał palcem po jednym z korytarzy na mapie. - Mamy tu tylko przykładowy schemat, nie plan jakiegoś, który oni rzeczywiście wybudowali. Pewnie będzie gdzieś w środku, ale niekoniecznie, bo kto mu zabroni chodzić dookoła. Musimy mieć nadzieję, że nosi mundur. Nie mam pojęcia, jak wygląda, a on sam pewnie nam się nie przedstawi.

- Podtrzymałeś mnie na duchu, nie ma co - powiedział Gaines.

Thu zapalił papierosa i wydmuchnął kłąb błękitnego dymu.

- Przedstawiłem ci tylko realistyczny obraz naszych szans - zwinął diagram i kontynuował. - Będziemy mieli szczęście, jak się w ogóle wydostaniemy żywi z tunelu. Szansa, że wyjdziemy razem z generałem, jest jedna na milion.

- Świetnie.

- Ale jest coś, czego ci o sobie nie powiedziałem.

- Co? - Gaines spojrzął na Thu z uwagą.

- Jestem niepoprawnym ryzykantem.

- Teraz powiedz mi jeszcze, że masz zawsze szczęście - warknął Gaines.

Thu spojrzął na rozjarzony koniec papierosa.

- Czasami.

12

Helikopter podchodził do lądowania i Gaines przypomniał sobie swą poprzednią wyprawę, w czasie której zginęło trzech jego kolegów. To, co teraz miał przed oczyma, było jakby negatywem tamtych dni - czarne połacie dżungli poprzecinane wysrebrzoną księżycem rzeką. Miał nadzieję, że tym razem dopisze im szczęście.

DeLuca spokojnie sprawdzał swój ekwipunek, zaś Johnny Hidalgo leżał z zamkniętymi oczyma wygodnie rozparty z tyłu helikoptera. Wyglądał na całkowicie odprężonego. Gaines miał nadzieję, że tak jest w istocie. Nigdy wcześniej nie był z nimi w akcji, a teraz będzie musiał na nich liczyć w sytuacjach graniczących ze śmiercią.

Thu przypatrywał się wiosce, jakby próbując ją zapamiętać. Gaines wiedział, że skaut szukał dróg dojścia do celu i całkiem możliwe, że także dróg ucieczki.

On sam odczuwał to samo co w Montanie, kiedy wchodził po raz pierwszy do opuszczonej kopalni. Nigdy nie wiedział, co w niej zastanie, a ryzyko podniecało go, popychając do działania. Jednak kopalnie w porównaniu z tym, co ich czekało, były dziecinną zabawą. Zgadza się, były niebezpieczne, ale nie czaił się w nich gotowy na wszystko wróg.

Helikopter usiadł na ziemi, wyrzucił ich z wnętrza i zaraz odleciał. Z tyłu dostrzegli sylwetki chat w opuszczonej wiosce, o której opowiadał im Carter, z przodu mieli dżunglę.

- Gdzie teraz idziemy? - spytał Gaines.

- Pajęczce gniazda będą w zaroślach - odparł Thu. - Gdzie, ile i jak daleko stąd - trudno powiedzieć. Będziemy musieli dobrze poszukać.

- Tylko nie za długo - powiedział DeLuca. - Maszyna wraca po nas koło świtu. Chciałbym tu być, wszystko jedno: z generałem czy bez niego.

- Jak nie wrócimy na czas, zabierajcie się razem z Hidalgo i nie czekajcie na nas - powiedział Gaines.

- Nie zostawimy was tu - zaprotestował Johnny. - Jak nie wrócicie, zejdziemy po was.

Wypowiedział te słowa bez namysłu, nie był pewien, czy jest w stanie dotrzymać obietnicy.

- Niech wam to nawet przez myśl nie przejdzie - pogroził Gaines. - Jak nie wrócimy, będziecie musieli wyszkolić następne pokolenia szczurów.

DeLuca roześmiał się.

- Pewnie, damy sobie radę. Zaliczyliśmy cały dzień treningu.

- To rozkaz. Wracacie do helikoptera - uciał sprzeczkę Gaines.

- Tak jest - powiedzieli razem DeLuca i Hidalgo, spoglądając porozumiewawczo po sobie. Rozkazy rozkazami, ale czasem trzeba było decydować samemu, bez względu na to, co mówią przełożeni. Nie mieli zamiaru zostawiać ich samych, jeżeli tylko mogli coś zrobić.

- Idziemy - powiedział krótko Gaines i oddział ruszył ku dżungli.

Ledwie znaleźli się wśród drzew, zauważyli patrol wroga. Na sygnał Gainesa przyłgnęli do ziemi. Światło księżyca przenikało przez gałęzie drzew sprawiając wrażenie, że cała scena rozgrywa się w jakimś sensacyjnym biało-czarnym filmie. Żołnierze wietnamscy poruszali się niemal bezszelestnie, rozglądając wokół siebie, omiatając przestrzeń gotowymi do strzału karabinami.

Gaines i jego drużyna leżeli cicho, kiedy patrol zbliżał się do nich. DeLuca, gdyby chciał, mógłby dotknąć buta jednego z nich. Wstrzymał oddech mając nadzieję, że ten zaraz pójdzie dalej i w tej samej chwili poczuł, jak coś wspina się po jego prawej nodze. Dołączyły do niego następne i DeLuca wiedział już - mrówki. Wsadził nogę w mrowisko, a rozeźlone owady badały teraz jego nogi.

Lada chwila...

Nie minęło kilka sekund, nim zaczęły gryźć. DeLuca przygryzł wargę starając się myśleć o czymś innym, jak na przykład o tytułach filmów z Johnem Wayne'em. Nie zabrało to zbyt wiele czasu, więc przerzucił się na Steve McQueena. Po jaką cholere stoj tu ten żółtek?

Za chwilę wyjaśniło się. Żołnierz po prostu chciał sobie ulżyć. DeLuca słyszał, jak strumień moczu rozpryskuje się w zaroślach.

Przynajmniej odwrócił się tyłem, pomyślał DeLuca. Małe, a cieszy.

Żołnierz otrzepał się, poprawił spodnie i ruszył przed siebie. Pozostali członkowie jego oddziału już ich minęli. DeLuca upewnił się, że są wystarczająco daleko, zanim ostrożnie otrzepał się z natrętnych stworzeń. Pod palcami wyczuł z lekka napuchnięte ślady ukąszeń.

Zawsze to lepiej niż zostać obsikany.

Leżeli tam jeszcze przez pięć minut. Potem Gaines dał znak i wstali z miejsc.

- Kogo szukali? - spytał szeptem Johnny.

- Pomyślałbym, że nas - odparł Thu. - Ale to niemożliwe.

- To prawda - powiedział Gaines.

- Co? mruknął DeLuca. - Nie ma mowy. Właśnie tu przyszliśmy. I zrobiliśmy to

bardzo cicho.

- Wiedzieli, że przyjdziemy.

- Ale skąd, do diabła? - zaklął DeLuca, myśląc od razu o Thu.

- Nikt im nie powiedział - zapewnił go Gaines. - Co byś zrobił, gdybyś właśnie stracił kilkunastu ludzi?

- Aha - DeLuca zrozumiał. - Sprawdziłbym, czy ktoś przypadkiem nie puścił farby.

- Nie wiedzą, czy ktokolwiek coś powiedział, a jeżeli tak, to ile. Nie chcą ryzykować.

Musimy być szczególnie ostrożni.

Thu zaproponował, by rozdzielili się po dwóch.

- Będzie nas wtedy trudniej zauważyć i więcej zobaczymy.

- Dobry pomysł - zgodził się Gaines. - Hidalgo i DeLuca - idźcie na lewo, a ja z Thu zajmę się prawą stroną. Cokolwiek zobaczycie, nie dajcie się odkryć. Spotykamy się tu dokładnie za pół godziny.

- Zgoda - powiedział DeLuca.

Za pięć minut Gaines dostrzegł następny patrol. Tym razem trochę zbyt późno. Opadli w zarośla bezszelestnie, jedynie Gaines otarł się ramieniem o gałąź drzewa, która odezwała się w jego uszach, łoskotem werbla.

Patrol zatrzymał się, nasłuchując. Przez całą minutę nikt się nie poruszył, a szczególnie Gaines. Leżał pod drzewem z M-16 gotowym do strzału, lecz nie chciał mieć okazji go użyć. Wtedy na pewno musieliby zrezygnować z wykonania zadania, a to z kolei oznaczałoby, że nie będą mieli następnej okazji dobrania się do generała.

Teraz albo nigdy. Jeżeli im się nie powiedzie, aż do momentu rozpoczęcia ofensywy Wietnamczycy będą bardzo ostrożni.

Patrol powoli ruszył do przodu. Gaines słyszał, jak rozmawiali, lecz nie rozumiał o czym. Trudno jednak było się nie domyślić, co zajmowało ich uwagę - zastanawiali się, co to za odgłos i czy czasem kogoś tam nie ma. Każdy z nich miał też nadzieję, że to nie on zatrzyma nadlatującą kulę.

Gaines nie miał zamiaru strzelać i sądził, że bezwzględny zakaz ognia był tak samo jasny dla pozostałej dwójki. Otwarcie ognia było błędem tego samego kalibru, co dać się złapać.

Fakt, że w okolicy było tak wiele patroli, wskazywał na jedno - szykowało się coś wielkiego, co za wszelką cenę aż do samego końca miało zostać utrzymane w głębokiej tajemnicy. Carter miał rację. Oby jeszcze udało im się zorientować, co to takiego.

DeLuca i Hidalgo o mało nie wpadli do pajęczego gniazda. Uratowało ich niebywale wprost szczęście, jeżeli w ogóle można to było tak nazwać. Dokładnie mówiąc wąż.

DeLuca miał do tych sympatycznych skądinąd stworzeń taki stosunek jak Hidalgo do tuneli. Nie znosił ich. W niczym nie przypominały mrówek, które owszem, kąsały, ale jeżeli nie dobrały się do dumy każdego mężczyzny, wszystko było w porządku. Przynajmniej taką teorię wyznawał DeLuca. Można było znieść kilka ukąszeń czy bąbli, ale wąż - to już co innego. Cześć pieśni. DeLuca nie zadawał sobie trudu wyjaśnienia przyczyn swej niechęci do węży. Po prostu nie znosił ich i już.

Kiedy więc stanął na węża tej nocy, zastygł w bezruchu. Wydawało mu się, że ktoś mu kiedyś powiedział, że węże nie należą do nocnych zwierząt, czyli że nie powinien się nimi przejmować, gdy jest na patrolu. A tu masz! Nie może spać, czy co?

Stał tak niezdolny do najmniejszego poruszenia. Gdyby wtedy znalazł go jakiś patrol, wzięłby go do niewoli bez oporu. Tymczasem w pobliżu znajdował się tylko Johnny Hidalgo, który włókł się za nim szukając czegokolwiek, co nie pasowało do reszty, a oznaczającego pajęczę gniazdo. Nie spodziewał się DeLuki, więc wpadł prosto na niego. Żaden nie wydał z siebie dźwięku, lecz obaj upadli. Nawet nie zrobili przy tym dużo szumu, próbując się wzajemnie podtrzymać.

- Co z tobą? - wyszeptał Hidalgo.

- Wąż - odparł DeLuca.

Johnny rozejrzył się dookoła.

- Jaki wąż?

- Był tu przed chwilą, stanąłem na niego. - DeLuca rozejrzył się także.

Johnny o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Już po strachu, idziemy.

Podniósł się na jedno kolano.

- Poczekaj - zatrzymał go DeLuca. - Nie ruszę się, zanim nie będę pewny - nie przestawał się rozglądać. Węża co prawda nie dostrzegł, ale jego uwagę zwróciło co innego.

Poklepał Johnny'ego po ramieniu i pokazał.

- Co? - spytał Hidalgo.

- Tam.

Johnny spojrział we wskazanym kierunku. Z początku nic nie zauważył. Jakaś kępa drzew, których nazw nawet nie znał, rośliny z wielkimi liśćmi i cała gęstwina bambusa. Wtedy zobaczył.

Jakieś czterdzieści metrów w bok sterczały z ziemi trzy kawałki bambusa, nie dłuższe

niż pół metra, zupełnie pozbawione liści.

- Rurki wentylacyjne? - wyszeptał.

- Możliwe. Co myślisz?

- Dobrze, że stanąłeś na tego węża, inaczej trafilibyśmy na coś znacznie gorszego.

Patrol minął Thu i Gainesa. Prawdopodobnie zdecydowali, że niespodziewany hałas wywołało jakieś zwierzę. Gaines myślał już, że ich pula szczęścia na tę noc zaczynała się wyczerpywać, nim jeszcze dotarli do tunelu. Nie znaleźli pajęczego gniazda, a na spotkanie z patrolem stracili ponad dwadzieścia minut. Trzeba było wracać i spotkać się z drugą parą. Gdy dotarli na miejsce, tamtych jeszcze nie było.

- Czekamy pięć minut - wyszeptał Gaines. - Potem się rozejrzemy.

Ukryli się w zaroślach.

Po dwóch minutach przyszli Hidalgo i DeLuca. Gaines był z nich dumny, bo poruszali się tak cicho, że nie zdawał sobie sprawy z ich obecności, dopóki prawie nań nie nadepnęli. Pomachał do nich ręką, dając znać, gdzie jest.

- Znaleźliśmy coś - powiedział Johnny.

- Thu musi się temu przyjrzeć - dodał DeLuca. - Nie wiemy, czy ktoś tam jest.

- Na pewno gniazdo jest obsadzone - dołączył się Thu. - Zawsze ktoś jest na straży.

- Dobrze, chodźmy sprawdzić - zdecydował Gaines.

- Dookoła są węże - ostrzegł DeLuca.

- Frank nie lubi węży - wyjaśnił Johnny.

- O węże nie musimy się martwić - powiedział im Thu. - Ci w środku są znacznie bardziej niebezpieczni.

DeLuca nie był do końca przekonany. Wolał mieć do czynienia z uzbrojonymi ludźmi niż z wężami.

- Nawet nie wiemy, czego szukamy - przypomniał innym.

- Przekonamy się - powiedział Thu.

Rzeczywiście, znaleźli pajęczę gniazdo. Nie było wątpliwości. Przykucnęli w gęstwinie naradzając się, co robić.

- Nie możemy zapukać i poprosić, żeby nas wpuścili? - zażartował DeLuca.

- Najlepiej byłoby jakoś ich tu wywabić, albo wejść razem z nimi - szepnął Gaines. -

Można by ich wtedy załatwić po cichu.

Thu zgodził się.

- Świetny pomysł. - powiedział Johnny. - Tylko jak?

Thu powiedział im.

W gnieździe było dwóch strażników. Nie spodziewali się absolutnie żadnych gości, choć kilkakrotnie ostrzegano ich, że wróg mógł się dowiedzieć o ich obecności w tunelu. Zastanawiali się jak. Byli przecież dobrze ukryci, poza tym do tunelu prowadziło wiele innych wejść, dlaczego więc ktoś miałby wybrać właśnie ich?

Próbowali zachować czujność, ale przychodziło im to z trudnością. Noc była długa i chciało im się spać.

Nagle usłyszeli dziwny, buczący dźwięk na zewnątrz. Z początku wydawało im się, że to jakiś wielki owad, potem podmuch wiatru, ale coś się nie zgadzało. Wreszcie zdecydowali, że na zewnątrz ktoś jest. Jeden z nich uchylił kłapy i spojrzał w ciemność. Nic, tylko drzewa i światło księżyca. Podniósł klapę wyżej. Znowu nic. Prócz zwykłych odgłosów nocy, nic podejrzanego. Stwierdził, że się przesłyszał, lecz w tej samej chwili kłapa wyrwała mu się z rąk, a coś zacisnęło się wokół szyi odcinając dostęp powietrza. Sięgnął rękami do gardła, ale było za późno. Próbował krzyknąć, lecz wydobył z siebie tylko cichy skrzek.

Podczas gdy Thu rozprawiał się z pierwszym strażnikiem, DeLuca, który wcześniej wydawał dziwne dźwięki, wśliznął się do dziury i przeszył bagnetem serce drugiego. W kilka sekund było po wszystkim.

DeLuca wytarł ostrze o koszulę zabitego i wyrzucił ciało na zewnątrz. Potem przykucnął i poświecił latarką w głąb korytarza. Ani żywej duszy.

- Droga wolna - oznajmił. - Przynajmniej przez pierwsze sześć metrów. Potem jesteście zdani na siebie.

- Zróbcie coś z tymi ciałami. Thu i ja schodzimy do tunelu, a wy zajmujecie miejsce w gnieździe. Módlcie się, żeby żaden z patroli nie zatrzymał się na pogawędkę.

Gaines i Thu przebrali się w mundury Armii Północnego Wietnamu, które dostarczył Carter. Gaines posmarował sobie twarz gliną, by nie odróżniać się za bardzo od innych mieszkańców tunelu. Thu, rzecz jasna, miał odpowiadać na wszelkie pytania.

- Cholera! - wyrwało się DeLuca. - Jak wrócicie, lepiej by było, żebyście się nam przedstawili, bo inaczej rozwalimy was na strzępy.

- Zagwizdamy „Dixie” - powiedział Gaines.

- Co to jest? - zapytał Thu.

- Piosenka, której tam nikt nie zna. Dobry pomysł, poruczniku. Będziemy nasłuchiwać.

- Mamy trochę czasu. - Gaines zerknął na zegarek i zorientował się, że wyszli ze śmigłowca niecałe dwie godziny temu. - Jeżeli nie wrócimy przed świtem, nie wrócimy w ogóle. Thu, jak długo może nam tam zejść?

Thu zastanowił się chwilę.

- Nie więcej niż cztery godziny. Dłużej nie uda nam się uniknąć wykrycia.

- Cztery godziny. Potem znikacie stąd, rozumiano? - rozkazał Gaines.

- Tak jest. - DeLuca zrozumiał, ale czy rzeczywiście miał zamiar zniknąć, to była zupełnie inna sprawa.

- Dobrze. Teraz weźcie gdzieś te ciała.

Hidalgo i DeLuca zabrali się do wykonania rozkazu, a Thu z Gainesem zeskoczyli do tunelu.

Korytarz był wąski i krótki.

- Pójdę pierwszy - powiedział Thu. - Zaczekaj aż dam ci znać.

Nie musiał dodawać, że brał na siebie większe ryzyko. Posuwał się wolno szukając pułapki, która miała uśmiercić niepożądanego gościa. Myślał, że jeżeli w ogóle była tam jakaś pułapka, nie mogła być zbyt skomplikowana, inaczej bowiem uciekający przed niebezpieczeństwem strażnicy nie poradziliby sobie z nią. Nie znalazł nic i dał znak Gainesowi. Gdy ten wszedł w korytarz, Hidalgo i DeLuca wskoczyli do dziury.

- Powodzenia - szepnęli za nim.

Dołączył do Thu za pierwszym zakrętem.

- Od tej chwili musimy bardzo uważać. Nad nami nie ma żadnych korytarzy, ale pod nami może ich być nawet kilka poziomów. Jeśli w ogóle znajdziemy generała, to właśnie tam. Szukamy przede wszystkim przejść i pułapek. Miejmy nadzieję, że najpierw znajdziemy

drzwi.

Uśmiechnął się i wznowił wędrówkę.

Gaines czekał. Latarka Thu rzucała na ściany najprzeróżniejsze cienie.

- Ach! - krzyknął Thu.

- Co? - spytał Gaines.

- Zapadnia z kołkami. Chodź.

Gaines podczołgał się do miejsca, w którym czekał Thu z bagnetem wsuniętym w glinę po samą rękęjeść.

- Pod spodem nie ma nic oprócz kołków - powiedział Thu wierząc ostrzem dziurę w chodniku. - Musimy oznaczyć to miejsce.

Narysował linię bagnetem, potem ostrożnie ominął pułapkę cały czas badając jej kontury bagnetem. Miała około metra długości. Gdy znalazł jej drugi koniec, narysował taką samą linię jak poprzednio.

Poruszali się bardzo wolno. Gaines poczuł, że zaczyna się robić duszno. Poprawił swój podziemny makijaż mając nadzieję, że nie zmyją go strumienie potu.

Za kolejnym zakrętem korytarz poszerzał się trochę. Thu nie zdekoncentrował się ani na moment i za chwilę znów się zatrzymał.

- Drzwi - powiedział. - Jesteśmy w niezbyt dobrze strzeżonej odnodze tunelu.

- To dobrze czy źle? - spytał Gaines.

- Dobrze, że nie mieliśmy zbyt wielu kłopotów. Źle, bo możemy być dalej od generała. Jeśli tunel jest ważny, chroni go zwykle wielu żołnierzy.

- Wchodzimy tu, czy szukamy dalej?

- Na dwoje babka wróżyła, jak to mówią - powiedział Thu.

- Generał jest chyba gdzieś niżej - przypomniał Gaines. - Spróbujemy?

- Czemu nie?

Thu znalazł uchwyty i milimetr po milimetrze unosił drzwi do góry.

- Przygotuj się - powiedział Gainesowi.

Gaines był przygotowany. Z pistoletem w ręku był gotów stawić czoło niebezpieczeństwu. Gdy kłapa zaczęła wynurzać się z ziemi, Gaines zgasił latarkę. W pomieszczeniu poniżej nie było światła, lecz dochodziła skądś blada poświata.

Thu odłożył kłapę na bok i bez słowa zajrzał do środka. Upewniwszy się, że można iść, dał znak Gainesowi i zniknął.

Gaines nie czekał podążając natychmiast w jego ślady.

Znaleźli się w olbrzymim magazynie, większym niż w jakimkolwiek innym tunelu w

poblizu Sajgonu. Po samo sklepienie wypełniały go worki ryżu. Gaines obliczył, że wystarczyłoby go dla kilkuset osób na kilka miesięcy. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy z trudności, na jakie napotykali mieszkańcy tuneli próbując gotować pod ziemią. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim był spożywany, mógł równie dobrze wystarczyć na całą wieczność.

Przy wejściu siedział mężczyzna oparty o worek z ryżem.

Po chwili głośno zachrapał. Gaines podszedł do niego i zatykając dłonią usta skreślił mu kark. Rozległ się stłumiony trzask i ciało mężczyzny zwiotczało. Gaines ułożył je starannie w takiej samej pozycji jak przedtem. Wyglądało, jakby spał, tylko szyję miał przekrzywioną w dziwny sposób.

Thu wyjrzał na korytarz. Nie było nikogo. Na przeciwległej ścianie paliła się świeca. Na korytarzu było dość miejsca, by się wyprostować.

- Powinniśmy się mieć na baczności. Mimo, że w tych korytarzach odbywa się prawie normalny ruch, możemy trafić na pułapki.

Gaines przytaknął i ruszyli. Ledwo uszli kilka kroków, usłyszeli głosy zdążające w ich, kierunku. Ktoś szedł do magazynu.

- Nie odzywaj się - syknął Thu.

Dwóch mężczyzn zajętych rozmową wyszło zza zakrętu i zbliżało się do nich w migotliwym świetle świecy. Nie było gdzie się ukryć i Gaines nagle zaczął się zastanawiać, jakie zasady obowiązywały w tunelu. Kto powinien ustąpić drogi, my czy oni? A może zależało to od szarży? On i Thu byli szeregowcami.

Thu gestem kazał Gainesowi stanąć pod ścianą i przepuścić idących. Gaines spuścił głowę. Mężczyźni minęli ich nie zwracając uwagi. Gaines i Thu poszli natychmiast swoją drogą.

Nagle jeden z mężczyzn zawołał coś w ich kierunku. Gaines zastygł.

Nie mogli ukryć broni ani latarek nie wzbudzając podejrzeń tamtych, którzy zbliżali się wielkimi krokami. Rozmawiali w podnieceniu, dobywszy broni.

- Zatrzymaj ich! - krzyknął Thu po angielsku.

Gaines wyskoczył do przodu i bagnetem zranił jednego w rękę, potem poprawił w szyję tak szybko, że tamten nie miał nawet czasu krzyknąć. Krew z tętnicy trysnęła na gliniane ściany, które piły ją chciwie. Drugi mężczyzna odwrócił się i zaczął uciekać, mając na karku Thu. Jedynym miejscem ucieczki był magazyn. Gaines miał nadzieję że nikt nie natrafi na zwłoki, więc zostawił je i pobiegł za nimi. Thu stał przy wejściu do magazynu i szepnął:

- Jest w środku. Nie możemy go dopuścić do wyjścia.

Gaines widział czarny kwadrat otworu w sklepieniu i był pewien, że mężczyzna, którego szukali, widział go tak samo. Zajął pozycję naprzeciwko wyjścia i rozejrzał się za Thu, który tymczasem zniknął w magazynie. Nie chciał włączać latarki, by nie dać wrogowi znać, gdzie jest. Wyteżył słuch.

Z przodu coś zaszeleściło o stos worków. Najwidoczniej Wietnamczyk próbował wspiąć się do wyjścia. Gaines poszedł w jego ślady starając się nie wydać żadnego dźwięku.

Dotarł na szczyt w tej samej chwili co żołnierz i przez ułamek sekundy znaleźli się twarzą w twarz. Wietnamczyk miał w ręku pistolet i błyskawicznie zbliżywszy go ku głowie Gainesa nacisnął spust, lecz w chwili wystrzału coś odrzuciło go do tyłu. Oślepiiony i ogłuszony eksplozją Gaines próbował się czegoś złapać, ale było za późno. Worek, którego się trzymał, ześliznął się ze sterty i razem z nim upadł na podłogę. Nogi przygwoździła mu istna lawina pozostałych worków, zza których słyszał głucho uderzenia pięści o ciała i stękania walczących. Ucieszył się. Przynajmniej nie ogłuchł zupełnie.

Z wysiłkiem uwolnił nogi i wstał. Opierając się o nienaruszone szeregi worków podszedł do miejsca, skąd, jak mu się wydawało, dochodziły odgłosy walki. Po wystrzale widział bardzo słabo, i wśród przeróżnych błysków, jakie odbierało jego oko, z trudem mógł rozróżnić sylwetki walczących. W zamieszaniu stracił latarkę i bagnet, jednak rewolwer pozostał. Wyciągnął go i ścisnął przed sobą. Wtedy zorientował się, że nie wie, do którego ma strzelać.

Tymczasem Thu miał spore kłopoty ze swym przeciwnikiem, który skończył na nim swój upadek ze sterty worków, i chociaż po drodze zgubił pistolet, zdołał chwycić Thu za gardło. Thu uwolnił się z uchwytu i kopnął go w brzuch. Żołnierz zatoczył się i uderzył plecami w stertę, na której szczyt leżał wcześniej Gaines, lecz szybko otrząsnął się i powalił Thu na ziemię wsadzając mu palce do nosa i próbując go rozerwać. W tej chwili Thu poczuł coś zimnego pod ręką - był to pistolet tamtego. Nie zastanawiając się chwycił go, przyłożył do brzucha wroga i nacisnął spust. Wystrzał stłumiony ciałem nie był tak głośny jak pierwszy. Żołnierz zeszywniał i upadł na bok. Thu odsunął go i wstał. Nie wiedział, czy nos ma jeszcze na swoim miejscu, i czy przypadkiem nie krwawi.

- Ktoś ty, do cholery? - zawołał Gaines nadal ściskając w dłoni rewolwer.

- Thu.

Gaines opuścił broń.

- Nic nie widzę, oślepił mnie wystrzałem.

- Nie zachowywaliśmy się tak cicho, jak życzyłby sobie Carter - zauważył Thu - ale jest szansa, że nikt nas nie usłyszał. Jeśli nikt nie przechodził w pobliżu, nic nam nie grozi.

- Co z ciałami?

- Pójdę po tego, co został w korytarzu. Ukryjemy ich tu i będziemy się modlić, żeby nikt się za nimi nie stęsknił.

- Przy okazji zamknij klapę - podsunął Gaines.

Thu przyznał mu rację.

- Nie ma po co rozgłaszać wizyty. Jak zaczniesz widzieć, wznowimy poszukiwania.

- W porządku.

Gaines miał nadzieję, że tym razem dotrą dalej.

14

Generał Vinh był niespokojny. Nie wiedział, czemu ma przypisać swoje samopoczucie - wizycie Oanha czy atmosferze panującej w tunelu. Siedział na tym samym krześle w sali konferencyjnej analizując sytuację i doszedł do wniosku, że za bardzo pobił głupocie Phama. Powinien był go powstrzymać. Teraz zaś istniało duże prawdopodobieństwo, że Amerykanie dowiedzieli się o planowanej akcji. Co prawda zwykle wahali się długo, ale nie byli przecież głupcami.

Porozmawia jeszcze z Oanhem na temat ofensywy. Uważał porucznika za zdolnego dowódcę, który mógł samodzielnie przeprowadzić akcję, gdyby jemu coś się stało. Wszyscy żołnierze darzyli go głębokim szacunkiem.

Vinh powtarzał sobie, że nie ma się o co martwić.

Po kilku minutach Gaines widział prawie normalnie i udali się w drogę.

Za kolejnym zakrętem natknęli się na sypialnię. Korytarz rozszerzał się tworząc dużą salę wypełnioną hamakami, przez którą musieli przejść. Nie było strażników, lecz wszystkie hamaki były zajęte i Gaines wyobrażał sobie, co by było, gdyby choć jeden obudził się i zorientował, że są wśród nich obcy.

Miarowe odgłosy chrapania uspokoiły go. Jeżeli tylko nie wyda żadnego dziwnego odgłosu, wszystko powinno być w porządku. Nagle jeden z żołnierzy przestał chrapać poprawiając się w hamaku i Gainesowi wydało się, że patrzy wprost na niego. Gaines nie zatrzymał się, zakładając, że nawet gdyby ten rzeczywiście się obudził i tak od razu go nie rozpozna.

Za piątym zakrętem trafili na ścianę. Gaines szedł powoli w jej kierunku omiatając światłem latarki.

- Stój! - zasyczał Thu. - Tu może być mina!

Gaines zatrzymał się trzy metry przed ścianą.

- Jesteś pewien, że nie ma żadnego przejścia?

- Całkowicie. Musieliśmy coś przeoczyć z tyłu. Mam nadzieję, że nie w sypialni.

Zbadali dokładnie korytarz i znaleźli klapę parę metrów za sobą. Wyłączyli latarki i Thu bardzo powoli podniósł ją do góry. Pod nimi znajdował się następny korytarz. W polu

widzenia nie było nikogo. I nic dziwnego, któż mógł przypuszczać, że wróg zajdzie tak daleko?

Szybko wśliznęli się do środka. Korytarz był tak niski, że Thu nie miał kłopotów z założeniem kłapy na nowo. Od tej pory musieli iść zgięci wpół, ale najpierw musieli wybrać kierunek.

Gaines udał, że rzuca monetę. Thu wzruszył ramionami. Poszli w lewo.

W pajęczym gnieździe było spokojnie. DeLuca i Hidalgo uchylili kłapę wejściową, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Było gorąco, lecz dało się wytrzymać, poza tym nie musieli się przejmować bambusowymi rurkami. Liczyli na to, że usłyszą nadchodzący patrol, zanim ten znajdzie się za blisko.

- Uda im się? - spytał DeLuca.

- Pewnie - odparł Hidalgo. Wiedział, że za nic nie chciałby znaleźć się pod ziemią, ale nie zostawi porucznika ani Thu samym sobie, jak coś im się przytrafi.

Tunel kończył się następnym magazynem, przed którym stało dwóch strażników. Gaines koniecznie chciał zajrzeć do środka. Odważnie ruszył do przodu ciągnąc za sobą Thu. Zataczał się i nucił pod nosem coś, co w jego mniemaniu było jakąś wschodnią melodią. Thu zorientował się, o co chodzi i przyłączył się.

Gdy wydawało się, że wszystko pójdzie gładko, jeden ze strażników otworzył szeroko oczy i zamachnął się nań kolbą. Gaines uskoczył, a w chwilę później jego bagnet aż po rękojęść zanurzył się w szyi tamtego. Thu zajął się drugim. Uderzył go w twarz rewolwerem, a później poderżnął mu gardło. Wciągnęli oba ciała do magazynu wypełnionego rozebranymi na części i dobrze naoliwionymi działami polowymi.

Gaines zdziwił się.

- W parę minut mogą je wynieść na powierzchnię i zmontować. To jest coś! Mają tu sprzętu na całą wojnę.

- Czyli kapitan miał rację - zawtórował Thu.

Gaines spojrzął na zegarek.

- Lepiej pospieszmy się. Mamy dwie i pół godziny.

Thu uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc nie sądziłem, że przeżyjemy tak długo.

- Mieliliśmy szczęście. Zaraz się przekonamy, czy go jeszcze zostało.

Wycofali się, by zbadać drugie skrzydło tunelu.

Gdy przeszli z powrotem przez sypialnię i pustą kuchnię, Gaines był gotów się poddać. Sytuacja wydawała się beznadziejna, gorzej niż szukanie igły w stogu siana - tam przynajmniej pole poszukiwań było ograniczone. Oni wszakże nie natrafili jeszcze na miejsce, gdzie rozlokowane były główne siły. Nie mieli jak sprawdzić, w którym miejscu się znajdują, jak duży jest cały kompleks i czy idą we właściwym kierunku. Gaines miał właśnie zamiar powiedzieć Thu, że czas wracać, kiedy zauważył skulonego człowieka śpiącego w jamie, plecami do korytarza.

- Nasza jedyna szansa. Przepytaj tego faceta.

Thu zastanowił się.

- Można spróbować - zgodził się. - To bardzo niebezpieczne, ale jak mówisz, nie mamy zbyt wielkiego wyboru.

Weszli do środka. Gaines chwycił mężczyznę za głowę, zakrył mu dłonią usta i wyciągnął na korytarz. Thu przystawił mu bagnet do podbródka.

Porucznik Oanh z początku nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Przez chwilę wydawało mu się, że to sen, lecz gdy poczuł ukłucie bagnetem, zorientował się, że nie śpi. Jest wśród nas zdrajca, pomyślał, ale ze względu na panujące ciemności nie rozpoznał, kto to.

- Gdzie jest generał Vinh? - wyszeptał mężczyzna z bagnetem. - Mów, albo cię zabiję.

Oanh potrząsnął głową. Był gotów umrzeć za generała, jeżeli zaszłaby taka potrzeba. Bagnet wbił się głębiej w ciało porucznika.

- Nie stawiaj się, bo zginiesz.

Oanh nie miał zamiaru nic powiedzieć, zastanawiał się nawet, czy nie rzucić się na ostrze noża i nie skończyć ze sobą. Przeszkodziło mu niespodziewane nadejście korytarzem jakiejś postaci. Wszyscy dojrzeliby chybotliwe światło świecy i ktoś zawołał cicho:

- Poruczniku Oanh?

Oanh zorientował się, że to generał Vinh. Musiał coś zrobić, zanim ci dwaj go zabiją. Wyprężył się i kopnął Thu w brzuch. Gaines, rzucony pod przeciwległą ścianę, wyciągnął broń, lecz nim jednym uderzeniem pozbawił Wietnamczyka przytomności, ten zdążył jeszcze krzyknąć:

- Generale, uciekać!

Gaines odepchnął bezwładne ciało, wepchnął pistolet za pas i rzucił się w pogoń za generałem, który zdążył uciec daleko w dół korytarza. Za pierwszym zakrętem udało mu się złapać go za kolana. Obaj upadli i zaczęli walczyć w zupełnej ciemności. Gaines poczuł, jak palce tamtego szukają jego oczu, sam zaś próbował chwycić go za gardło. Z tyłu bezradny Thu przysłuchiwał się walce nie wiedząc kto jest kto, zupełnie jak niedawno Gaines w

magazynie. Bał się zaświeceć latarkę, by niechcący nie zaszkodzić właściwej osobie.

Gaines już prawie miał generała, gdy ten kopnął go w krocze. Mimo okropnego bólu nie rozluźnił uścisku i po pewnym czasie generał musiał zaprzestać walki. Gaines szeptem przywołał Thu.

- To on? - zapytał, gdy Thu ukląkł przy nim i poświecił Vinhowi latarką w twarz.
- Nie wydaje mi się, żeby więcej niż jeden generał znajdował się w tunelach.
- Zabieramy go stąd.

Carter wyposażył ich w nowy środek obezwładniający, który nie odbierając ofiarom świadomości, pozwalał nimi sterować. Gaines spodziewał się, że zastrzyk odniesie skutek. Na szczęście pudełko ze strzykawką pozostało nienaruszone. Gaines zrobił zastrzyk i powiedział do Thu:

- Będziemy go musieli nieść, zanim się nie obudzi. Ja pierwszy.

Wstał i zarzucił sobie rękę generała za szyję.

- Idziemy.

Gdy przeszli już do drugiego korytarza, Gaines przypomniał sobie o drugim Wietnamczyku, którego uderzył pistoletem w głowę.

- Lepiej by było, gdybyś go zabił - powiedział Thu.

Vinh powoli odzyskiwał władzę w nogach. Bez kłopotów przeszli przez pierwszą sypialnię i prawie mijali drugą, gdy Vinh potknął się i zaczepił nogą o hamak. Leżący na nim mężczyzna otworzył oczy.

Thu zareagował natychmiast.

- Generał Vinh odbywa inspekcję tunelu - powiedział cicho. - Wszystko w porządku, idziemy dalej.

Mężczyzna pokiwał głową i położył się z powrotem, podczas gdy Gaines wyprowadził bełkoczącego Vinha z sali.

- Niewiele brakowało - powiedział do Thu, gdy przerzucali generała do górnego korytarza nad magazynem.

Thu był rozradowany. Na przekór wszystkiemu udało się. Mieli trochę kłopotów z przeprowadzeniem generała wokół rowu pułapki, po pokonaniu której byli już prawie w pajęczym gnieździe. Hidalgo usłyszał nadchodzących i przykucnął z karabinem gotowym do strzału. Wtedy rozpoznał słabe dźwięki „Dixie”.

Trącił DeLukę w nogę.

- To oni! - powiedział. - Wracają!

15

Hidalgo pomógł im wlec generała przez ostatnie metry tunelu do gniazda, skąd wyszedł DeLuca, by zrobić dla nich miejsce.

- Nie myślałem, że wam się uda - powiedział Hidalgo do Gainesa, kiedy wyszli z dziury.

- Ani ja - przyznał Gaines. - Teraz w drogę, bo się spóźnimy na spotkanie z helikopterem.

Generał stał między DeLuką i Thu drżąc z lekka. Trzeba było przyznać, że przynajmniej z zewnątrz wyglądał lepiej niż Gaines i Thu, których ciała, wysmarowane błotem i krwią, dawały częściowy obraz tego, co przeżyli.

Szybkim marszem ruszyli przez dżunglę. Hidalgo i DeLuca podtrzymywali potykającego się ciągle generała, zaś Thu i Gaines podążali za nimi. Nagle uderzył ich snop światła i rozkaz zatrzymania wypowiedziany po wietnamsku.

Nie usłuchali.

DeLuca i Hidalgo ukryli generała za małym wzgórkim, a Gaines i Thu dali nura w zarośla. Zasypał ich grad kul z karabinów maszynowych, odstrzelonych liści i gałęzi. Nie mogli się nawet ruszyć. Gainesowi udało się puścić serię czy dwie zza osłony drzew, lecz nie na wiele się to zdało. Postanowił podkraść się bokiem i spróbować rzutu granatem.

Po eksplozji wyskoczył, i ziejąc ogniem ze swego M-16, biegł w kierunku wroga. Thu i pozostali dwaj dołączyli z boku, zostawiając generała samemu sobie. Minął krater po granacie z dwoma ciałami i krótką serią ściał sylwetkę wynurzającą się z zarośli. Drugi z żołnierzy nie przerywając ognia zdążył ukryć się za drzewem, lecz Gaines padł plackiem na ziemię, podczołgał się i strzelił dwukrotnie. Kule zakrwawiły tamtemu koszulę na piersiach i wyrwały kawał pleców. Mężczyzna ześliznął się wolno po korze drzewa zostawiając za sobą mokry ślad.

Hidalgo potknął się o wystający korzeń i upadł w ten sposób ratując sobie życie. Kule z chichotem przecięły powietrze, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa. Johnny przewrócił się na bok, zmienił magazynek i otworzył ogień w kierunku wroga.

Po chwili Wietnamczyk wstał krwawiąc z trzech ran i upadł jak długi, przygniatając swym ciężarem krzak, za którym się wcześniej ukrywał.

DeLuca spojrzął do góry w koronę drzewa chybotającą się jak przy silnym wietrze i na wszelki wypadek posłał tam serię. Za chwilę z głośnym krzykiem spadł na ziemię jakiś kształt, omal nie przygniatając drugiego, który właśnie mierzył do DeLuki. Wykwitł przed nim rząd małych gejzerów pyłu. DeLuca nie dał mu szansy na poprawkę.

Thu znalazł się na wolnej przestrzeni nie zauważwszy nawet jednego żołnierza Wietkongu. Odgłosy walki dochodziły go gdzieś z oddali, odwrócił się więc, by pomóc kolegom. Nagle usłyszał z tyłu podejrzany dźwięk i starczyło mu czasu zaledwie na to, by paść plackiem na ziemię. Jedna z kul przedziurawiła mu spodnie i oparzyła skórę. Przewrócił się na bok i zobaczył napastnika, którego kule zaświstały mu koło uszu. Padając, Thu zgubił karabin, lecz miał przy sobie jeszcze rewolwer. Wyciągnął go i bez celowania dwukrotnie wystrzelił. Jedna z kul trafiła żołnierza w pierś. Zatrzymał się, jakby nie dowierzał temu, co się stało, potem opadł na kolana patrząc w stronę Thu oczyma, które szybko zachodziły mgłą. Wreszcie broń wypadła mu z ręki i zwałił się jak długi na ziemię.

Thu odszukał swój karabin i poszedł w stronę pozostałych żałując, że nie zna melodii „Dixie”.

Hidalgo wrócił do generała, który dalej leżał za wzgórkami dokładnie tam, gdzie go zostawili, mamrocząc coś do siebie. Pomógł mu wstać i razem z DeLuką kontynuowali marsz.

- Widziałeś porucznika? - spytał DeLuca.

- No. Jest gdzieś przed nami. Ale nie wiem, co się dzieje z Thu.

Mimo że Thu był z Gainesem w tunelu, DeLuca wciąż nie ufał skautowi. Jak to się stało, że w ogóle znaleźli tego cholernego generała? Dałby głowę, że to jakaś skomplikowana pułapka. W tej chwili usłyszał kogoś zmierzającego w ich kierunku przez zarośla i przygotował broń.

- Dixie - powiedział Thu.

Hidalgo roześmiał się serdecznie.

Znów biegli przez dżunglę. DeLuca i Hidalgo musieli teraz wlec generała, który stawał się coraz większym ciężarem. Środek odurzający najwyraźniej zaczynał go usypiać.

Gaines niepokoił się obecnością patroli. Zdał sobie sprawę, że nie spotkali w tunelu więcej ludzi tylko dlatego, że duża część z nich patrolowała okolicę. Bez wątpienia tunele były bardzo rozbudowane i w korytarzach, które wraz z Thu ominęli, mogły się znajdować setki żołnierzy. Odgłosy strzelaniny na pewno zwróciły uwagę znajdujących się na powierzchni żołnierzy, lecz udało im się wyjść z dżungli bez dalszych kłopotów.

Do wschodu słońca zostało pół godziny i Gaines uspokoił się trochę.

- Zaczekamy tutaj - powiedział. - Helikopter przyleci tu za pół godziny, wtedy damy mu znaki latarkami.

DeLuca i Hidalgo zwalili Vinha na ziemię. Ręce bolały ich od ciągłego podtrzymywania generała, więc odpoczynek był im bardzo na rękę.

Thu zastanawiał się, czy jest na tyle bezpiecznie, by zapalić papierosa, gdy nagle o trzydzieści metrów na lewo otworzyła się ziemia. Hidalgo zauważył to pierwszy i po chwili zorientował się co to jest - włąz do tunelu. W drodze do dżungli minęli jakieś odgałęzienie tunelu, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Padnij! - krzyknął.

Pozostali usłuchali natychmiast nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Hidalgo otworzył ogień w stronę wychodzących z tunelu żołnierzy i udało mu się powalić pierwszego. Kula przeszła mu gardło. Za nim pojawił się następny. I następny.

Po prawej stronie otworzył się jeszcze jeden włąz, jak poprzednio zaczął wydobywać się z niego szereg żołnierzy, którzy natychmiast otwierali ogień. W tunelu zagrzewał ich do walki porucznik Oanh, który odzyskawszy przytomność próbował odbić generała. Odgadł, że porywacze będą chcieli wyjść z dżungli i postanowił wyjść im naprzeciw. Zapłacą teraz za swoją śmiałość.

Jako ostatni wyszedł z tunelu. Widział błyski wystrzałów skierowanych w ich stronę.

- Chodź tu! - rzucił do stojącego najbliżej żołnierza. - Zajdziemy ich od tyłu.

Gaines chciał przetrzymać atak do momentu przybycia helikoptera. Oby przyleciał punktualnie, pomyślał, naciskając spust. Jeden z Wietnamczyków próbował zbliżyć się do nich, lecz powalił go celnym strzałem. W tej samej chwili usłyszał warkot śmigłowca. Pilot z pewnością zauważył już potyczkę.

Tak było w istocie. Za parę minut helikopter znalazł się nad polem walki i Gaines nadał latarką sygnał S.O.S., by wskazać pilotowi, kto jest kto. Prawie natychmiast działo pokładowe otworzyło ogień w stronę Wietnamczyków.

Helikopter niezbyt fortunnie lądował między dwoma włączami do tunelu, lecz gdzie indziej nie było miejsca. Kiedy Gaines poczuł uderzenia strug powietrza wzniecanych śmigłami, skoczył na równe nogi.

- W porządku, dawać generała! - krzyknął.

DeLuca i Hidalgo wciągnęli Vinha do helikoptera osłaniani ogniem pozostałej dwójki. Ranni Wietnamczycy próbowali dostać się z powrotem do tunelu, lecz Thu strzelał do nich bez litości, natomiast Gaines zajmował się zdrowymi. Jak tylko DeLuca i Hidalgo znaleźli się w środku, otworzyli ogień do wroga.

Oanh był wściekły. Prawie udało mu się odbić generała, a tu śmigłowiec sprząta mu ich sprzed nosa. Za wszelką cenę chciał zatrzymać maszynę. Stał na równe nogi i pobiegł w stronę helikoptera strzelając zawzięcie.

Thu, który właśnie zabierał się do wsiadania, poczuł trafienie w stopę i przewrócił się nie dosięgnawszy uchwytu przy włązie. Hidalgo zobaczył biegnącego.

- Co to za wariat? - krzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział. Gaines wyskoczył na pomoc Thu, a pozostali strzelali do Oanha.

- Nic mi nie jest - wystękał Thu.

Oanh odstrzelił mu obcas.

Gdy wsiedli, kanonier z helikoptera krzyknął znajomym głosem:

- Zwiewamy!

Gaines dopiero w tej chwili zauważył, że strzelcem jest kapitan Carter.

Na ziemi pozostał Oanh płacząc w bezsilnej złości i nie przestając strzelać w stronę oddalającego się helikoptera. Gdy iglica szczęknęła głucho w komorze naboju, zmienił magazynek i strzelał dalej, choć śmigłowiec zniknął już z pola widzenia.

Carter tonął w uśmiechach.

- Macie go, co? Dobra robota!

Wyczerpany Gaines leżał na podłodze.

- Cóż to dla nas - wystękał.

- Spacerek - dodał DeLuca.

- Muszę mieć plany tuneli, w ogóle wszystko co pamiętacie.

- Hej, kapitanie! - zaprotestował Hidalgo. - Nie należy się chłopakom chwila oddechu?

- Oczywiście - zgodził się Carter. - Parę godzin snu i znów będą gotowi.

Thu oparł się o burtę śmigłowca i zapalił papierosa.

- Nie liczyłbym na to - powiedział, wydmuchując cienką smużkę dymu.

16

Vinh leżał w pomieszczeniu, gdzie dominującym kolorem była biel. Ściany, sufit i pościel - wszystko było białe. Nie widział tylko podłogi, a gdy spróbował się podnieść, zorientował się, że jest unieruchomiony. Oprócz metalowego białego stolika przy wezgielciu łóżka, nie było żadnych mebli.

Na stole znajdował się dzban z wodą, a jemu bardzo chciało się pić, nie dał rady go jednak dosięgnąć. W pokoju było dość chłodno, szczególnie dla kogoś, kto wiele czasu spędził pod namiotem czy w tunelu.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób się tu dostał, i jak długo tak leży. Pamiętał, że w tunelu został zaatakowany, ale reszta gubiła się w gęstej mgle, której nijak nie mógł przebić. Od czasu do czasu wyłaniały się z niej obrazy, jak helikopter, strzelanina, lecz nie wiedział, jaki jedno może mieć z drugim związek.

Mógł poruszyć głowę, ale korpuz, ręce i nogi były przymocowane do łóżka. W pełni przytomny leżał przez godzinę, nim drzwi do pokoju otworzyły się i weszło czterech mężczyzn, w tym jeden Wietnamczyk.

Jeden z nich, w randze kapitana, podszedł do łóżka i powiedział coś po angielsku, czego Vinh nie zrozumiał. Wietnamczyk przetłumaczył:

- Kapitan Carter mówi, że chciałby pana przesłuchać. Ja nazywam się Thu i będę tłumaczył pytania. Pozostali to major Forbes i porucznik Benedict. Major Forbes jest lekarzem, zaś porucznik Benedict psychologiem i specjalistą od przesłuchań.

Carter znów coś powiedział i Thu przetłumaczył:

- Jeżeli zechce pan odpowiedzieć na pytania, nie ma pan się czego obawiać, jeśli zaś nie, będziemy musieli podać panu środek o nazwie penotal. Jest zupełnie nieszkodliwy, ale i tak będzie pan pod nadzorem lekarza. Dlatego są tu z nami doktor i psycholog.

- Poproś, żeby pokiwał głową, jeśli rozumie - dodał Carter.

Thu przekazał jego słowa i Vinh skinął głową.

- Teraz zapytaj, czy będzie odpowiadał.

Vinh potrząsnął głową i powiedział coś bardzo szybko.

- Poda tylko swoje imię i nic więcej.

- Bardzo dobrze. Doktorze?

Major Forbes podszedł i położył torbę na stoliku obok łóżka.

- Nie będzie bolało.

Vinh patrzył na igłę i próbował skoncentrować się na swym dzieciństwie, dorastaniu, na szkole - wszystkim oprócz planów wojennych. Sądził, że jeśli zdoła się wystarczająco skoncentrować, nawet potężny narkotyk nie będzie w stanie zmusić go do opowiedzenia o ofensywie. Mylił się.

Porucznik Oanh siedział w sali konferencyjnej próbując przekonać kapitana Phuanga, że ofensywę należało przeprowadzić zgodnie z planem. Obecni przy tym byli też inni oficerowie, lecz właśnie Phuanga trzeba było przekonać.

- Generał Vinh przedstawił mi szczegółowe plany operacyjne - tłumaczył Oanh. - Wiem dokładnie, gdzie chciał rozmieścić nasze siły, jak miał zamiar zwabić Amerykanów na obszar tuneli. Nie ma więc powodu niczego odwoływać. - Phuang skurczył się na niewygodnym krześle. Był starszy niż Oanh i bardziej rozważny. Musiał mieć absolutną pewność.

- Ale teraz Amerykanie znają nasze plany i mogą je obejść - powiedział cicho. - Przecież weszli tutaj, do samego środka tuneli, które uważaliśmy za zupełną tajemnicę. Przyszli, znaleźli naszego generała i zabrali go ze sobą.

Oanh czuł, że poczerwieniał na twarzy. Phuang musi zrozumieć, że to był przypadek. Starał się nie podnosić głosu.

- Mieli dużo szczęścia. Nawet ślepa kura trafi czasem na ziarno ryżu. Wcale nie oznacza to, że mogą nas powstrzymać. Generał Vinh sam mi mówił, że Amerykanie bardzo wolno reagują.

- Kiedyś była to prawda - odparł Phuang. - Teraz zareagowali bardzo szybko.

- Ale wysłali tylko jeden mały oddział specjalny. Nie sądzę, że mogli w tak krótkim czasie zmobilizować wystarczająco duże siły przeciwko nam.

Phuang rozmyślał tak długo, że pozostali przy stole zaczęli się niepokoić. Wreszcie przemówił:

- Bardzo dobrze. Nie odwołujemy akcji. Pan, poruczniku, będzie dowodził, jako osoba, której generał powierzył plany.

Oanh był zadowolony, ale nie okazał tego po sobie. Amerykanie zapłacą za generała i za tych, co zginęli w tunelu. Nie miał złudzeń, że odbije generała. Amerykanie z pewnością go już zabili.

Vinh wprawdzie żył, lecz zupełnie upadł na duchu. Kiedy się obudził, wiedział, że nie oparł się sile narkotyku, że powiedział wszystko. Wolalby umrzeć, lecz nie dano mu takiej możliwości. Było mu pisane zostać jeńcem, a do tego dobrze traktowanym. Miał żyć ze świadomością, że zawiódł. Pewnie, nie była to jego wina, nie można jej było przypisać żadnej z czynności, które przedsięwziął, może z wyjątkiem tego, że pozwolił Phamowi żyć zbyt długo. Tak czy owak, zawiódł. Pozostało mu tylko przeżuwać gorycz porażki.

Tego samego wieczora Carter wezwał Szczury do swej kryjówki. Czuł, że powinni zapoznać się z wynikami misji, do której sukcesu walnie się przyczynili. Thu oczywiście wiedział wcześniej, ale nie puścił pary z ust.

- Wiemy wszystko - powiedział kapitan na wstępie. - Moje gratulacje.

- Dziękujemy - odparł Gaines. - Ale czy możemy wiedzieć, co?

Carter rozparł się wygodnie na krześle za biurkiem.

- Plan był bardzo prosty. Vinh zamierzał wysłać kilka swych oddziałów, by zaatakowały nasze bazy w okolicy. Działanie pozorowane, chciał bowiem, by nasze wojska w pogoni za nimi weszły na tereny tuneli. Oni schroniliby się do środka i niespodziewanymi wypadami niszczyliby naszych. Prawdopodobnie udałoby im się. Wiem, że szlag by nas trafiał, a nie potrafilibyśmy zrozumieć, jak oni to robią. Pomyślcie tylko, jakby to wpłynęło na ich morale. My zaś dostalibyśmy kopa w dupę.

- Co z tym fantem zrobić? - zapytał DeLuca.

- Dobrze pytanie - pochwalił go Carter. - Wszystko zależy od tego, co oni z tym robią.

- Nie rozumiem - mruknął Hidalgo.

- Mają wybór - wyjaśnił Carter. - Mogą wszystko odwołać albo działać, jak zaplanowano. Nasze przeciwdziałanie zależy od nich.

- To znaczy? - nalegał Gaines.

Carter uśmiechnął się.

- Uważam, że będą kontynuować zgodnie z planem, mogę się nawet założyć.

- Dlaczego?

- Generał Vinh powiedział coś pod wpływem narkotyku. Wydaje się, że mają o nas niezbyt wysoką opinię. Myślą, że nie potrafimy szybko podejmować decyzji.

- Coś w tym jest, sam muszę to przyznać - uśmiechnął się Gaines.

- W niektórych przypadkach owszem - zgodził się Carter. - Ale tym razem czeka ich przykra niespodzianka.

- Powie nam pan? - spytał DeLuca.

- Jasne. Wam przede wszystkim.

- Pozwolimy im na trochę.

- Co? - nie wierzył Hidalgo. - Ujdzie im to na sucho?

Carter zaprzeczył ruchem głowy.

- Tego nie powiedziałem. Nie będziemy ich gonić na ich terenie, zaczekamy na zewnątrz, a kiedy się pokażą, uderzymy, ale nie ruszając się z miejsca.

- Niezły pomysł - skomentował Hidalgo.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Carter. - Kiedy ich ludzie będą próbowali wciągnąć naszych na teren tuneli, wyślemy helikopterem grupę uderzeniową, żeby odcięła ich od dżungli, co z kolei powinno wyciągnąć więcej żołnierzy z tuneli. Wtedy walka rozegra się na naszych warunkach.

Wszyscy przyznali, że Carter jest bardzo przebiegły.

Gaines był jednak zdania, że czegoś brakuje planowi. Thu spojrzał nań natychmiast wiedząc, o co chodzi.

- Pomyśleliśmy o wszystkim. - Carter nie rozumiał.

- Nie. Powiedz, Thu - poprosił Gaines.

- Dobrze - Thu wyglądał niepewnie. - Wydaje mi się, że porucznik Gaines proponuje, żeby wrócić do tunelu.

- Co? - wybuchnął Carter. - Chyba całkiem oszaleliście! Mielicie cholerne szczęście, że nic wam się nie stało!

- Zgoda, ale udało się - powiedział Gaines. - A teraz powinniśmy wrócić.

Carter wstał.

- Czy nie zapominacie, kto tu dowodzi?

- Nie. Ale niech nam pan pozwoli skończyć.

Carter miał nadzieję, że nie będzie więcej ostrych spieć z Gainesem, który niezbyt chętnie poddawał się dyscyplinie. Może jak pozwoli mu się wypowiedzieć, będzie zadowolony?

- W porządku, mówcie.

- Sprawa wygląda tak - wyjaśnił Thu. - Jeżeli nie wrócimy do tunelu, skąd możemy wiedzieć, że mamy rację? Skąd mamy wiedzieć, że nie chowają tam jeszcze czegoś?

- To nie wszystko - dołączył się Gaines. - Niech pan pomyśli, kapitanie. Jeżeli walczyliśmy z nimi na powierzchni, robimy dokładnie to samo co zawsze. Jak dotąd nie przyniosło nam to wielkich sukcesów. - Myślał o Fletcherze, Gormanie i Helmsie, którzy nie zginęliby, gdyby sprawą tuneli zajęto się wcześniej.

- Musimy zejść na dół - ciągnął - i wykurzyć stamtąd wszystkich. Podłożyć ładunki i w ogóle. Jak nie, znów je wykorzystają. Mają tam ogromne zapasy żywności i broni. Jak nie zechcą, nie ruszą się stamtąd. Musimy zniszczyć tunele i wszystko, co się w nich znajduje.

Carter zastanawiał się nad jego słowami. Tymczasem żołądek Johnny'ego zwijał się ze strachu. Oszukiwał się myśląc, że jego dni jako Szczura zakończyły się szczęśliwie. Ale jeśli Carter przyzna rację Gainesowi - mylił się. I tym razem sam będzie musiał zejść pod ziemię.

Carter wstał i przeszedł kilka kroków.

- Ma pan rację, Gaines - przyznał. - Z pewnością ma pan rację. Przepraszam, że się tak zachowałem.

- Wszystko w porządku, panie kapitanie - powiedział Gaines, zadowolony, że przekonał Cartera.

- Ale to nic nie zmienia. Zadanie takie jest praktycznie samobójstwem.

- Niekoniecznie. Jeżeli nasze zejście na dół byłoby zgrane z rozpoczęciem walki, mielibyśmy dość duże szanse, bo większość żołnierzy będzie zajęta czym innym.

Johnny nie wierzył ani jednemu słowu. Jaki miał jednak wybór? Musiał iść albo przyznać, że się boi, co było wykluczone.

- Zgadzam się - powiedział Gaines. - Sprawa załatwiona. Przygotujcie się, chłopaki. Jutro mają się zacząć działania. Z pierwszym strzałem schodzicie.

Zdobywszy poparcie oficerów Oanh przystąpił do realizacji planów zgodnie z wytycznymi, które przedstawił mu generał Vinh. Skoro tylko zameldowano o przybyciu oddziałów Wietkongu, natychmiast wysłał je do akcji na bazy amerykańskie. Pozostali zajęli się przygotowywaniem tuneli na ich powrót wraz ze zmierzającymi w pułapkę Amerykanami.

Ci ze swej strony, dzięki Szczurom, wiedzieli o planach Wietnamczyków, w związku z czym ich ataki nie wywarły spodziewanego efektu.

Nim zaczęła się akcja, oddział Szczurów czekał już gotowy do akcji w helikopterze. Carter na bieżąco otrzymywał meldunki o działaniach wroga i starał się przewidzieć ich następne kroki. Chciał dać swym ludziom jak najwięcej czasu na wykonanie zadania.

Nie było skomplikowane, podobnie jak plan Vinha. Dwóch miało wejść do tunelu na skraju dżungli. Pozostała dwójka powinna w tym czasie znaleźć pajęczę gniazdo, założyć tyle ładunków wybuchowych, ile się dało przez dwie godziny i uciekać do wyjścia, gdzie będzie na nich czekał śmigłowiec.

Gaines miał iść w parze z Hidalgo do pajęczego gniazda, którym przedtem wraz z Thu zeszli do tunelu, zaś Thu, jako bardziej doświadczony, miał zejść w nowe, nierozpoznane jeszcze korytarze. Za towarzysza tym razem miał DeLukę. Temu ostatniemu nie bardzo się to podobało, ale nic nie mógł na to poradzić. Głupotą byłoby nie ufać Thu, skoro zaszli tak daleko, lecz mimo to nie całkiem pozbył się wątpliwości co do niego.

Hidalgo też nic nie mówił, choć sam czuł się jeszcze mniej pewnie niż DeLuca. Zanim śmigłowiec wzniósł się w powietrze, oblał się potem i oddychał z trudnością, jakby płuca opasała mu stalowa taśma zostawiając coraz mniej miejsca na powietrze.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Gaines.

- Pewnie. To tylko lekka niestrawność. Nic mi nie będzie - odparł Johnny przyrzekając sobie, że ani słowa nie piśnie o swoich kłopotach.

Gaines zastanawiał się, czy Johnny powiedział mu prawdę, ale było za późno. Będzie się o to martwić, kiedy przyjdzie czas.

Johnny próbował się uspokoić myśląc o szerokich, otwartych przestrzeniach. Wiedział, że nie jest tchórzem. Patrzył przecież na dół ze śmigłowca przez otwarte drzwi i wszystko było w porządku. Do diabła, mógł się nawet uwiesić rękami za płozy, jak wtedy, na

balkonie budynku.

Czas przelotu wydał mu się krótką chwilą. Zaraz po wylądowaniu popędził wraz z Gainesem w stronę dżungli.

DeLuca z Thu szybko zauważyli wejście do tunelu w pobliżu drzew. Wietnamczyk złapał za uchwyty, podczas gdy DeLuca wyciągał zawleczkę granatu i jak tylko kłapa znalazła się w górze, wrzucił go do środka. Thu rzucił kłapę na miejsce i obaj odskoczyli.

Siła wybuchu odrzuciła kłapę daleko, lecz nim zdążyła wylądować, obaj byli w korytarzu. Nie zastali nikogo.

- Idziemy - powiedział Thu badając uważnie grunt pod nogami. Gaines i Hidalgo z łatwością odszukali pajęczę gniazdo. Wyglądało tak samo jak ostatnim razem. Gaines podejrzewał jednak, że będzie lepiej strzeżone niż poprzedniej nocy. Przez moment zaświtała nadzieja dla Hidalgo: jeśli nie uda im się wejść, jest uratowany. Rozwiązał ją Gaines:

- Zabiliśmy obydwóch poprzedniej nocy, więc skąd mają wiedzieć, jak tu weszliśmy? Udało się raz, uda się i drugi.

Miał rację. Hidalgo słynął ze swych umiejętności naśladowania różnych odgłosów. Tym razem wybrał policyjną syrenę.

Gdy pokrywa zaczęła się podnosić, Gaines szarpnął ją na bok i obaj z Hidalgo wypróżnili do niej swe magazynki.

Znaleźli trzy ciała. Gaines wskoczył do środka i wyciągnął je na powierzchnię.

- Chodź tu! Weź je gdzieś na bok. I nie zapomnij karabinu.

Mieli zamiar zostawić karabiny u wejścia do tunelu i zabrać ze sobą magazynki, by po wykonaniu zadania wziąć je ze sobą.

Hidalgo wykonał polecenie i wskoczył do dziury.

- Pułapka - mruknął Thu.

Leżał na brzuchu tuż przed DeLuką, który musiał się sporo nagimnastykować, by cokolwiek zobaczyć. Metalowy odbłask linki kilka centymetrów nad dnem korytarza zwrócił uwagę Wietnamczyka.

- Gdzie się kończy? - spytał DeLuca.

Thu poświecił wzdłuż drutu, który zniknął gdzieś w ścianie. Nie było czasu na jej rozbrojenie. Thu po prostu prześliznął się nad nią. DeLuca zrobił krok za nim, lecz stopą trącił zaledwie drut. Poczł, że zrobił błąd, ale było już za późno. Nawet tak delikatne muśnięcie sprawiło, że pułapka zadziałała. DeLuca czekał, kiedy wybuch rozniesie go na strzępy, lecz nic podobnego nie nastąpiło. W sklepieniu otworzyło się małe okienko i wprost

na kark DeLuki spadły cztery czarne żmije.

Opanował się i strząsnął je z siebie. Choć były małe, jedno ich ukąszenie i nie zrobi nigdy więcej ani jednego kroku. Usiadł dotykając głową sklepienia tunelu. Żmije, zamknięte przez dłuższy czas w ciemnym pudełku, wydawały się oślepione blaskiem latarki DeLuki. Odłożył ją teraz ostrożnie na bok starając się nie wypuścić żmij ze snopu światła, lecz te powoli zmierzały w jego kierunku, prawdopodobnie zwabione ciepłem jego ciała. Szybkim cięciem bagnetu pozbawił jedną głowy, a kiedy druga zaatakowała wijący się tułów, zabił ją także. Pozostałe dwie były jednak zbyt blisko, by mógł sobie z nimi poradzić. Wycofać się też nie było gdzie.

Nagle dwa strzały z rewolweru omal nie rozsadziły mu bębenków, a żmije z roztrzaskanymi głowami zaczęły rzucać się w konwulsjach po korytarzu.

- Boże! - krzyknął DeLuca.

Thu ciągnął go za rękaw.

- Nie ma czasu, pospiesz się.

DeLuca spojrział na resztki żmij i poszedł za skautem. Thu uratował mu życie. Jak mógł być wobec niego tak nieufny! To on przez swoją nieuwagę naraził ich obydwu. Jeżeli ktoś był nie w porządku, to właśnie on, DeLuca.

Hidalgo zmusił się do przejścia z pajęczego gniazda do tunelu. Pocił się straszliwie. Nim zdążyli ująć parę metrów, był pewien, że płuca odmówią mu posłuszeństwa. Całą siłą woli zmuszał się do oddychania. Sam nie wiedział, jak włókł się za Gainesem co krok ocierając pot z czoła.

Porucznik pokazał mu pułapkę i linie narysowane przez Thu. Widać było, że choć od tego czasu przez tunel przewinęło się wiele ludzi, nikt nie zadał sobie trudu, by je zatrzeć. Hidalgo nie był jednak w stanie zmusić się do przeczołgania obok pułapki. Zwiotczały mu mięśnie i oparł się o ścianę tunelu.

- Do cholery, Hidalgo, nie ma czasu na przerwę! - rozzłościł się Gaines. - Chodź!

- Nie... nie mogę, poruczniku. - Hidalgo z trudem łapał oddech.

Gaines nie wierzył własnym oczom. Czy to aby na pewno ten sam człowiek, którego papiery mówiły, że jest odważny do szaleństwa?

- Nie pierdol, Hidalgo, nie ma czasu! - Gaines wyciągnął i załadował rewolwer. - Idziesz tu albo rozwalę ci łeb!

Coś w głosie Gainesa ostrzegło Johnny'ego, że porucznik nie żartuje. Zamknął oczy broniąc się w ten sposób przed chcącym przygnieść go sufitem.

Okazało się, że dał rady.

- Przepraszam, poruczniku.

Nadal nie brzmiało to zbyt przekonywająco, ale Gaines odłożył pistolet.

- W porządku, ruszamy.

Gaines poszedł przodem. Hidalgo otwierał oczy na krótko i tylko wtedy, gdy było to konieczne. Ściany pozostawały na swoich miejscach, lecz Hidalgo wyobrażał sobie, że mają okna wychodzące na szeroką, otwartą równinę. Pomogło. Wkrótce mógł oddychać zupełnie normalnie.

Gdy znaleźli się przy wejściu do magazynu z ryżem, Gaines wyjaśnił Johnny'emu, gdzie są i co powinni zrobić. Zgasili latarki, a Hidalgo za wszelką cenę próbował wyobrazić sobie, że są w olbrzymiej sali gimnastycznej w jakiejś szkole, i że za chwilę ktoś zaświeci światło i ujrzą przed sobą jasną, błyszczącą podłogę, gotową na przyjęcie zawodników.

Gaines podniósł klapę i zajrzał do środka. Z korytarza, jak poprzednio, dochodziło blade światło i nie było ani śladu strażników. Zeskoczyli na dół.

Natychmiast w pomieszczeniu rozległy się strzały. W tunelu ukryli się dwaj mężczyźni, którzy otworzyli ogień z AK-47. Kule porozrywały kilka worków z ryżem, którego ziarenka boleśnie zraniły Hidalgo w twarz. Znajdowali się jednak w dość dużym pomieszczeniu i Johnny natychmiast zapomniał o swym strachu odpowiadając zgodnie z tym, czego się nauczył. Padł na podłogę obok Gainesa wyciągając pistolet.

Kiedy wystrzelili, twarz jednego z żołnierzy rozpadła się na kawałki pod uderzeniem dwóch kul trafiających ją prawie jednocześnie. Drugi uciekł w głąb tunelu.

Dzwoniło im w uszach od huku wystrzałów, lecz Hidalgo nawet nie zastanawiał się, co robić. Gestem dał znak Gainesowi, że bierze resztę na siebie. Stał przy wejściu do magazynu schowany za stosem worków i wyjrzał na korytarz. Dostrzegł cienie chwiejące się na ścianach, a jeden z nich przypominał mu głowę człowieka. Hidalgo skoczył przed siebie i strzelił w półobrocie w stronę gdzie, jak się domyślał, musiał być tamten.

Miał rację. Dwie kule z rewolweru trafiły go w brzuch. Upuścił broń, złapał się za ranę i padł na kolana. Między palcami sączyły mu się coraz grubsze strużki krwi.

Hidalgo przypomniał sobie, że umawiali się strzelać nie więcej niż trzy razy przed powtórным naładowaniem broni. Gdyby tylko ktoś się pojawił, Johnny nawet nie zastanawiałby się nad złamaniem umowy, ale na razie było spokojnie, poza tym Gaines zaczął go już osłaniać.

- Droga wolna - mruknął, energicznie wpychając naboje do rewolweru.

Zauważył, że nie trzęsą mu się ręce, oddycha normalnie, jak po zwykłej bójce, a

ściany przez cały czas pozostają na miejscach nie objawiając wobec niego wrogich zamiarów.

- Zakładamy ładunki - powiedział Gaines.

Wrócił do magazynu. Gaines odnalazł małą torbę, z której wyjął kawałek plastiku wybuchowego z detonatorem i podał je Johnny'emu.

- Przymocuj na suficie - rozkazał - i nastaw zegar na godzinę trzydzieści.

Hidalgo bez słowa zabrał się do pracy.

DeLuce wydawało się, że powoli traci zmysły. Tunele wiły się jak żmije, i zupełnie stracił w nich orientację. Wiedział, że musi całkowicie polegać na Thu, żeby go stąd wyprowadził. Do tej pory nie zauważyli niczego ani nikogo i zaczęli już podejrzewać, że gdzieś musieli źle skręcić. Kierunki wybrali zupełnie przypadkowo, a teraz okazywało się, że wybrali źle. Właśnie gdy Thu miał zamiar zaproponować, by zawrócili, wydało mu się, że coś słyszy. Jakby stłumione piski. Spojrzał na DeLukę, który nic nie słyszał.

Dźwięk zbliżał się do nich. Thu już wiedział i zastanawiał się, jak zniesie to DeLuca. Nie mieli jak uciec, tunel był zbyt niski. Mogli się tylko czołgać, do tego niezbyt szybko. Thu odwrócił się i krzyknął do partnera:

- Szczury!

Boże, pomyślał DeLuca. Najpierw cholerne węże, a teraz szczury. Żywe!

Zebrał się w sobie, ale nie zdążyli. DeLuca już słyszał tupot milionów małych łapek.

Pierwszy przemknął mu po grzbiecie. Przyspieszył, lecz wtedy Thu potknął się i wpadł na niego, przygniatając go. Szczury pokryły ich zupełnie.

DeLuca czuł, jakby znajdował się w piszczącej, włochatej i śmierdzącej rzece. W ustach czuł smak szczurów i chciał się go pozbyć, lecz bał się je otworzyć, by nie dostał się tam szczur. Za chwilę jeden pobłądził i znalazł się w nogawce jego spodni. Mrówki, w porządku, potrafił nawet znieść uządlenia pszczoł, ale szczury? A jak go chwyci tam, gdzie nie trzeba? Zaczął się trząść, lecz Thu przygniótł go do ziemi.

Szczury nie przestawały biec.

Umarli nie potrzebowali broni, więc Gaines i Hidalgo zabrali dwa bezpieczeństwa AK-47 wraz z zapasowymi magazynkami. Gaines wiedział, że od tej pory w korytarzach było dosyć miejsca dla ludzi z długą bronią. Prawdę mówiąc był zadowolony, że mieli karabiny. Wolał je od swych M-16, poza tym mogli z nich skorzystać, kiedy natkną się na żołnierzy wroga.

Nie czekali długo. Sypialnia zatłoczona była ludźmi gotowymi na przyjęcie intruzów. Ostrzegła ich strzelanina w magazynie.

Amerykanie też byli gotowi. Mieli zamiar dotrzeć do pomieszczenia, w którym znajdowały się działa, bez których planowana ofensywa nie powinna pójść tak gładko.

Wymiana ognia trwała krótko, bowiem żołnierze w sypialni nie mieli za co się ukryć. Za chwilę było po wszystkim. Jeden z mężczyzn zawołał coś po wietnamsku. Miał przestrzelone płuco, lecz nie mogli mu w niczym pomóc, więc Hidalgo dobił go strzałem w głowę. Przynajmniej nie musiał się męczyć.

Hidalgo też był ranny, ale dopóki Gaines nie powiedział mu o tym, nic nie czuł. Miał odstrzelony kawałek prawego ucha, z którego płynął strumień krwi po policzku i szyi. Nie martwił się tym specjalnie, bo rany uszu zawsze tak krwawiły, ale piekło niemiłosiernie.

Nie mieli czasu. Musieli się dostać do magazynu broni, zanim ktoś ich zatrzyma. Jeszcze jedna taka potyczka mogła być dla nich ostatnią.

Gaines założył ładunki, potem ruszył biegiem. Hidalgo prawie deptał mu po piętach. Nagle zdał sobie sprawę, że przestał się bać tuneli, nie przerażała go już wizja spadających na niego zwałów ziemi. Westchnął z ulgą. Wiedział, że wszystko będzie dobrze.

Tego dnia zdobył się na największy wyczyn w życiu, lecz nie miał zamiaru nikomu o tym mówić. Gdyby się ktoś przypadkiem dowiedział, pękłby ze śmiechu.

Tego dnia Johnny Hidalgo przestał się bać tuneli.

18

Wiadomości, które porucznik Oanh otrzymywał z pola walki zaniepokoiły go. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, ale coś mu się nie podobało. Amerykanie nie odnosili takich strat, jak się spodziewał i mimo że starali się ścigać wycofujące się oddziały Wietkongu, nie robili tego z przekonaniem. Zastanawiał się, dlaczego. Czy generał Vinh czegoś nie przewidział? Niemożliwe. Jego plany były zawsze wzorem dokładności.

Do pomieszczenia, w którym siedział Oanh wbiegł nagle żołnierz z meldunkiem.

- Wróg w tunelu, panie poruczniku!

- Znowu? - warknął Oanh - Tym razem nam się nie wymkną! Zbierz ludzi, pozabijamy ich wszystkich!

Gaines z Hidalgo zbliżając się do magazynu artylerii zachowywali szczególną ostrożność. Spodziewali się, że będzie doskonale strzeżona i nie zawiedli się. Sześciu na dwóch.

- Musimy się tam dostać - powiedział. - Ale czekają już na nas, albo na kogoś innego.

- Nie da się ich oszukać - zawtórował Hidalgo. - Czas na noc świętego Bartłomieja.

Gaines spojrzał nań pytająco.

- Zmasakrujemy ich - z tymi słowy Hidalgo wyszedł zza zakrętu i otworzył ogień.

To był Hidalgo, o którym mu opowiadano. Gaines nie mógł zrobić nic innego, jak tylko dołączyć do niego.

Szli jeden obok drugiego, ramię przy ramieniu, ziejąc ogniem z karabinów. Strażnicy także odpowiadali ogniem, ale Amerykanie byli jak zakłęci. Kule trafiały w ściany, sufit i podłogę, nawet w spodnie Gainesa, ale żaden z nich nie został trafiony.

Strażnikom wiodło się znacznie gorzej: jeden, przecięty przez Hidalgo serią na pół, zwałił się tuż obok drugiego, trafionego w głowę. Gaines w tym czasie zastrzelił trzech. Ostatni przestraszył się i próbował ukryć w magazynie, między skrzyniami z amunicją, ale tam dopadł go Hidalgo i trafił serią między łopatki.

Założyli ładunki i wycofali się.

DeLuca usiadł i ogarnął się. Szczurów już nie było, a on miał szczerą nadzieję, że

nigdy nie wróć. Wypłoszenie ostatniego z nogawki spodni było równie niezapomnianym przeżyciem, lecz z pomocą Thu udało się. Gryzoń pobiegł za swymi towarzyszami. Gdzieś słyszał, że szczury przenosiły dżumę. DeLuca wolał o tym nie myśleć.

Jego poprzednia podejrzliwość względem Thu przeradzała się w szacunek. Wypłatał go przecież z tyłu niebezpiecznych sytuacji i winien mu był wdzięczność. Miał nadzieję, że kiedyś to on będzie mógł mu pomóc.

- Dzięki - powiedział, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Nie ma za co - odparł Thu.

Gdy znów ruszyli w drogę, DeLuca spytał:

- Gdzie, do cholery, są jacyś ludzie?

- Nie wiem.

Korytarze stawały się coraz szersze. Po obu stronach znajdowały się sypialnie, ale nikogo w nich nie było. Mimo to założyli ładunki.

Tunel prowadził teraz pod górę. DeLuca zapytał, co to miało oznaczać, lecz Thu wzruszył ramionami.

- Zaraz się dowiemy - odparł. - Znam tylko mniejsze systemy korytarzy i rzeczywiście wydaje mi się dość dziwne, że do tej pory nikogo nie zastaliśmy.

- Zupełnie jakbyśmy się zgubili w wielkim, pustym domu.

W tej chwili Thu położył DeLuca dłoń na ramieniu, by go uciszyć. Stanęli bez ruchu i nasłuchiwali.

Głosy ludzi, pomyślał DeLuca, ale nie był pewien, biorąc pod uwagę to, jak dźwięk zachowywał się w tunelach. Powinni dostać się bliżej źródła. Ruszyli ostrożnie naprzód.

Tak, to były głosy ludzkie. Tunel kończył się długim okopem, nakrytym dachem z plecionego bambusa, zasłoniętym różnego rodzaju roślinami. Ze swego miejsca DeLuca widział nogi niektórych żołnierzy, nie wiedział jednak, ilu ich tam było ani jak długi był okop. Thu gestem nakazał mu, by się cofnął.

- To dlatego nikogo nie ma w środku. Właśnie widziałeś jedno z najsilniejszych i najbardziej niebezpiecznych umocnień. Mogą w krótkim czasie obsadzić okop, a w razie czego schować się w tunelu. Wydaje mi się, że właśnie tu wróćą wycofujące się oddziały.

- Chyba, że ktoś wysadzi to w powietrze. - DeLuca mrugnął porozumiewawczo.

- Więc do roboty - zarządził Thu.

Postanowili założyć ładunek jak najbliżej wejścia, więc wrócili na swe poprzednie pozycje. Thu miał nadzieję, że nikt im nie będzie przeszkadzał, bo wszyscy żołnierze zajęci byli obserwacją przedpola.

Pracowali w absolutnej ciszy, kiedy nagle Thu przypadkowo uderzył bagnetem w detonator. W korytarzu dźwięk ten zabrzmiał jak odgłos młota walącego w kowadło. Stali bez ruchu, spoceni, czekając, co się wydarzy.

Rozmowa w okopie przycichła, lecz nikt nie wydawał się zainteresowany tym, co dzieje się w tunelu. Minęła minuta, potem druga...

DeLuca miał właśnie zamiar zacząć normalnie oddychać, gdy jeden z żołnierzy poruszył się i przykucnął, by popatrzeć, co się dzieje. DeLuca ujrzał, jak jego usta otwierają się, by ostrzec innych, zerwał granat z uprząży na piersiach, odbezpieczył i rzucił w stronę mężczyzny. Rozległy się inne dźwięki, tupot butów, próbujących wydostać się z okopu i zmieszane krzyki przerażenia.

DeLuca i Thu rzucili się do ucieczki. Granat wybuchł, gdy chowali się za pierwszym zakrętem. DeLuca wylądował na brzuchu, lecz natychmiast poderwał się szukając Thu, który siedział z tyłu na kolanach i trzymał się za głowę. DeLuca pomógł mu się podnieść i obaj pobiegli w głąb tunelu. Granat nie mógł pozabijać ich wszystkich, a ci co zostali, z pewnością dyszeli żądzą zemsty.

Hidalgo z Gainesem zakładali ładunki w kuchni, gdy usłyszeli nadchodzących żołnierzy. Większość ludzi Oanha była na powierzchni biorąc udział w ofensywie, lecz udało mu się zebrać dwudziestu, którzy mieli raz na zawsze zrobić porządek z nieproszonymi gośćmi.

Gaines i Johnny zaczęli się wycofywać w stronę wyjścia. Udało się im wyprzedzić Wietnamczyków do chwili, gdy znaleźli się przy składzie broni. Przejście włazem do drugiego korytarza wstrzymało ich i zostali dostrzeżeni po raz pierwszy.

Gaines podsadził właśnie Hidalgo i sam miał zamiar wspiąć się za nim, gdy dwaj żołnierze wychynęli zza zakrętu. Od razu otworzyli ogień, lecz Gaines zdążył.

Żołnierze zebrali się koło klapy zastanawiając się, co mają zrobić, nie dane im jednak było długo się namyślać, bo nagle klapa otworzyła się i wpadły do środka dwa granaty.

Na dole zapanowała panika, ludzie rozbiegli się w dwie strony, ale nie zaszli daleko. Gaines po odbezpieczeniu granatów trzymał je w rękach tak długo jak mógł, po czym kazał Hidalgo otworzyć właz i rzucił.

W małej przestrzeni siła wybuchu była ogromna. Korytarz wypełnił się jękami i pokiereszowanymi ciałami żołnierzy. Jeden z nich trzymał się za nogę, której brakowało stopy, inny patrzył z zaskoczeniem na czerwony trójkąt w miejscu, gdzie kiedyś miał brzuch. Uniesiona siłą wybuchu klapa znalazła się w górnym tunelu, gdy Hidalgo i Gaines byli

daleko.

Gdyby się obejrzeni za siebie, ujrzeliby żołnierzy wchodzących jeden po drugim do korytarza. Nie wszyscy zginęli, jednych od skutków wybuchu uchronili koledzy, inni w tym czasie znajdowali się zbyt daleko.

Amerykanie bez kłopotu dotarli do magazynu z ryżem, gdzie zmuszeni byli porzucić swe karabiny, bo wąskie korytarze powyżej praktycznie uniemożliwiały noszenie długiej broni. Zniknęli w przejściu, gdy pierwszy z Wietnamczyków pojawił się w drzwiach składu. Dostawszy bolesną nauczkę, żołnierze wrzucili najpierw do środka granat, ale spóźnili się. Gaines i Hidalgo przeciskali się już korytarzami na wyższym poziomie.

Granat rozrzucił ryż dookoła, lecz poza tym nie wyrządził większych szkód. Ścigający byli w niewesołej sytuacji. Wiedzieli, że tunel powyżej jest ciasny i pomieści najwyżej dwie, trzy osoby. Szybko zdecydowali, którzy z nich pójda i wybrana trójka, podsadzona przez resztę, znalazła się w korytarzu. Śpieszyli się.

DeLuca i Thu prawie doszli już do mniejszych tuneli, kiedy DeLuca dostał. Co prawda strzelano do nich gęsto, ale bardzo chaotycznie, bo najczęściej strzelający był w zupełnie innej części tunelu.

Nie tym razem. Kula trafiła DeLuce w udo i ten padł, nie mogąc poruszyć nogą.

Thu odwrócił się, gdy DeLuca próbował wstać. Pięć metrów od nich znajdował się żołnierz. Thu trafił go z pistoletu w usta.

- Idź, ja ich zatrzymam - wystękał DeLuca.

- Wychodzimy razem, tak jak przyszliśmy - powiedział Thu.

Zza zakrętu wychylił głowę następny żołnierz. DeLuca wyciągnął swój rewolwer i nacisnął spust. Kula trafiła w ścianę.

- Cholera! - zaklął DeLuca. - Ledwie mnie ktoś draśnie, a strzelam jak ślepy.

- Pomogę ci - zaofiarował się Thu. - Utrzymasz się na prawej?

- Chyba tak.

- Będę ci służył za laskę. - Thu pomógł DeLuce wstać i zarzucił sobie jego ramię na szyję. - Gotów?

- No.

- Idziemy.

Johnny znów miał kłopoty. W szerszych tunelach wszystko było w porządku, ale w ciasnocie górnych korytarzy zaczęły się kłopoty z oddychaniem. Nie będzie tak łatwo, jak

przypuszczał, lecz zmuszał się do poruszania naprzód. Przeszedł już przez to, poza tym nie było innego wyjścia. Za plecami słyszeli głosy ścigających. Wiedzieli, że jeśli uda im się wrócić do pajęczego gniazda i karabinów, wszystko będzie dobrze.

Przy pułapce Gaines musiał pomóc Johnny'emu, ale potem ten się pozbierał.

- Poruczniku - powiedział. - Mam pomysł, jak ich dostać. Poczekam tu na nich.

- Oszalałeś? - odparł Gaines. - Nie poradzisz, nawet jak wystrzelasz wszystkie naboje.

Hidalgo powiedział mu. Gaines pomyślał przez moment.

- Powinno się udać, a ja się postaram wrócić z karabinami.

Poczłgał się w stronę pajęczego gniazda.

Thu z DeLuką na grzbiecie szedł dosyć wolno i gdyby nie to, że Wietnamczycy obawiali się granatów, mogliby ich dawno dopaść.

- Do diabła - jęknął DeLuca. - Nie dasz sobie rady, Thu. Zostaw mnie, dam tym draniom popalić.

Thu nawet się nie zatrzymał.

- Nie. Jesteśmy razem w drużynie, zostaniemy razem.

DeLuca podziwiał go, miał tylko cichą nadzieję, że nie zginą przez to obydwaj. Co za ironia losu, myślał. Oto po raz trzeci, czy któryś tam z kolei, ratuje mu życie człowiek, któremu od samego początku nie ufał.

- Ile jeszcze? - zapytał zbolalym głosem.

- Niedaleko - uspokoił go Thu.

To samo powiedział mu wcześniej przynajmniej trzy razy.

Hidalgo leżał cicho po drugiej stronie pułapki, o jakiś metr od jej drugiego końca i wstrzymał oddech. Był pewny, że ścigający ich żołnierze nie wiedzieli o niej, trudno bowiem w takim dużym kompleksie powiadomić wszystkich o wszystkim. A nawet gdyby, może zapomną o niej, kiedy zobaczą martwego wroga. Z drugiej strony nikt nie mógł mu zagwarantować, że nie zechcą strzelić mu w głowę, by upewnić się, czy nie udaje.

Nie czekał długo. Ścigający zatrzymali się w oddali. Słyszał, jak się naradzają, ale nic z tego nie rozumiał. Rozumiał jednak klekot karabinu maszynowego. Jeden z nich musiał go z sobą przywlec aż tu, i gdy Johnny usłyszał dobrze sobie znany metaliczny szczęk, zaczął się czołgać poganiany strachem o własne życie. Nie myślał o zaciskających się w duszącym uścisku ścianach, tylko o tym, jak wydostać się spod ostrzału.

Karabin odezwał się odłupując ze ścian tunelu zaskorupiałą glinę. Hidalgo zdążył

schronić się w kącie. Krew tętniła mu w skroniach, lecz zastanawiał się, ilu wpadło w pułapkę. Może nawet wszyscy trzej?

Zaczął czołgać się do przodu i wydawało mu się, że widzi przed sobą Gainesa w bladym świetle tunelu. Zbliżał się do wyjścia.

Wtedy poczuł, jak ktoś chwyta go za nogę. Próbował się wyrwać, lecz nie dał rady. Czuł, że tamten wciąga go z powrotem do tunelu.

Ostatni z grupy pościgowej wymknął się i dogonił go. Hidalgo sięgnął za pas po broń i poczuł, jak Wietnamczyk zwałił się całym ciężarem na niego, złapał za szyję i zaczął dusić.

Hidalgo dostał szału. Podniósł się i uderzył napastnikiem o sklepienie korytarza odwracając się jednocześnie i próbując wyswobodzić z uchwytu. Tamten nie dawał za wygraną, ścisnął Hidalgo mocno za szyję odcinając prawie dostęp powietrza.

W tym momencie Johnny uspokoił się zupełnie. Gorzej nie mogło już być: był w ciemnym tunelu, nie mógł oddychać i wróg był o krok od pokonania go.

Mógł łatwo położyć wszystkim kres, wystarczyło umrzeć. Johnny nie wybierał się jeszcze na tamten świat. Chłopaki w Los Angeles nie uwierzyliby, że dał się pokonać jakiemuś żółtkowi. Musiało być jakieś wyjście.

Udał, że nie żyje. Wstrząsnęło nim kilka razy i zeszywniał. Wietnamczyk puścił go i zaczął zeń schodzić, tymczasem dłoń Johnny'ego odnalazła rewolwer, wyciągnęła go z pasa i kilka razy nacisnęła spust.

Pierwsza kula trafiła w ścianę, lecz pozostałe wyrwały w piersi Wietnamczyka sporą dziurę. Żołnierz przewrócił się i osunął w głąb korytarza.

Johnny usłyszał nad sobą głos Gainesa, który krzyczał mu coś do ucha, ale było mu wszystko jedno. Chciał tylko swobodnie oddychać. Pierwszy haust powietrza omal nie spalił mu gardła, ale później było już lepiej.

- Ostatni? - wycharczał wreszcie.

- Na to wygląda - potwierdził Gaines.

- Fajnie. Teraz zmykajmy stąd.

Poszli razem do wyjścia. Dobrze było znów stanąć prosto, zobaczyć niebo. Johnny wiedział, że jeśli zajdzie potrzeba, znajdzie w sobie dość sił, by wrócić. Zwyciężył własny strach, tym razem na pewno. Dobrze się czuł z tą świadomością.

Gaines podał mu jego M-16 z magazynkami i skierowali się na spotkanie śmigłowca.

Było już bardzo blisko. DeLuca stawał się coraz cięższy, jednak Thu wiedział, że są prawie u celu. Jeszcze jeden zakręt i będą bezpieczni. Próbował przyspieszyć, lecz było to

niemożliwe. Ostatnie kilka metrów było dla niego jak sto mil.

Przy wejściu DeLuca stoczył się z Thu pozwalając mu wyjść na powierzchnię, potem ten wyciągnął go. Niedaleko słychać było głosy pogoni.

Odnaleźli karabiny, załadowali i odsunęli się kilka metrów od wejścia. Nie mieli praktycznie żadnej osłony, tymczasem żołnierze mogli się chronić w tunelu.

- Zatrzymajmy ich na chwilę - zaproponował DeLuca.

Thu zrozumiał natychmiast, o co mu chodzi i wrzucił granat do otworu.

- Może teraz się zastanowią - krzyknął, gdy wybuch wstrząsnął ziemią.

Oddalili się od wyjścia o jakieś dwadzieścia metrów, gdy Thu rzucił następny granat. Za kilka minut wychynęło stamtąd jednak trzech żołnierzy, którzy natychmiast otworzyli ogień.

I to miał być koniec? zastanawiał się DeLuca. Po tym co przeszli, nie wydawało się sprawiedliwe, by właśnie teraz mieli zginąć. Właściwie jak tym draniom udało się przejść przez tunel z karabinami?

Jeden z mężczyzn poderwał się i zaatakował. Thu trafił go w nogi i ten upadł krzycząc, lecz w ślad za nim biegł następny, potem następny. DeLuca żegnał się z życiem.

Jak się okazało, niepotrzebnie. Biegący padli nagle jak podcięci. To Hidalgo i Gaines biegli na pomoc od strony dżungli, zachodząc Wietnamczyków z boku. Nie dali im żadnych szans.

- Dostaliśmy ich - cieszył się DeLuca, gdy Gaines i Hidalgo dołączyli do reszty drużyny.

- No - burknął Gaines. - Można się było spodziewać.

Spojrzał na zegarek.

- Gdzie do cholery jest helikopter?

Nie czekali długo. Wkrótce usłyszeli nadlatujące maszyny przywożące oddziały, których zadaniem było odcięcie żołnierzy Wietkongu od tuneli.

Jeżeli jeszcze jakieś zostały. Gaines miał nadzieję, że nie.

W śmigłowcu czekał na nich Carter. Od razu zajął się nogą DeLuki.

- Wygląda nieźle. Kula przeleciała na wylot, więc nie powinno być zakażenia. Mięsień jest pewnie trochę poszarpany, ale co cię poboli, to twoje.

- Nie boję się bólu - mruknął DeLuca. - Nie wiem tylko, czy będę chodził.

- Będiesz - pocieszył go Carter. Zdezynfekował ranę i zabandażował. - Straciłeś dużo krwi, ale najgorsze już za tobą.

Daleko pod nimi uniósł się w górę kawał ziemi, a po chwili ponad hałasem silnika usłyszeli odgłos wybuchu. Z otworu buchnął ogień i dym, a cała okolica zaczęła falować w miarę, jak eksplodowały kolejne ładunki. W jednym miejscu teren zapadł się dość głęboko, jakby po trzęsieniu ziemi. Gaines pokiwał głową z zadowoleniem.

Już przy pierwszym wstrząsie porucznik Oanh zorientował się, że dzieje się coś złego.

Konstrukcja tuneli była niewiarygodnie wytrzymała, ich budowniczości spodziewali się bowiem ataków bombowych z powietrza. Konwencjonalny atak artyleryjski również im nie zagrażał. Co innego gdy ładunki wybuchowe podłożono w nich samych.

Wybiegł z sali konferencyjnej w stronę swej jamy wiedząc, że nie pozostało mu nic innego, jak znaleźć sobie jak najbezpieczniejsze schronienie.

Zaczął się od składu amunicji. Trzej żołnierze, którzy ostali się przy życiu po wybuchu dwóch granatów rzuconych przez Gainesa, weszli tam, by sprawdzić, jakie szkody poczynili Amerykanie. Jeden z nich odkrył materiał wybuchowy ułamek sekundy przed eksplozją. Otwierał usta, by powiedzieć innym, co znalazł, ale zabrakło czasu.

Całe pomieszczenie zmieniło się w jaskinię ognia. Kawałki ciał i odłamki metalu z impetem atakowały gliniane ściany.

Oanh upadł, gdy wybuchł ładunek w pierwszej sypialni, zdołał się jednak podnieść o własnych siłach. Następny wybuch powalił go znowu. Gdyby tylko dał radę dotrzeć do swojej sypialni, będzie uratowany.

W kuchni ukryli się trzej żołnierze wietnamscy. Nie mieli pojęcia, że znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, że Amerykanie właśnie tam założyli kolejne ładunki. Gdy nadeszła ich kolej, piecyki rozpadły się na kawałki zabijając na miejscu całą trójkę, potem

zawalił się strop.

Żołnierze Wietkongu, którzy zostali w okopie, nie mieli pojęcia, co się dzieje. Wiedzieli, że są atakowani, ale wróg pozostawał niewidoczny. Odgłosy wybuchów zaczęły się stopniowo przybliżać, więc ci, co byli najbliżej tunelu, w panice wbiegli do środka, lecz właśnie wtedy ziemia zapadła się pod nimi i pogrzebała ich żywcem. Ich towarzysze, którzy nie ruszali się z okopu, nie mieli dokąd uciekać, bo tunel nie istniał. Odcięto im ostatnią drogę odwrotu.

Oanh czołgał się po omacku oddychając z trudnością powietrzem pełnym pyłu i dymu. Dobrze wiedział, że ofensywa zakończyła się klęską i poniekąd była to właśnie jego wina. Gdyby tylko był z nimi generał Vinh, sprawy potoczyłyby się inaczej. Zawiódł generała i kraj.

Do tunelu nie przenikała teraz ani odrobina światła, lecz na koniec Oanhowi udało się odszukać swoją jamę. Drżąc z niecierpliwości wsunął się do środka.

Nagle tunelem wstrząsnął jeszcze jeden wybuch. Kilka kawałków ziemi uderzyło porucznika w twarz, ale nic poza tym. Cieszył się, że przeżyje, że będzie mógł odkupić swój błąd w walce. Odnalazł świeczkę i tomik poezji. To pomoże mu przetrwać.

Zapałił świeczkę i wtedy zorientował się, że jest zgubiony. Oprócz znajomych trzech ścian nieoczekiwanie wyrosła jeszcze czwarta. Zawalił się główny korytarz i Oanh był w potrzasku. Przeczytał kilka linijek jakiegoś wiersza, ale nie znalazł w nim pocieszenia. Po chwili zgasła świeczka...

Helikopter wiozący Szczury okrążał teren walk, gdzie lądowały inne maszyny i wysadzały amerykańskich żołnierzy. Cała okolica spowita była dymem.

Spojrzeni po sobie, zadowoleni z dobrze wykonanego zadania. DeLuca objął Thu ramieniem.

- Dzięki ci, stary. Głupio by mi teraz było tam na dole.

- Nie ma za co - odparł Thu. - Przecież jesteśmy w jednej drużynie.

- Ma rację - powiedział Hidalgo. Byli drużyną i każdy z nich spełniał w niej swoją rolę.

Gaines pokiwał głową, wiedząc, że Fletcher, Gorman i Helms zostali pomszczeni, a tunele przestaną wreszcie siać śmierć i zniszczenie.

Carter usiadł obok Gainesa.

- Jak samopoczucie?

- Nieźle. Chyba pozamykaliśmy im tunele na dobre.

Carter pokiwał głową i przez chwilę nic nie mówił.

- Ale zawsze znajdują się inne.

- Co? - zdziwił się Gaines.

- Mamy dość dużą bazę w pobliżu Sajgonu. Całkowicie bezpieczna, otoczona drutem kolczastym. Nikt nie może się dostać do środka, zanim nie zostanie wylegitymowany. Ostatnio jednak dzieją się tam dziwne rzeczy. Ginie prowiant, ktoś atakuje nocami żołnierzy, było włamanie do magazynu z amunicją, ale baza nie została nigdy zaatakowana.

Gaines udawał, że nie rozumie.

- To znaczy, że ktoś od nas...

- Nie.

Nie mógł już dłużej udawać.

- Tunele. Wychodzą na bazę.

- Niewykluczone - powiedział z zagadkową miną Carter.

Gaines uśmiechnął się ponuro patrząc na twarze brudnych i zmęczonych kolegów.

Zanosilo się na to, że Szczury pozostaną razem jeszcze przez jakiś czas.

Cliff Banks

Szczury

tunelowe

2

Błoto i krew

Tunnel Rats; Mud and Blood

Przełożył

Rafał Śmietana



Brzask. W dżungli było nieznośnie parno. Czteroosobowy patrol w szyku bojowym poruszał się cicho po wąskiej ścieżce, którą do tej pory uczęszczała tylko zwierzyna.

Porucznik Scott Gaines, drugi z kolei, otarł rękawem pot z czoła nie rozluźniając ani na chwilę uścisku dłoni spoczywającej na spuście M-16. Jak pozostali żołnierze nie miał z sobą ani grama zbędnego ładunku: prócz broni niósł ze sobą tylko manierkę z wodą, małą latarkę założoną za pas z amunicją i torbę z zapasową amunicją.

Za nim równym krokiem postępował DeLuca, a jako ostatni szedł Hidalgo. Prowadził Bok Van Thu, wietnamski przewodnik oddziału.

Dżungla spowita jeszcze była ponurą, wilgotną poświatą, a promienie słońca ledwie przedzierały się przez gęstwinę gałęzi, pnączy i liści palmowych, balsy, eukaliptusa i mahoni, które starały się jak mogły, zetrzeć ścieżkę z powierzchni ziemi. Zewsząd dochodził ich zapach zgnilizny urozmaicany kakofonią odgłosów ptaków, owadów oraz licznie zamieszkujących tam małp.

Thu przystanął nagle. Nie odwracając się, przyzwał pozostałych gestem ku sobie. Dołączyli do niego w miejscu, gdzie pagórkowaty teren ustępował miejsca małemu skrawkowi równiny, ścieżka rozszerzała się i ginęła w porannej mgle.

Thu wyciągnął dłoń przed siebie.

- Tam - wyszeptał.

Gaines dopiero za kilka sekund zorientował się, o czym mówi Wietnamczyk. Wreszcie dostrzegł niewyraźną sylwetkę żołnierza Wietkongu, odzianą w przypominający piżamę mundur. Siedział oparty plecami o pień drzewa i palił papierosa. Karabin odłożył na bok. W pewnej chwili zamachnął się na dobierającego mu się do skóry moskita. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że powinien się mieć na baczności nawet tutaj, w tak niedostępnym zakątku dżungli.

DeLuca i Hidalgo zauważyli go, lecz wzrok ich i lufy karabinów omiatały całą okolice w poszukiwaniu źródeł możliwych kłopotów.

- W porządku, ja się nim zajmę - zdecydował Gaines. - Zostanie jeszcze dwóch.

- Trudno się z tym nie zgodzić - mruknął DeLuca.

- Miło z ich strony - dorzucił Hidalgo.

- Zamknijcie się - ostrzegł Gaines. Trącił Hidalgo łokciem i pokazał mu palcem lewą stronę ścieżki. - Johnny, popatrz tam, czy czegoś nie znajdziesz.

DeLukę wysłał w przeciwnym kierunku.

- Twój człowiek powinien być niedaleko. Thu, pamiętasz, co masz zrobić, jak zauważysz coś podejrzanego? Spotykamy się tu za chwilę. Ruszamy.

Jeden po drugim niknęli sobie z oczu zanurzając się w zieloną gęstwinę dżungli. Thu przykucnął i wyciągnął z pochwy maczetę.

Obejście strażnika zabrało Gainesowi więcej czasu, niż przypuszczał, lecz po paru krokach zauważył pomiędzy dwoma drzewami mocno naciągniętą linkę na wysokości swych łydek. Cofnął się i kolbą karabinu szarpnął linkę. W ułamku sekundy, nie wiadomo skąd, nadleciała kula z wyschłej gliny, która aż jeżyła się od zaostzonych kawałków bambusa, i trafiła w drzewo. Na jej drodze byłaby jego głowa, gdyby nie zauważył linki. Gaines nie wynurzał się spoza linii drzew ostrożnie stawiając krok po kroku i rozglądając się za innymi pułapkami, więcej ich jednak nie znalazł.

O parę kroków za plecami strażnika zatrzymał się, sięgnął do worka z amunicją i wyjął kawałek mocnego drutu, owinał go sobie wokół dłoni dla pewniejszego chwytu i rzucił się na Wietnamczyka. Zaciskając śmiertcionośną pętlę, jednocześnie włókł wierzgającą i desperacko wymachującą rękami posłać w gęstsze zarośla, gdzie miękkie poszycie tłumilo wszelkie odgłosy walki. Gaines rzucił przeciwnika twarzą do ziemi i wbił mu kolano w kręgosłup. Gdy ten przestał dawać oznaki życia, Gaines złamał mu kark, by upewnić się, iż rzeczywiście nie żyje, potem zaś odwinął drut z szyi zabitego, złożył i schował do worka. Zdjął z pleców M-16, chwycił pewnie w obje dłonie i zaczął wracać na miejsce spotkania uważnie stawiając kroki.

Dżungla wydawała się niezmienną, jeżeli nie liczyć nasilających się odgłosów wydawanych przez zwierzęta, które nadchodzący ranek budził do nowego dnia. Z każdą chwilą robiło się coraz cieplej i postronny obserwator nawet nie domyśliłby się, że cały batalion Wietkongu znajduje się nie dalej niż kilka metrów od niego... pod ziemią.

Gaines i jego ludzie stanowili część tajnej misji prowadzonej przez sekcję wywiadu Pierwszego Batalionu Wojsk Inżynieryjnych, należącego do Pierwszej Dywizji Piechoty, znanej też jako Wielka Czerwona Jedyńka. Byli pierwszym z kilku oddziałów objętych wspólną nazwą Szczurów Tunelowych - amerykańską odpowiedzią na zagrożenie ze strony Wietkongu, którego siły wykorzystywały sieć podziemnych tuneli, o całkowitej długości ponad trzystu kilometrów, do działań nękających zgrupowania wojsk amerykańskich w pobliżu Sajgonu. W wilgotnych, ciemnych korytarzach, przystosowanych specjalnie do

rozmiarów Wietnamczyków, czekały na Amerykanów strach i śmierć.

Szczury bardzo szybko zdobyły sobie sławę u obu walczących stron, bo ich wojna nie opierała się na sprawdzonych zagraniach taktycznych, najnowocześniejszym sprzęcie czy sile ognia. Odnajdywali i niszczyli wroga pod ziemią, na jego własnym terenie, gdzie o życiu i śmierci decydowała odwaga, siła i refleks. Ich sława brała się głównie z faktu, że potrafili radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach, w jakie obfitowały ich codzienne obowiązki: czołganie się po wąskich i ciemnych tunelach i niszczenie doskonale uzbrojonych żołnierzy Wietkongu. Gaines wraz z oddziałem mieli na swoim koncie największą liczbę udanych akcji od czasu przejścia przez Amerykanów pierwszych planów tuneli.

Gaines miał dwadzieścia pięć lat i choć niewysoki, był w znakomitej kondycji fizycznej. Doskonale nadawał się na dowódcę. Urodził się i wychował w Butte, w stanie Montana, w rodzinie inżyniera górnictwa. Większość swego wolnego czasu spędzał w opuszczonych szybach górniczych w swej rodzinnej miejscowości. Później przerwał naukę w Szkole Górniczej i pracował razem z ojcem, zdobywając doświadczenie w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi.

Po wstąpieniu do wojska skończył Szkołę Oficerską i zanim został jednym ze Szczurów, był prawdziwym weteranem walk w Wietnamie, wielokrotnie odznaczanym za dzielność.

Doszedł do miejsca, gdzie mieli się spotkać. DeLuca, Hidalgo i Thu czekali już na niego.

- Znaleźliście swoich? - zapytał.

- Mój gryzie ziemię - zaczął DeLuca.

- Mój też - dodał Hidalgo.

Pozostali członkowie jego oddziału również doskonale pasowali do swych ról.

Sierżant Frank DeLuca, lat dwadzieścia jeden, czarnowłosy, mocno zbudowany, pochodził z biednej dzielnicy Bostonu, Roxbury, i nim komisja poborowa przysłała mu swe pozdrowienia, był bokserem wagi piórkowej.

Starszy szeregowy Johnny Hidalgo spędzał swe życie w cywilu walcząc o przeżycie na ulicach wschodniego getta Los Angeles. Posturą przypominał trochę sierżanta DeLukę.

Ich obecna misja różniła się znacznie od poprzednich. Znajdowali się na obszarze, na którym po zapadnięciu zmroku niepodzielnie panował Wietkong, bez względu na to, co mówiły oficjalne komunikaty z Sajgonu. Poprzedniego wieczora w okolicy znalazł się batalion piechoty, odbyła się krótka potyczka i Wietnamczycy, jak zwykle, zapadli się pod ziemię.

Tym razem nitką prowadzącą do kłębka okazał się być wietnamski jeńiec, który rozśpiewał się jak kanarek, gdy w obroty wzięli go śledczy. To, co usłyszeli, natychmiast ściągnęło Gainesa wraz z oddziałem do biura kapitana Cartera - szefa sekcji wywiadu S-2, Szczura numer sześć, bowiem szóstka w nomenklaturze dywizji oznaczała dowódcę.

- Jeżeli nasze informacje pokrywają się z prawdą, a są duże szanse, że tak jest - zaczął Carter - to wiemy, gdzie znajduje się centrum dowodzenia Wietkongu na cały rejon. Ogólna ich siła jest oceniana na co najmniej batalion, ale najważniejsze, że oni najprawdopodobniej nie wiedzą o nas nic.. Wszyscy żołnierze z powierzchni wycofali się. Pokazaliśmy więc naszemu jeńcowi dokładną mapę interesującego nas obszaru i okazał się nadzwyczaj skory do współpracy. Wskazał miejsca, gdzie rozlokowani są strażnicy i wejścia do tuneli.

- Chyba, że ma rozwinięte poczucie humoru i pięknie ze śmiechu, kiedy my wleziemy prosto w zasadzkę - zauważył DeLuca.

- Dobrze wie, że w takim przypadku nie będzie miał na to czasu - powiedział z sarkazmem Carter.

- Moi ludzie powiedzieli mi, że to prawda - do rozmowy włączył się Thu. - Rzeczywiście w tych okolicach znajduje się zakonspirowane centrum dowodzenia Wietkongu, lecz kapitan Quang, dowódca batalionu, nie jest zbyt rozmowny. Słyszałem tylko, że regularnie zmieniają swoje miejsce pobytu w tunelach.

Bok Van Thu miał trzydzieści osiem lat. Głębokie zmarszczki na twarzy zdradzały, jak wiele w życiu przeszedł. Znał tunele lepiej niż którykolwiek z Amerykanów. Jako jedyny pozostały przy życiu żołnierz oddziału Wietkongu, który miał nieszczęście natknąć się na patrol amerykańskiej piechoty morskiej, przeszedł na stronę Amerykanów, by ocalić siebie, żonę i troje dzieci przed okropnościami wojny. Znał dobrze miejscowe dialekty, orientował się w taktyce Wietkongu i zasadach budowy tuneli.

W pierwszych dniach istnienia oddziału nie wszyscy mu ufali, szczególnie DeLuca, lecz już dawno wszelkie podejrzenia straciły rację bytu. Niezliczoną ilość razy Thu okazywał się niezawodnym przyjacielem czy bezcennym źródłem informacji, tłumacząc Amerykanom sposób myślenia Wietnamczyków.

- Quang i jego ludzie będą tam jutro przez cały dzień - kontynuował Carter. - Razem z nim około setki ludzi. Wydaje im się, że są bezpieczni, kiedy nasze siły przeczesują dżungłę nad ich głowami i wracają z pustymi rękami. Ale tym razem mamy przewagę - wiemy o nich.

- Nawet jeżeli zaczęliby snuć jakieś podejrzenia, nie będą mieli czasu się przegrupować - powiedział Gaines - jeżeli będziemy działać szybko. Obecność naszych sił na powierzchni w tym rejonie sprawi, że będą się bać wychylić za dnia choć nos.

- Jak powiedziałem - odezwał się Carter - rozkazałem naszym oddziałom trzymać się z dala od tuneli, nie chciałbym niepokoić Quanga i jego ludzi przed czasem. Będziecie mieli wsparcie, jakiego tylko chcecie, a na wszystkich żołnierzy, których wypłoszycie spod ziemi, będzie na powierzchni czekała prawdziwa sieć. Oczywiście jeżeli w ogóle jacyś będą w stanie poruszać się o własnych siłach. Jesteście na to przygotowani, a jak wam się nie uda, na górze też znajdzie się trochę dobrych żołnierzy, gdyby tamci zdecydowali się przebijać.

- To na co czekamy? - spytał Hidalgo z ironicznym uśmiechem, zawsze gotowy.

- Na nic. - Carter zwinął mapę i podał ją Gainesowi. - Rzuć na to okiem w helikopterze. Wylądujecie o parę kroków od głównego wejścia do tunelu, a na miejscu powinniście być bladym świtem.

Co do minuty, pomyślał Gaines, patrząc na polanę i szukając wzrokiem jakichkolwiek śladów działalności wroga. Nic. Cisza i spokój.

Helikoptery nawet nie wylądowały. Gaines ze swymi ludźmi ześlizgnął się w gęstwinę po linach i szedł krok za krokiem wijącą się ścieżką od strony, gdzie strażnicy Quanga najmniej spodziewali się ataku, co miało być ich ostatnią w życiu pomyłką.

- Czysto - szepnął Gaines do swych ludzi. - Teraz uważajcie.

Wyszli zza drzew, jeden daleko od drugiego, i skierowali się do głównego wejścia do tunelu. Ledwo uszli kilka kroków, Thu dał im dłonią znak, by się zatrzymali. Z poważną miną przechylił głowę i nasłuchiwał.

- Słyszałem jakiś szmer - wyszeptał.

Gaines nic nie słyszał, lecz podniósł karabin gotowy do strzału, podobnie jak DeLuca i Hidalgo.

- Jesteś pewien?

Thu ukląkł i przyłożył ucho do ścieżki.

- Kilku ludzi. Idą szybko - powiedział. - Chyba patrol. Nie Amerykanie, bo nie noszą butów. Sandały.

- A mieli siedzieć cicho za dnia - prychnął DeLuca.

- Ktoś im zapomniał o tym powiedzieć - zachichotał Hidalgo, jak zwykle, gdy coś zaczynało się dziać.

- Kryjemy się - rozkazał Gaines. - Kiedy się pokażą, zdejmujemy ich, bo jak znajdą zabitych strażników, podniosą alarm.

Ta akcja nie miała na celu wypłoszenia Wietnamczyków z tuneli, zbyt wielka była bowiem stawka. Mieli uderzyć precyzyjnie, we właściwym czasie i... mieć szczęście.

Nawet Szczury Gainesa nie mogły poradzić sobie z całym batalionem.

Gaines już dawno nauczył się ufać w pełni szóstemu zmysłowi Thu, który znał i rozumiał dżunglę, jak nigdy nie będzie w stanie pojąć jej przybysz z Zachodu.

Gdy schronili się wśród drzew, na ścieżce pojawił się pierwszy żołnierz patrolu, chłopak piętnasto-, może szesnastoletni, przytłoczony ciężarem i rozmiarami AK-47, ubrany w czarną pizamę. Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy widząc Thu i trzech Amerykanów. Na nic więcej nie starczyło mu czasu.

Gaines stał najbliżej chłopaka, jakieś cztery metry. Szybkim ruchem wyjął nóż z pochwy i rzucił. Ostrze zanurzyło się po sam uchwyt w okolicy serca młodego Wietnamczyka, który złapał je obiema rękami, potem ugięły się pod nim kolana, padł na ziemię i nie ruszał się. Gaines podbiegł kilka kroków, wyciągnął nóż z rany i szybko wrócił do miejsca, w którym ukrył się jego oddział.

Pozostała piątka żołnierzy, ubrana tak samo jak chłopak, wynurzyła się kilka sekund później. Jeden z nich potknął się i o mało nie przewrócił o martwe ciało chłopaka. Wszyscy razem otoczyli go, by się dokładniej przyjrzeć. Postępowali nieostrożnie, gdyż byli blisko bazy, pewną rolę odgrywało tu też zaskoczenie widokiem martwego żołnierza.

- Na nich! - krzyknął Gaines.

Oddział bez zwłoki posłuchał rozkazu.

Pięciu żołnierzy Wietkongu nie miało żadnych szans, nie dane im było nawet zorientować się w powadze sytuacji. Hidalgo, DeLuca i Thu wzięli na siebie po jednym przeciwniku. Ostrza wojskowych noży błysnęły w słońcu, a po chwili rozległo się rżenie konających. Gaines załatwił swojego, potem odwrócił się i zobaczył, że ostatni członek nieszczęsnego patrolu odbiegł o kilka kroków od nich i wymierzył karabin w jego stronę.

Gaines miał właśnie zamiar rzucić weń nożem, lecz zanim do tego doszło, Hidalgo zaatakował Wietnamczyka od tyłu chwytając za gardło i poprawiając kilkakrotnie nożem. Żołnierz osunął się na ziemię nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Gaines i jego oddział działali z precyzją najbardziej niebezpiecznej z maszyn do zabijania.

- Trzeba ich stąd usunąć, żeby ktoś niepowołany na nich nie trafił - powiedział Gaines.

Zapach śmierci zawisł w spokojnym, wilgotnym powietrzu. Żołnierze zawlekli trupy w zarośla o kilka metrów od ścieżki. Nad ciałami zbierały się już roje much przyciągnięte świeżą krwią.

- Teraz może będziemy mogli wreszcie zabrać się za prawdziwą robotę - zażartował DeLuca.

- Pewnie - zgodził się Hidalgo. - Postrzelałbym sobie trochę.

- Ruszamy - rozkazał Gaines. - Tym razem będziecie cicho.

Kompleks tuneli znajdował się o nie całe półtora kilometra od rzeki Thi Tinh, która zmierzała leniwie dnem doliny na zachód. Gleba w tym rejonie była przeważnie gliniasta, wprost wymarzona do budowy podziemnych korytarzy. Korzenie gęsto rosnących drzew wzmacniały konstrukcję nadając jej charakter zbrojonego betonu.

Niedaleko miejsca, gdzie Gaines zabił pierwszego strażnika, zaczęli się uważnie rozglądać za wejściem do tunelu. Thu stał z palcem na spuście karabinu i ubezpieczał ich, znajdowali się bowiem w samym środku polany. Gdyby dowódcy Wietkongu udał się plan, trzech strażnicy natychmiast zauważyliby zbliżających się ludzi i mieliby dosyć czasu, żeby się rozprawić z każdym z nich z osobna. Mądrze pomyślane, Gaines przyznał w duchu rację Quangowi.

DeLuca znalazł wejście. Niezbyt duża kłapa - dwadzieścia na czterdzieści pięć centymetrów - zrobiona była z drzewa i miała kilkanaście otworów wentylacyjnych.

Wystające brzegi uniemożliwiały jej osunięcie się w głąb korytarza.

Usunęli warstwę liści z pokrywy, po czym Hidalgo i DeLuca wycelowali weń karabiny, zaś Gaines schylił się i szarpnął za druciane pętle.

Ich oczom ukazała się dziura głęboka na jakieś pięć metrów. Przy samym dnie lekko zakręcała w jedną stronę tworząc następny korytarz.

- Kto ma ochotę się pobawić? - zapytał DeLuca.

Zgodnie z zasadami walki żaden z żołnierzy nie wchodził sam do tunelu, a będąc już w środku, nie oddalał się od pozostałych na więcej niż pięć metrów.

- My dwaj, sierżancie - zarządził Gaines. - Johnny, dotrzyмай Thu towarzystwa i poopalajcie się. Jakby się zaczęło robić gorąco, wezwijcie helikoptery.

- Dobra - Johnny skinął głową i poprawił radiostację, którą nosił na plecach. Dołączył do Thu sprawdzającego okolicę.

Gaines i DeLuca odłożyli karabiny, zdjęli hełmy przybrane gałęziami do walki w dżungli i rozebrali się do pasa.

Wyposażenie żołnierzy wchodzących do tunelu było zawsze takie samo: latarka, broń krótka, nóż, kawałek kija i drut, które obaj wyjmowali ze swych toreb. Tym razem brali jednak z sobą coś więcej. Ponieważ nie mogli liczyć na pełne wsparcie naziemne, Gaines zaproponował, by zabrali na dół coś mocniejszego, mianowicie karabin M-2, używany w wojskach powietrzno-desantowych, którego kolba składała się tak, że cała broń mierzyła nie więcej niż pół metra długości, wprost idealna do walki w ciasnych korytarzach.

- Idę pierwszy - oznajmił Gaines.

Na twarzy DeLuki odmalowało się rozczarowanie.

- Poruczniku...

- W razie czego podasz mi szybko swoje działo - powiedział Gaines patrząc znacząco na karabin M-2.

Zadaniem Gainesa było założyć w odpowiednich miejscach ładunki wybuchowe.

Gdy byli już gotowi do zejścia, Thu podał Hidalgo linę, którą miał przytroczoną do pasa i zajął się z powrotem obserwowaniem okolicy, podczas gdy Johnny spuścił do otworu Gainesa z DeLuką.

- Obudź przez radio naszych kolegów i powiedz im, że gra się zaczęła - powiedział na koniec Gaines.

- Tak jest - odparł Hidalgo.

Gdy dotknął stopami dna szybu, natychmiast przykucnął i wszedł w korytarz boczny. Chłód tunelu po parowej łaźni, jaką urządziła im dżungla, przynosił odprężenie - jednak tylko

do chwili, gdy nie pomyślało się o tym, co czeka ich trochę dalej.

Wietkong cieszył się złą sławą z powodu umiejętności konstruowania najbardziej przemysłnych i niebezpiecznych pułapek sporządzanych głównie z myślą o Szczurach, począwszy od prawdziwych szczurów, przenoszących zarazki dżumy, poprzez węże, skorpiony i inne podobnie okropne stworzenia wymyślone przez naturę, skończywszy na granatach i minach, wynalazkach człowieka.

Gaines, po zmianie jasnej poświaty dnia na nieprzeniknioną ciemność tunelu, przez chwilę nic nie widział, postanowił więc przywiązać do kija latarkę i trzymał ją w pewnej odległości od siebie, na wypadek gdyby z drugiej strony tunelu czekał ktoś z karabinem. Wielu z nich zginęło w ten sposób.

Włączył latarkę. Snop światła odsłonił tunel na długości dziesięciu metrów, do najbliższego zakrętu w prawo. Tunel był szeroki na około metr i wysoki na metr dwadzieścia. Wystarczyło. Gaines miał zamiar założyć ładunek w połowie drogi, by wybuch spowodował jak największe szkody w korytarzach poniżej.

Ruszył naprzód. Ziemia zmieszana ze strużkami potu dostawała mu się do oczu zasłaniając widok. Ciało powoli przyzwyczajało się do panującej na dole temperatury, a jego ruchy wytwarzały ciepło, które sprawiało, że tunel nie wydawał się już tak chłodny jak przedtem.

Gaines obawiał się, że za zakrętem tunelu siedzi żołnierz Wietkongu, widzi światło latarki i czeka tylko na sposobność, by go zabić.

Wojna na górze i tu, pod ziemią, mają ze sobą jedną rzecz wspólną, pomyślał Gaines. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy zaatakuje wróg. To właśnie sprawiało, że nawet żołnierze z jego doświadczeniem bojowym odczuwali niepokój, którego nie potrafili się w żaden sposób pozbyć.

Usłyszał oddech DeLuki idącego za nim. Gaines doczołgał się do miejsca, w którym zdecydował założyć ładunek, wkopał go lekko w ziemię i delikatnie zaczął rozwijać kłębek z lontem. Wybuch powinien zniszczyć całą konstrukcję.

DeLuca wycofywał się do szybu. Na dany znak, Hidalgo rzucił mu linę. Sierżant chwycił ją i zaczął się wspinać. Mimo swej niezbyt imponującej postury Hidalgo stał sztywno jak filar z marmuru, jedynie napięte mięśnie zdradzały jego wysiłek.

Gaines przykucnął znów na dnie szybu i zapalił lont, po czym złapał linę i pospiesznie opuścił niebezpieczne miejsce. Na powierzchni oślepił go blask słońca, podobnie jak chwilę wcześniej jego brak w tunelu.

Hidalgo oddał Thu zwiniętą linę, który natychmiast przypiął ją do pasa z amunicją, zaś

Gaines i DeLuca szybko się ubrali. Hidalgo rozglądał się niespiesznie dookoła, z lufą karabinu uniesioną ku górze.

- Drzemy zelówy - zarządził Gaines.

- A ja nawet nie jadłem śniadania - poskarżył się Hidalgo.

- Tobie tylko jedno w głowie - skarcił go DeLuca.

Oddalili się od wejścia automatycznie przyjmując szyk bojowy.

Nagle Thu podniósł dłoń, odwrócił się do Gainesa i zaczął mówić z powagą, lecz zanim zdążył wypowiedzieć choć słowo, spomiędzy drzew rozległ się przytłumiony wybuch, dźwięk, który Gaines rozpoznał natychmiast.

Ogień mózdzierzy!

- Padnij! - krzyknął.

Rzucił się na ziemię kątem oka widząc, jak inni robią to samo. Ułamek sekundy później potężna eksplozja wstrząsnęła ziemią, wysyłając w powietrze fontanny gliny i odłamków.

Od strony dżungli rozległ się znajomy klekot karabinów AK-47 nakładając się na świst nisko przelatujących pocisków.

- Do diabła! - zaklął Bok Van Thu.

Ngai Quang, kapitan Ludowej Armii Socjalistycznej Republiki Wietnamu, dowódca Siódmego Batalionu Wietkongu, objął i przytulił swe jedyne pozostałe przy życiu dziecko - syna Tsinga. Wezbrała w nim fala wspomnień, więc odsunął się od syna próbując zabić ojcowskie uczucie choć na chwilę. Jego żona, córka i najmłodszy syn zginęli parę lat wcześniej pod amerykańskimi bombami, na samym początku wojny.

Jedynym uczuciem, na które sobie pozwalał, była głęboka nienawiść do Amerykanów, którzy pozbawili go nieomal wszystkiego. Wszystkiego, z wyjątkiem starszego syna. Kiedy był razem z nim, czuł dojmujący ból, lecz powtarzał sobie, że to dobrze, że znaczy to, że jest jeszcze człowiekiem. Tsing przypominał mu jego własne młode lata - jego ciemne oczy wyrażały gniew i oburzenie z powodu tego, że jakimś obcemu mocarstwu wydawało się, że ma prawo kolonizować jego ojczyznę.

Quang przyjmował właśnie od dowódców oddziałów raporty o nocnych ruchach i działaniach wroga, gdy Tsing, idący samotnie, dotarł do tunelu. Zjadł szybko miskę ryżu, popił mocną herbatą i czekał na wolną chwilę ojca.

- Spotkałeś po drodze porucznika Phama? - zapytał Quang syna.

- Nie. Czy coś się stało?

Quang przytaknął.

- Zeszłej nocy mieliśmy potyczkę z Amerykanami i ponieśliśmy ciężkie straty.

Porucznik Pham jest na razie uważany za zaginionego.

- Myślisz ojcze, że dostał się w ręce Amerykanów?

- Mam nadzieję, że nie, ale wszystko przemawia właśnie za tym.

- Martwię się o niego.

- Ja też, synu. Życie w tunelu zaczynało mu się dawać we znaki, a kiedyś był takim dzielnym żołnierzem. Teraz widzę, że już dawno powinien być zostać przeniesiony.

- Może sam odszedł, bo coś mu się pomieszało? - zastanawiał się Tsing.

- Jeżeli dostał się w ręce Amerykanów - pokiwał smętnie głową Quang - zacznij mówić. Wysłałem dodatkowe patrole.

- W dzień? Przecież Amerykanie są praktycznie tuż nad naszymi głowami! Ojcze, czy nie ryzykujemy zbyt wiele? Mogą nas tutaj znaleźć.

- Teraz nie ma to znaczenia - wyjaśnił Quang. - Wydałem już rozkazy przygotowania do opuszczenia tuneli tuż po zachodzie słońca. Możesz być spokojny, nie lekceważę Amerykanów.

- Wszystko więc jest w rękach Phama - zakończył Tsing.

Usiedli na pustych skrzynkach po amunicji w wysokiej sali konferencyjnej, oświetlonej żarówkami małej mocy.

Prądu dostarczał generator poruszany silnikiem motocyklowym Hondy umieszczony na najniższym poziomie korytarzy, by jego hałas nie wydostawał się na zewnątrz.

Ngai Quang, jego syn, Pham i wielu innych mieszkało w tunelach od pięciu miesięcy. Kompleks korytarzy, który właśnie zajmowali, był pomyślany jako kryjówka i miejsce zgrupowania partyzantów Viet Minh, którzy walczyli z Francuzami w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Rozbudowana sieć korytarzy mieściła jeszcze jedną salę konferencyjną, sypialnie, szpital polowy, magazyny, kuchnię, schron przeciwlotniczy, latrynę i łaźnie. Byli samowystarczalni dzięki zapasom ryżu od okolicznych rolników, których członkowie rodzin walczyli pod jego dowództwem. Kucharze gotowali nocą. Rozrzedzony szeregiem kanałów powietrznych dym z paleniska był prawie niewidoczny na powierzchni.

Życie w tunelach nie było bynajmniej luksusowe, wielu ludzi, nie tylko Pham, nie wytrzymało ciągłego napięcia. Na przykład sypialnia Quanga była dziurą o wymiarach siedemdziesiąt na osiemdziesiąt na sto centymetrów, a im głębiej było się rozlokowanym w tunelu, tym większe istniało ryzyko bycia żywcem pogrzebanym. Quang wiedział, że tego rodzaju napięcie mogło zszarpać nerwy nawet najwytrwalszym.

Przypomniał sobie, że trzeba jeszcze było przerzucić artylerię. W magazynach, głęboko w tunelu, batalion trzymał kilka haubic kalibru 105 mm, rozebranych na części i naoliwionych, gotowych do szybkiego montażu i akcji. Quang zanotował sobie to w pamięci i wrócił myślami do syna.

- Mówiłem ci, żebyś nie ryzykował, nim wszystko nie będzie gotowe - powiedział.

- Wszystko jest już prawie gotowe - odparł Tsing. - Tunel pod bazą amerykańską w Lai Khe jest na ukończeniu.

Twarz Tsinga rozjaśniła się, lecz serce Quanga przeszył ból. Tsing miał oczy swej matki.

- Powiem moim ludziom w batalionie, żeby byli gotowi - rzekł Quang. - Spisaliście się na medal.

Tsing uśmiechnął się słysząc pochwałę ojca.

- Dziękuję. Za dwadzieścia cztery godziny będziemy w środku bazy.

Quang miał właśnie zamiar coś powiedzieć, gdy doszedł ich uszu głuchy dźwięk z powierzchni. Chwilę później jeden z żołnierzy wbiegł do środka szybem wejściowym.

- Kłopoty, panie kapitanie. Na górze walczą!

- Do broni! - krzyknął Quang skacząc na równe nogi.

- Wygląda na to, że złapali Phama - powiedział Tsing. - Co teraz zrobimy? - pytanie zadane było cicho, lecz z wyraźnym napięciem.

Quang był dumny z tego, że jego syn nie stracił głowy w niebezpieczeństwie, lecz nie było czasu mówić mu o tym.

- Uciekamy i walczymy do końca - oznajmił tym samym spokojnym głosem, zbierając się do wyjścia. - Nie ma czasu do stracenia, jeżeli chcemy ujść z życiem.

Gaines ustalił, że ogień, który przydusił ich do ziemi pośród wysokiej trawy, dochodzi do nich z dwóch różnych kierunków. Zorientował się, że Quang najpewniej zerwał z dotychczasową praktyką Wietkongu i wysłał więcej niż jeden dzienny patrol na rozpoznanie okolicy.

Tymczasem pod ziemią lont palił się skracając z każdą sekundą odległość od ładunku...

Ogień spomiędzy drzew nie malał ani na chwilę. Kule przebijały szerokie źdźbła trawy i gwizdały już całkiem blisko Szczurów, kiedy żołnierze Wietkongu zaczęli celniej mierzyć. Niedługo zaczną trafiać, pomyślał Gaines, i przyjdzie koniec.

- Wezwij helikoptery - powiedział spokojnie do Hidalgo.

- Tak jest - ucieszył się Johnny i rzucił kilka urywanych zdań do mikrofonu: - Wielki Brat, zgłasza się Szczur. Jesteśmy pod ostrzałem, musimy stąd spieprzać. Lądowanie pod ogniem nieprzyjaciela. Dawajcie maszyny!

- Startujemy, Szczur, zrozumiałem - zacharczało w odpowiedzi w słuchawce.

DeLuca wypluł serię ze swego karabinu.

- Ile do wybuchu, poruczniku? - warknął.

- Lada chwila - uspokoił go Gaines. - Zejdźmy trochę na bok, żebyśmy mieli przynajmniej jakąś osłonę, kiedy po nas przylecą.

Patrol Wietkongu rozkazem swego dowódcy podzielił się na dwie drużyny oddalone od siebie o jakieś pięćset metrów, odgadł Gaines z kąta nadlatujących pocisków. Chyba po trzy kałasznikowy z każdej strony.

Ruszyli skuleni przed siebie strzelając długimi seriami - Hidalgo i Thu w jedną stronę, zaś Gaines i DeLuca w drugą. Ogień wroga zamilkł, ale w żaden sposób nie można się było zorientować, czy któryś z Wietnamczyków został trafiony. Zielona ściana dżungli przesłaniała wszystko.

Ledwo dotarli do pierwszej linii drzew, ładunek założony przez Gainesa w tunelu wybuchł. Siła eksplozji wyrwała potężny kawał ziemi napelniając powietrze odłamkami skał i tumanami kurzu, uniosła czterech żołnierzy w górę i rzuciła w dżunglę.

Po chwili doszli do siebie i znów otworzyli ogień w tych samych kierunkach co

przedtem, wśród padających gęsto kawałków ziemi.

Teren zajmowany przez kompleks tuneli zaczął się powoli obniżać, tworząc jakby gigantyczny krater. Gaines mógł stwierdzić, że ładunek wykonał swoją robotę. Ostatnie echa eksplozji zagłuszył rytmiczny warkot dwóch nadlatujących spieszenie helikopterów.

AK-47 wznowiły ostrzał od strony Thu i Hidalgo, którzy natychmiast odpowiedzieli gęstym ogniem. Pociski szarpały liście palm i łuszczyły korę z drzew.

Karabiny wroga znowu zamilkły.

Śmigłowce okrążyły polanę. Przez odsuwane boczne drzwi widać było, jak kanonierzy zajmują miejsca przy cekaemach zamontowanych wewnątrz śmigłowców. Lufy ich przypominały czułki z zastanowieniem wachające powietrze.

- Ciekawe, czy tamci jeszcze żyją - zastanawiał się na głos DeLuca widząc, że na pozycjach wroga zaległa zupełna cisza.

- Ostrzą sobie zęby na nas i na helikoptery - stwierdził Hidalgo.

Jeden ze śmigłowców zaczął powoli schodzić do lądowania, kilkaset metrów od linii drzew, mniej więcej w środku polany. Drugi nadal krążył, osłaniając pierwszą maszynę.

- Nie mamy wyboru - powiedział Gaines. - Trzeba ich wybadać.

Wybiegł pędem zza drzew, a w ślad za nim ruszyła reszta oddziału, naprzeciw silnym podmuchom powietrza wzniesionym przez łopaty helikoptera, który w tym czasie zdążył wylądować i kołysał się lekko jak wielka, metalowa wałka.

Gdy byli w połowie drogi do helikoptera, Gaines usłyszał znajomy, szcęk moździerza od tyłu. Jak na dany znak karabiny Wietnamczyków ukrytych w dżungli zaklekotały znowu.

W ułamek sekundy później wszystko osnuł dym i odłamki. Pocisk trafił wprost w czekający helikopter. Druga eksplozja wysłała we wszystkie strony ostre jak brzytwy kawałki metalu - wszystko co pozostało z maszyny, lecz Gaines ze swoimi leżał już wtulony w ziemię. Gdy bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, odpowiedzieli ogniem ze swych M-16.

- Udawali! - krzyknął Hidalgo ponad klekotem karabinu, który wstrząsał całą jego sylwetką w rytm gwałtownych wystrzałów.

- Zrobimy tak, żeby teraz nie udawali! - odpowiedział mu DeLuca.

Drugi helikopter krążył tuż ponad wierzchołkami drzew zasypując ogniem pozycje nieprzyjaciela. Ogień Wietnamczyków ponownie zamilkł, gdy ciężkie pociski pokładowego działka ścierały na miazgę otaczającą roślinność. Po chwili zawrócił lądując w pobliżu pierwszej maszyny, nad której zdeformowanym wrakiem ciągnął się pióropusz gęstego dymu.

Gaines ze swymi ludźmi pognał co sił w nogach do otwartych drzwi śmigłowca. W ślad za nimi powędrowały nowe serie AK-47.

- Niech to szlag trafi! - DeLuca warknął nie zwalniając kroku. - Jeszcze im mało.

- Nam też! - odparł Gaines.

Dobiegli do helikoptera i wskoczyli na pokład głuchnąc od szczęku pokładowego działa.

- Dawaj go! Do góry! - krzyczał wstrząsany potężnym odrzutem działka kanonier do pilota.

Jak tylko Szczury znalazły się na pokładzie, pilot na pełnej mocy oderwał helikopter od ziemi.

Nagle ciało kanoniera poderwało się w dziwny sposób i Gaines zorientował się, że dostał serię z dołu. Zakołysał się niepewnie na nogach, po czym wypadł przez otwarty luk. Usłyszał przekleństwa z ust Hidalgo i DeLuki, rzucił się naprzód chwytając działko za spust i rozglądając się za celem. Z boku dostrzegł nienaturalnie rozciągnięte i przełamane ciało kanoniera, a po chwili żołnierzy Wietkongu, którzy wyszli z ukrycia strzelając do helikoptera.

- Jeszcze jeden nawrót! - krzyknął Gaines do pilota.

- Bardzo proszę! - odkrzyknął pilot.

Żołnierze wietnamscy byli zaskoczeni powrotem śmigłowca, przecież strzelali w jego kierunku raczej na pokaz niż mając nadzieję uczynienia jakiegokolwiek szkody. Odwrócili się w mgnieniu oka i ruszyli w dżungłę.

Nie zdążyli.

Helikopter przeleciał nad nimi, podczas gdy Gaines z wściekłością prowadził ogień, napelniając powietrze łuskami z mosiądzu, w miarę jak działko zjadało w szaleńczym wprost tempie pas z amunicją.

Gaines dostrzegł ciała żołnierzy na ziemi przed samą linią drzew, prawie podarte na strzępy pociskami dużego kalibru. Zdjął palec ze spustu.

- Schodzimy na dół! - zawołał do pilota.

- Cholera, może już wystarczy?! - pilot nie był zachwycony. - Trafiłeś ich, ale na dole wcale nie jest bezpiecznie.

- Ci tutaj mają dosyć - odparł Gaines. - Schodzimy po ciało, a potem prosto do bazy.

- Jesteś Gaines? - spytał pilot.

- Zgadza się.

- W porządku, poruczniku. Wy tu rządźcie, poza tym to był dobry kolega.

Pilot wylądował obok ciała kanoniera. Gaines i DeLuca wyskoczyli z maszyny i podbiegli w jego stronę, pierwszy wziął go pod ramiona, a drugi za nogi.

- W tej wojnie jest już dość zaginionych w akcji - zauważył z powagą DeLuca.

Ruszyli z powrotem do śmigłowca. Hidalgo stojący na pozycji kanoniera, i Thu oparty o drzwi, patrzyli niespokojnie na dżunglę.

Gaines obawiał się, że lada chwila usłyszy klekot AK-47, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Obaj z DeLuca weszli na pokład helikoptera wciągając ciało kanoniera.

- W porządku, zmykamy - powiedział Gaines.

- Już nas tu nie ma! - odkrzyknął pilot przez ramię.

Z wysokości dżungla wyglądała jak bezkresny, gładki, zielony dywan.

Ngai Quang powoli piał się w górę szybu wejściowego. Wykop zrobiony był pod takim kątem, że gorące, czerwone słońce biło prosto w oczy, oślepiając go. Przez kilka sekund nie słyszał nic prócz swego ciężkiego oddechu wywołanego przez potworny wysiłek ucieczki - byle dalej od korytarzy, w których czaiła się śmierć. Potężna eksplozja zniszczyła wszystkie tunele na przestrzeni kilkuset metrów. Poczul, jak serce podchodzi mu do gardła.

W tej samej chwili usłyszał nad sobą drwiący śmiech. Amerykański żołnierz wycelował weń lufę swego karabinu.

- Niech mnie rzuci, jak to nie jest jeszcze jeden żółtek. Chodź tu i stań grzecznie obok swoich kolegów. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo rozwalę ci łeb na kawałki.

Quang znów podjął wspinaczkę. Chciał bardzo, by serce przestało mu walić w piersi jak młotem, chciał wyrzucić z pamięci obraz śmierci swojego syna. Tsing zginął w tunelu kilka chwil po ostrzeżeniu o walce na powierzchni. Wybuch dosięgnął ich, gdy znaleźli się w sali konferencyjnej z dowódcami pododdziałów, którzy mieli otrzymać odeń rozkazy. Ziemia stłumiła nieco siłę eksplozji, lecz mimo to wstrząs był tak silny, że komora zawaliła się i znikła na jego oczach. Quang natychmiast pobiegł w stronę szybu awaryjnego, o którego istnieniu wiedział on, jego syn i dowódcy pododdziałów. Szaleńczo wspinał się w górę gnany strachem, że lada chwila wszystko się zawali. Znów przemknął mu przez myśl obraz śmierci najbliższych - żony i dzieci, jak wyciągał ich ciała spod ruin, ciała tych, którzy nadawali sens jego życiu. Ostatni obraz to Tsing, przywalony ziemią, razem ze wszystkimi. Nic już nie zostało, nic...

Dotarł na powierzchnię, - podciągnął się i stanął.

Amerykanie mieli zamiar zniszczyć cały kompleks tuneli, pomyślał Quang. Im nigdy nie dość krwi. Udało im się. Tsing nie żyje. Nie! Nie mogę poddać się rozpacz! Za wszelką cenę muszę zachować przytomność umysłu!

Wróg rozstawił swoje oddziały przy wyjściach z tunelu, na wypadek gdyby komuś z nich udało się ujść z życiem.

Porucznik Pham powiedział Amerykanom wszystko o tunelach...

Quang zmrużył oczy przed ostrym światłem słońca. Zobaczył Amerykanina, wysokiego, czarnego mężczyznę ponaglającego go karabinem.

- Ręce do góry, żółtku. Mówię, ręce do góry albo jedziesz do parku sztywnych.

Z tyłu stało jeszcze trzech żołnierzy, trzymających na muszce pięciu ludzi kapitana Quanga. Stali posłusznie, z rękami podniesionymi do góry, pokryci od stóp do głów błotem tuneli. Quang podniósł ręce do góry. Na zewnątrz był spokojny, lecz w środku napięty, gotowy do akcji.

Amerykanin wskazał mu miejsce obok jego ludzi.

- Tutaj, kochasiu i rączki do góry, do samego nieba. Są tam jeszcze jacyś?

Quang ruszył wolno w kierunku swoich udając rezygnację. Czekał tylko na jakąś nieostrożność, jakieś potknięcie Amerykanów.

Żołnierz trzymał go na muszce, lecz na moment odwrócił wzrok w stronę wyjścia z tunelu. W tej samej chwili Quang błyskawicznie wykonał półobrót na wyprostowanej lewej nodze, a prawą trafił z olbrzymią siłą w karabin Amerykanina, wrywając mu go z dłoni.

Na twarzy żołnierza odmalowało się zaskoczenie. Próbował coś krzyknąć do swoich ludzi, lecz wcześniej Quang z wysokości kopnął go obiema nogami w klatkę piersiową. Amerykanin upadł na plecy, bez tchu. Po chwili otrząsnął się i próbował wstać.

Pozostali odwrócili się, by zobaczyć, co się właściwie dzieje, ale wtedy Quang miał już w rękę karabin upuszczony przez Amerykanina. Oparł nogę na jego brzuchu i przydusił do ziemi. Amerykanin nadal nie mógł dojść do siebie. Jęknął z bólu pod naciskiem stopy Quanga, potem spojrzał w górę i natrafił wzrokiem prosto na wylot lufy własnego M-16 wycelowanego między oczy, nie dalej niż dwadzieścia centymetrów.

- O Boże! - powiedział żołnierz, a na twarz wystąpiły mu krople potu.

- Rzucić broń! - krzyknął Quang do pozostałych Amerykanów.

Wystarczyło. Z oczyma wlepionymi w sierżanta, a raczej w karabin wycelowany w jego głowę, rzucili broń.

- Do jasnej cholery, co wy robicie?! - wrzasnął sierżant nie zwracając uwagi na swoje położenie. - Nie...

Było za późno. Ludzie Quanga chwycili karabiny wycelowując je w Amerykanów.

- Zastrzelić ich! - krzyknął Quang do swoich po wietnamsku.

Gdy Amerykanie zdali sobie sprawę, że nie zostaną wzięci do niewoli, rzucili się w kierunku Wietnamczyków, lecz celne serie z M-16 nie dały im szans.

Quang spojrzał tymczasem prosto w twarz czarnego żołnierza. Pomyślał o Tsingu i

setkach innych, pogrzebanych żywcem pod ziemią, o żonie, córce, o młodszym synu. Żadne z nich nie żyło, został sam, by pomścić ich śmierć. Ogarnęła go fala nienawiści.

Amerikanin zorientował się, co go czeka. Jeszcze sekunda, a rzuciłby się na Quanga, próbując go rozbroić, lecz Quang, widząc napinające się mięśnie żołnierza, nie dał mu tej szansy. Nacisnął spust i opróżnił cały magazynek karabinu zamieniając żołnierza od pasa w górę w plamę poszarpanego ciała i strumieni krwi.

Quang przykucnął, odpiął pas z amunicją i podszedł do swoich ludzi, którzy już wcześniej zrobili to samo, nie zapominając o portfelach.

W powietrzu zaległ ciężki odór spalonego prochu i krwi.

- Musimy stąd zniknąć - zaczął Quang. W uszach ciągle dzwoniły mu echa wystrzałów. - Otaczają nas amerykańskie wojska.

Jeden z Wietnamczyków odwrócił się w kierunku wyjścia z tunelu.

- A inni, kapitanie?

- Nie ma żadnych innych - odparł Quang. - Tylko my przeżyliśmy. Musimy dołączyć do jakiegoś innego oddziału, ale przede wszystkim nie wolno nam dać się złapać Amerykanom. Idziemy do dżungli, szybko i jak najciszej potraficie.

Porucznik Ngu Pham zupełnie stracił poczucie czasu, od chwili gdy Amerykanie wzięli go do niewoli. Pamiętał tylko, że nad ranem wrzucono go do celi w wiosce Quonset, zamknięto i pozostawiono jakby własnemu losowi.

Zapadł w niespokojny sen na wysłużonej pryczy, i po raz pierwszy od bardzo dawna przyśnili mu się rodzice. Od paru miesięcy nie miał żadnej wiadomości o ich losach, lecz miał nadzieję, że żyją i są bezpieczni, podobnie jak siostra i jej mąż. Bardzo za nimi tęsknił, zresztą już pod koniec swej bytności w tunelach trudno mu było bez nich wytrzymać.

Obudził go trzask odsuwanych drzwi. Od nowa poczuł ból w różnych miejscach ciała, bowiem Amerykanie, którzy wzięli go do niewoli, obeszli się z nim niezbyt delikatnie.

Zauważyli go i obezwładnili, zanim miał czas pomyśleć o obronie czy ucieczce. Po drodze do bazy w Lai Khe nie szczędzili mu kopniaków i poszturchiwań.

Lecz Pham nie miał im tego za złe, wiedział, co czują. On też dosyć naoglądał się ciał zabitych kolegów, słyszał krzyki rannych, dla których zabrakło środków przeciwbólowych. Był już zmęczony wojną i ustawicznym zabijaniem, po prostu miał wszystkiego serdecznie dosyć.

Pobyty w tunelach zszarpał mu nerwy do tego stopnia, że nie mógł jeść i miał kłopoty ze snem, lecz nie potrafił przemóc się i poprosić kapitana Quanga, by ten wyznaczył kogoś innego na jego miejsce.

Porucznik Pham miał dwadzieścia lat i bardzo zależało mu na opinii innych o sobie. Nie mógł sobie wyobrazić swego powrotu, pełnego pogardy wzroku towarzyszy i najbliższych.

Poprzedniej nocy Pham i jego patrol zostali wysłani na tyły wojsk amerykańskich. Tuż po zapadnięciu zmierzchu opuścili tunel i Pham wprowadził swój oddział w zasadzkę. Wszyscy prócz niego zginęli pod gradem celnych kul snajperów.

Pham rzucił się w bok, by zejść z linii ognia, czując jak jedna z kul trafia go w nogawkę spodni, a druga gorącym podmuchem oparzyła mu czubek ucha. Ale przeżył i zdecydował, że będzie biegł i nie spocznie, zanim nie znajdzie sobie bezpiecznego schronienia, może na jakimś wzgórzu, by móc zebrać myśli i odsapnąć. Właśnie wtedy natknął się na patrol, który schwytał go i przyprowadził w miejsce, gdzie się teraz znajdował.

Bał się. Był niemal pewien, że go zabiją, więc nie musieli go specjalnie przymuszać, by zaczął mówić. Już stał nad krawędzią i wiedział, jak to wygląda. Wystarczyło, że pokazali mu maszynę najeżoną elektrodami i powiedzieli, że potem nigdy już nie będzie taki sam, nie będzie mógł być sam na sam z kobietą.

Więc zaczął mówić.

Przez wietnamskiego tłumacza powiedział im wszystko, co wiedział o podziemnych korytarzach - bazie kapitana Quanga, włącznie z wyjściem zapasowym, czując dojmujący wstyd, bo wiedział, że zdradza swoich.

Amerykane postanowili sprowadzić Szczury. To wystarczyło, pomyślał Pham, by przypieczętować los kapitana Quanga i innych, a odpowiedzialność za ich śmierć spadnie na niego.

Myślał tylko o jednym - o powrocie do domu. Służba w Wietkongu z początku odpowiadała jego chłopięcym wyobrażeniom o wojnie. Pochodził ze wsi, jego rodzina od kilkunastu pokoleń uprawiała ziemię w tym samym miejscu i niezbyt interesowała się polityką. Znalazł nowych przyjaciół, czuł podniecenie pierwszych zasadzek na Amerykanów, którzy wydawali się zupełnie nieprzygotowani do walki w dżungli. Poza tym w szeregach Wietkongu walczyło wiele młodych kobiet, Phamowi nie brakowało więc okazji do poznania ich bliżej.

Po jakimś czasie amerykańska ofensywa położyła kres swobodnym działaniom partyzantki, dziewczyny zniknęły, a nadeszły długie dni spędzane w niewygodnych, ciasnych i przeraźliwie dusznych korytarzach tuneli... To prawda, chciał zdezerterować, ale wśród żołnierzy miał wielu dobrych kolegów, którym wcale źle nie życzył. Niemniej jednak gdy Amerykanie zagrozili mu bólem, o mało nie zemdał.

Miał dosyć wojny, wiedział, że nie wytrzyma. Czuł się złamany. Nie zdołał uciec i nigdy nie umknie od tego, co zrobił. Jego los był przesądzony - nigdy nie zobaczy już swych rodziców, swego domu.

Ci sami żołnierze, którzy wcześniej zamknęli go w celi, wyprowadzili go teraz na zewnątrz i przez pełną ludzi i sprzętu wojskowego bazę poprowadzili w kierunku bunkra, w którym był wcześniej przesłuchiwany. Przed bunkrem stało na straży dwóch żołnierzy Armii Południowego Wietnamu.

W środku zastał czterech Amerykanów: kapitana w starannie wyprasowanym mundurze i trzech żołnierzy, którzy wyglądali, jakby dopiero co wrócili z pola bitwy. Wokół nich rozchodziła się aura śmierci. Szczury, pomyślał Pham, mimo iż nie rozpoznawał żadnego z nich.

Obok żołnierzy stał też wietnamski oficer.

- Porucznik Pham, jak mi się wydaje - powiedział w ich ojczystym języku. - Zrobiłeś bardzo dobrą rzecz, młody człowieku. Przyszedłeś z pomocą swemu krajowi i jego sojusznikom.

Pham próbował coś powiedzieć, lecz żaden dźwięk nie wydobył mu się z gardła. Odchrząknął.

- A kapitan Quang? - zapytał.

- Prawdopodobnie nie żyje, tak jak większość jego ludzi. Dzięki tobie, młody człowieku. Tak trzeba. Całe podziemne centrum dowodzenia zostało zniszczone przez tych oto ludzi - oficer wskazał na trzech brudnych i rozczochranych mężczyzn, co do których już wcześniej Pham żywił podejrzenia, że należą do osławionych Szczurów.

Pham poczuł, jak ścisną go w dołku.

- Co będzie ze mną? - zapytał, dobrze znając odpowiedź.

- Jesteś zatrzymany do mojej dyspozycji. Jestem major Van Dow. Czeka cię dalsze śledztwo.

Pham próbował nie poddawać się.

- Ale oni przecież mnie zabiją! Wietkong...

- O co chodzi? - zapytał Amerykanin.

Pham znał trochę angielski i zrozumiał sens wypowiedzianych słów.

- Boi się zemsty ze strony Wietkongu - powiedział major Van Dow. - Niech pan się nie martwi, panie kapitanie, będzie pod strażą przez cały czas. Poza tym nam śledztwo pójdzie łatwiej. Porucznik Xong będzie odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo. To jeden z moich najlepszych ludzi.

Pham zauważył, że Carter jest bardzo wysoki, szeroki w ramionach, lecz nie otyły. Postanowił przemówić do niego po angielsku.

- Ja zrobić, co wy chcecie. Powiedzieć o tunel. Wy mnie puścić. Ja do domu.

- Wszyscy chcielibyśmy do domu - odparł Carter. - Ale jesteś jeńcem i należysz do majora Dow. Takie są przepisy.

Van Dow szczechnął jakiś rozkaz i dwóch Wietnamczyków wzięło Phama pod rękę. Pham poczuł rozpacz. Już po mnie, pomyślał.

Porucznik Gaines patrzył na wyprowadzanego Wietnamczyka bez specjalnego zainteresowania, był zbyt zmęczony. W tej chwili marzył tylko o tym, by jak najprędzej zrzucić z siebie wybrudzony mundur i wziąć gorący prysznic. Zbyt wielu martwych Amerykanów wracało do domu w trumnach, by przejmował się jakimś Wietnamczykiem.

Wiedział, że Carter, Hidalgo i DeLuca czują to samo.

- I to by było na tyle - odezwał się Carter, przerywając milczenie. Spojrzał na swoich ludzi i dodał;

- Dobra robota, chłopaki.

- Niech pan tylko nie puści farby, że nie policzyliśmy ofiar - wtrącił Hidalgo.

- No - poparł go DeLuca. - Zasypani żywcem. Jak te gryzpiórki chcą sobie liczyć, to niech przyjdą i pogrzebią sobie trochę.

- Ucieszą się, że Quang ze swoim batalionem zwinęli sztandary - zażartował Carter.

- Mam nadzieję, że Quang rzeczywiście zginął - zauważył Gaines. - Przy naszej taktyce bardzo trudno jest dokładnie stwierdzić, kogo się dostało.

Major Van Dow zgodził się.

- Gdyby w jakiś sposób udało mu się uciec, byłoby bardzo źle. Jest bardzo dobrym strategiem i dowódcą. Jeżeli przeżył, podniesie to morale Wietkongu i mamy gotowy kłopot.

- Tak jakby ich nam brakowało - zauważył Carter. - Czas najwyższy, żeby nam się udała jakaś większa operacja, Wy mnie nie zawiedliście - zwrócił się do Szczurów" - Wszystko do tej pory idzie wam jak po maśle. Ale chyba zauważyliście, że daję wam coraz mniej zadań.

- Ja nie narzekam - powiedział Hidalgo. - Mam szansę nadrobić zaległości w czytaniu.

- Pewnie - parsknął DeLuca. - Batman i Kaczor Donald.

- Wracając do tematu - zaczął Gaines - wydaje mi się, że oni mają tu kogoś w środku, kto ostrzega ich za każdym razem, kiedy jesteśmy na tropie następnych korytarzy.

- Czyli szpiega - podsumował Carter.

- Myślicie, że może to mieć jakiś związek z włamaniami do magazynów broni i prowiantu? - zapytał major Van Dow. - W ostatnich tygodniach zaczyna nam znikać w niewytłumaczalny sposób coraz więcej rzeczy.

- Nie można tego wykluczyć - zgodził się Carter. Mam nadzieję, że porucznik Pham będzie w stanie rzucić nieco światła na tę sprawę.

- Zaraz się tym zajmę - zerwał się Van Dow i wyszedł z bunkra.

- A dlaczego ja nie mógłbym się zająć inspekcją pryszniców? - rzucił z rozmarzeniem Gaines.

- Miałem to wam właśnie zaproponować - powiedział Carter marszcząc nos. - Zezwalam na wykonanie czynności służbowych w tym zakresie. Moje szczere gratulacje z powodu udanej akcji. Spisaliście się znakomicie.

Quang i mała grupka jego żołnierzy przypadła do zbocza niedaleko drogi. Wysoko rosnąca po obu stronach trawa dawała im doskonałą osłonę.

Drogą przejechał warcząc i wyrzucając tumany spalin wóz bojowy. Cały obszar, pod którym rozciągały się kiedyś tunele, roił się wprost od amerykańskich żołnierzy, a jednak o ponad półtora kilometra udało im się oddalić od miejsca, gdzie zatrzymał ich patrol. Śmierć żołnierzy wroga miała dla Quanga efekt oczyszczający. Smutek po śmierci Tsinga i rozbiciu batalionu ustąpił przed satysfakcją. Udało im się, mimo iż byli w beznadziejnej sytuacji. Krążące nad głowami helikoptery ani gęste patrole nie były w stanie ich odnaleźć. Teraz, gdy prawie osiągnęli cel wędrówki, usłyszeli nadjeżdżający pojazd i ukryli się.

Quang gestem nakazał żołnierzom pozostać na swoich miejscach jeszcze przez jakiś czas po odjeździe pojazdu, potem zerwał się na równe nogi i przebiegł na drugą stronę. Razem dotarli do kępy drzew balsy, w której ukryta była chata.

Przywitał ich wieśniak z żoną.

- Spodziewaliście się nas? - zapytał Quang.

- Usłyszeliśmy o ataku na wasze tunele - odparł wieśniak - ale nie sądziliśmy, że będzie je tak łatwo zniszczyć, kapitanie Quang. Powiedział nam pan, żeby tu czekać na pana w razie czego, więc jesteśmy.

Quang był pełen podziwu dla szybkości, z jaką przekazywane były wieści pomiędzy niepozornymi osadami, i dla poparcia, jakim działania Wietkongu cieszyły się wśród miejscowej ludności.

- Więc jesteście gotowi?

- Proszę tędy - powiedział wieśniak.

Wprowadził ich do ubogo wyglądającej chaty, odsunął na bok stół z ciosanego drewna, potem spłowiałą matę i otworzył klapę w podłodze.

Poniżej znajdowała się jedna z wielu kryjówek, które Quang przygotował sobie w okolicy na wypadek niebezpieczeństwa. Jej ściany były co prawda z ziemi, lecz na podłodze położono gruby koc.

Quang gestem kazał, by jego ludzie weszli do środka, potem podziękował gospodarzowi i jego żonie:

- Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, ale nie będziemy się narzucać zbyt długo, najwyżej do wieczora.

- Nie narzucacie się nam, kapitanie Quang - zaoponowała kobieta. - Jesteśmy dumni mogąc zaofiarować pomoc.

- Czy pana syn, Tsing, też przybędzie? - zapytał mężczyzna.

- Znalście mojego syna?

Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się.

- Jestem jednym z rolników, którzy dostarczają ryż żołnierzom pod jego dowództwem, pod Lai Khe. Wasz syn jest dobrym człowiekiem.

- Nie żyje. Zginął pod ziemią, kiedy Amerykanie wysadzili tunele.

- Bardzo panu współczujemy, kapitanie Quang.

- W czym jeszcze moglibyśmy pomóc? - spytał mężczyzna. - Zrobimy wszystko, co będzie trzeba.

- Inni dowódcy w okręgu muszą się dowiedzieć, że żyję - odparł Quang.

- Zajmiemy się tym.

- Praca w tunelach pod bazą musi być kontynuowana. Mój syn, tuż przed śmiercią powiedział mi, że są już na ukończeniu. Osobiście obejmę dowództwo całej operacji.

- Jeszcze dziś pójdę to przekazać kopaczom - zobowiązała się kobieta. - Może pan na nas polegać, kapitanie.

- Wiem. I dlatego amerykańscy imperialiści nigdy nas nie zwyciężą, bez względu na to, ilu ich jest, i jakim sprzętem dysponują. Właśnie dzięki ludziom takim jak wy, w końcu będą musieli się wynieść.

- Niech pan tak nie mówi, nie zasługujemy na to. Stracił pan przecież dzisiaj swojego syna dla sprawy, a mówi pan o zwycięstwie.

- Na smutek przyjdzie czas po zwycięstwie - odrzekł Quang. - Teraz myślę tylko o zemście - za swoją rodzinę, za syna, za wszystkich poległych w tunelach, które wysadzili Amerykanie. Wiem, że zdradził nas porucznik Pham. Należy go odszukać i uciszyć.

- Stanie się tak - obiecał mężczyzna.

- Jest jeszcze jedna rzecz, bardzo ważna dla mnie. Tunele, mój syn, moi ludzie... zniszczyły ich Szczury. Nikt inny. Dlatego chcę wiedzieć, kto osobiście dowodził całą operacją, kto jest za to odpowiedzialny. Dajcie znać naszemu człowiekowi w Lai Khe. Nie powinien mieć kłopotów z ustaleniem nazwiska tego człowieka. Dla mnie jest to sprawa honoru - pojedynek na śmierć i życie. Kiedy poznam jego nazwisko, nie spocznę, dopóki nie zginie.

USPL Lai Khe była oddalona o czterdzieści pięć kilometrów na północ od Sajgonu drogą numer 13, przecinającą strome, porośnięte dżunglą pagórki, które ciągnęły się aż do Północnego Wietnamu. Była bazą wypadową amerykańskiej Pierwszej Dywizji Piechoty i Piątej Dywizji Armii Południowego Wietnamu, w samym środku obszaru, który za dnia uważany był powszechnie za bezpieczny, lecz po zachodzie słońca należał do tych, co posiadali więcej odwagi, determinacji i sprytu.

Baza, zajmująca około pół kilometra kwadratowego, otoczona była zwojami stalowej taśmy i drutu kolczastego, udekorowanymi puszkami po piwie. Chodziło o to, by po zapadnięciu zmroku dać patrolom szansę usłyszenia przeciwnika, nim ten zaatakuje.

Pozycje obronne, obwarowane workami z piaskiem, mieściły najróżniejszą broń: karabiny maszynowe, moździerze i broń raketową, wszystko wycelowane w prawie dwustumetrowy pas śmierci wokół bazy, oddzielający ją od dżungli.

Ann Bradley stała obok wejścia do szpitala polowego w Lai Khe ubrana w mundur i kamizelkę ochronną. Podniósłszy wzrok zauważyła, jak z bunkra kapitana Cartera wychodzą Scott Gaines, DeLuca i Hidalgo. Gaines zobaczył ją i powiedział coś do swych kolegów. Ci roześmiali się, najwyraźniej żartując sobie z niego. Nie musiała zgadywać, że chodziło o nią. Po chwili obaj pomachali jej po przyjacielsku dłońmi na powitanie i poszli dalej w kierunku swego namiotu, zaś Gaines skręcił do niej.

W bazie o tej porze było zwykle tłoczno i Gaines z trudnością przeciskał się w jej stronę. W całym obozie nie było ani jednego źdźbła trawy. Opony samochodów i żołnierskie buty obnażyły warstwy czerwonej ziemi, której kurz okrywał wszystko.

W szpitalu nie było wiele do roboty, więc wyszła na zewnątrz zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i, temu nie mogła zaprzeczyć, by zobaczyć Gainesa, bowiem dowiedziała się, że Szczury wróciły z akcji do bazy.

Przerwy nie zdarzały się często. Kiedy helikoptery zaczynały zwozić rannych, pracowało się bez przerwy po dwanaście i piętnaście godzin. Szpital zamieniał się wtedy w pobożowisko, na którym wśród dziesiątek noszy uwijali się lekarze i pielęgniarki, podejmując błyskawicznie decyzje, kogo i w jakiej kolejności operować.

Ci z mniej poważnymi obrażeniami byli wysyłani do załatania do Sajgonu, zaś

poważniejsze przypadki natychmiast przenoszono do odpowiednich sal operacyjnych.

Ann Bradley wprost nie mogła sobie przypomnieć naiwnej, wiejskiej dziewczyny, która poszła do szkoły dla pielęgniarek - siebie, młodszej o czternaście miesięcy. Wydawało się tak dawno, tak daleko...

W szkole pewnego dnia pojawił się ktoś z wojska. Ann była na spotkaniu, usłyszała, że wojsko potrzebuje takich jak ona. Obiecano nie wysyłać nikogo do strefy bezpośredniego zagrożenia.

Po raz pierwszy wyjechała z domu na tak długo. Pochodziła z dobrej rodziny. Kochała rodziców i bardzo starała się oddać w listach klimat tego nieznanego kraju, wszystko to, przez co musiała codziennie przechodzić, lecz nawet gdyby potrafiła to opisać, wiedziała, że nie mogliby sobie tego wyobrazić. Sama, zanim tu przyjechała, nie wyobrażała sobie tego.

Nie słyszała o Wietnamie, nim jej brat nie poszedł na wojnę z piechotą morską, potem zaczęło się w niej powoli budzić przekonanie, że nie robi wszystkiego co w jej mocy, by walczyć z wrogiem ojczyzny. Więc zaciągnęła się od razu.

Oczywiście została okłamana. Co tydzień baza w Lai Khe była atakowana z powietrza przynajmniej raz, zaś codziennie wieczorami wybuchały potyczki na skraju dżungli.

Z każdym dniem, przynoszącym szeregi jęczących z bólu i umierających młodych ludzi, uświadamiała sobie, że następna rakietą wystrzelona na bazę mogła jej samej przynieść śmierć. Życie w bezustannym napięciu łamało nawet osoby, które, jak jej się wydawało, były lepiej przygotowane do znoszenia stresu niż ona.

Radzono sobie na wiele różnych sposobów. Był alkohol, były narkotyki, były imprezy, na których bawiono się na zabój, chcąc jakby do maksimum wycisnąć chwile życia. Czuła się tym wszystkim przygnębiona.

Nie wiedziała dokładnie, co sprawia, że jest w stosunkowo dobrej formie mimo piekła, jakim stało się jej codzienne życie. Pewną rolę odgrywał w tym Gaines, tyle mogła stwierdzić, chociaż jeszcze nie przespali się razem.

Przyglądając mu się, jak idzie sprężystym krokiem, pomyślała, że ma w sobie coś z dzikiej bestii, czujnej lecz zarazem pełnej wdzięku. Może dziś, pomyślała i natychmiast przygryzła wargę, by się nie roześmiać. Mama nie byłaby zadowolona. Dotychczas spała tylko z Philipem Stevenssem, jednym z lekarzy, przystojnym mężczyzną, którego wojna i alkohol powoli zmieniały w ludzki wrak. Po pewnym czasie zorientowała się, że jest z nim nie z powodu uczucia, ale ze strachu przed tym, co się dzieje i co jeszcze może się wydarzyć, więc jakieś dwa miesiące temu zerwali ze sobą. Doktor nadal jej się podobał, lecz nauczyła się już radzić sobie z własnym strachem koncentrując się tylko na chwili bieżącej i uciekając

w pracę.

Właśnie wtedy, miesiąc wcześniej, poznała Gainesa przez kogoś ze wspólnych znajomych. Z miejsca się sobie spodobali i zaprzyjaźnili. Ann odkryła w nim partnera do rozmów na najróżniejsze tematy, i chociaż ich opinie najczęściej różniły się znacznie, szanowali wzajemnie swoje poglądy. Gaines pomógł jej też uświadomić sobie, że rzucając się w wir codziennych zajęć i unikając kontaktów z ludźmi, popełniała ten sam błąd co Stevens. Wydawało się jej, że znalazła w nim swój ideał mężczyzny - człowieka o wystarczająco silnej psychice, by nie poddać się odczłowieczonej atmosferze wojny.

Jedyną rzeczą, która powstrzymywała ją przed zbliżeniem z nim, był staromodny, niemal rycerski sposób, w jaki ją traktował, a poza tym po prostu bała się, że lada chwila może wrócić martwy z pola bitwy lub umrze na jej oczach na stole operacyjnym.

I tak już należysz do niego, pomyślała. Może dzisiaj...

- No, nareszcie ktoś, kto wygląda jak człowiek. Cześć, Ann. Jak tam wojna? - pozdrowił ją.

Kiedy się zbliżył, dostrzegła, że ma wybrudzony mundur, zabłoconą twarz i ręce.

- Nie najgorzej, w każdym razie lepiej niż u ciebie. Wszystko w porządku, Scott?

- Randka z najmiłą z pielęgniarek uleczy wszystkie rany - powiedział z zawadiackim uśmiechem.

- Musimy się spotkać dzisiaj, bo jutro mam dyżur cały dzień w Hoa Phu.

Gainesowi nie udało się wyperswadować jej dodatkowych godzin, które spędzała wraz z Philipem wśród miejscowej ludności niosąc podstawową pomoc medyczną. Ich akcja cieszyła się poparciem władz wojskowych, które zapewniały transport i lekarstwa, traktując ją jako mały, lecz znaczący wkład w zdobywanie serc i umysłów.

- Co słychać u Phila? - spytał Gaines.

- Wszystko po staremu - nie była pewna, co ma powiedzieć. - Jest tak... jak przedtem, kiedy tu byłeś ostatnim razem.

- Nie podoba mi się to - Gaines zmarszczył brwi. - Może powinniśmy kiedyś razem, we trójkę wybrać się do Sajgonu, oderwać go trochę od tego wszystkiego. Trzeba z nim pogadać.

Taki właśnie jest, pomyślała Ann. Zmęczony, sponiewierany po akcji, w której ryzykował życiem, a potrafi zatroszczyć się o drugiego człowieka, zainteresować jego kłopotami.

Nie mogła się powstrzymać i pogłaskała go czule po policzku. Nigdy wcześniej nie okazała mu swych uczuć bardziej otwarcie.

- Co za człowiek! Zgadzam się, wieczór z tobą na mieście bardzo mi odpowiada.

Autobus dywizji wyjeżdżał do Sajgonu codziennie o szóstej wieczorem i wracał pół godziny przed północą. Dowództwo zdecydowało tak, by do minimum zmniejszyć przypadki kaca wśród żołnierzy, którym alkohol był niezbędny do życia. Jechał drogą numer 13, powszechnie uważaną za bezpieczną o każdej porze dnia i nocy.

- Jesteśmy umówieni. Spotykamy się przed autobusem punkt szósta - powiedział Gaines.

- Zgoda.

Chciała powiedzieć coś więcej, by zatroszczył się o siebie, lecz przerwał jej narastający huk nadlatujących helikopterów, zmierzających ku lądowiskom szpitala. Sanitariusze biegli już z noszami w stronę maszyn, skąd żołnierze zaczęli wyladowywać ciała rannych lub zabitych, dopiero co ewakuowanych z jakiegoś odległego o parę kilometrów miejsca, gdzie szalała wojna.

- Dziś wieczorem - powtórzył Gaines. - Jak dasz radę się wyrwać.

Skinęła głową i pospieszyła do namiotu operacyjnego.

Ky wiedział, że może rozzłościć Khong Noha, a była to jedna z ostatnich rzeczy, jaką chciał zrobić. Z drugiej jednak strony Khong Noh rozgniewałby się jeszcze bardziej, gdyby na czas nie dostał wiadomości.

Zatrzymał się przed namiotem i odchrząknął.

- Szeffie, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Co? - doszedł go zmęczony głos.

Zza poły namiotu doszedł go niespieszny szelest. I w chwilę później ukazał mu się Khong ubrany tylko w spodnie. Przez szparę Ky dostrzegł młodą kobietę, właściwie kilkunastoletnią dziewczynę, leżącą na brzuchu. Była nieprzytomna, cała pokryta sińcami. Dwa dni temu przyprowadzili ją siłą wraz z jej koleżanką z pobliskiej wsi. Pozostałych mieszkańców wsi zabili, a wieś spalili.

Khong Noh miał dość sporą posturę jak na Wietnamczyka. Miał wielki, obwisły brzuch i pociętą bliznami twarz, z której wзираło niepohamowane okrucieństwo. Dokładnie taki typ człowieka mógł przewodzić bandzie ośmiu zabijaków, od ponad trzech lat żyjących z rozboju i gwałtu. Niektórzy z nich byli dezertarami z południowowietnamskiej armii, inni uszli z życiem z sajgońskiego półświatka oszukawszy nie tego człowieka co trzeba, jeszcze inni, jak Ky, byli ofiarami wojny. Wojna przestawiła ich życie, czasami w bardzo okrutny sposób, na zupełnie nowe tory.

Ky był rolnikiem. Jego dom, podobnie jak wszystkie w okolicy, spaliło coś o nazwie napalm, zrzucone pewnego dnia z samolotów, gdy Ky pracował w polu. Żona i troje dzieci byli wtedy w domu. Ky po powrocie znalazł tylko wypalone, poczerniałe szkielety.

Od tego czasu zmienił się zupełnie. Niedługo potem przystał do bandy Khonga. Na początku zabijał ze złości i dziwił się, jak inni członkowie bandy mogli być tak okrutni, ale po pewnym czasie przyzwyczaił się. Zabijał dla przyjemności, zastanawiając się, kiedy przyjdzie jego kolej.

- Właśnie usłyszałem, że amerykański konwój będzie jutro rano przejeżdżał przez Hoa Phu - powiedział Ky. - Od kilku dni chłopcy skarżą się, że nie mają dość amunicji, przydałoby się też trochę więcej broni. Poza tym sam mówiłeś, że czas zabrać się za wioskę.

- Można ufać twojemu człowiekowi? - zapytał Khong.

- Wiadomość pochodzi prosto z ust porucznika Xonga - upewnił go Ky.

Xong był oficerem Armii Południowego Wietnamu i stacjonował ze swym oddziałem w Lai Khe. Khong i Ky wiedzieli, że szpiegował także na rzecz Wietkongu. Xong bynajmniej się z tym nie krył, gdy po raz pierwszy zaoferował Khongowi sprzedaż informacji.

Ky usłyszał szmer za plecami Khonga. Dziewczyna, którą widział wcześniej, odzyskała świadomość. Wstała i rozejrzawszy się po namiocie dostrzegła bagnet Khonga leżący obok karabinu i pistoletu w kaburze. Chwyła go i z krzykiem rzuciła się na Khonga.

Khong odwrócił się na czas. Lewą ręką złapał dziewczynę, podłożył jej nogę i przewrócił na ziemię, po czym sam wylądował na niej. Wyrwał jej bagnet z dłoni i zaczął na oślep wbijać go w ciało dziewczyny. Jego szorstki, urywany oddech sprawiał wrażenie, że przeżywa chwile największej rozkoszy.

Dziewczyna krzyknęła jeszcze raz, coś w niej zabulgotało i znieruchomiała.

Khong zadał jej jeszcze kilka ciosów i pozostawił bagnet tkwiący w jej lewej piersi. Wstał, splunął na ciało i odwrócił się do Ky. Całe spodnie z przodu ociekały mu krwią.

- Zabierz ją.

Ky wszedł do namiotu, wyciągnął bagnet z ciała i podniósł bezwładne ciało zarzucając je sobie na ramię.

- Kurwa - skomentował Khong. - Jeszcze nie miałem dosyć. Gdzie jest ta druga?

- Trzymamy ją tutaj. Powiedziałaś, że będziemy się mogli z nią zabawić.

- Przyprowadź ją do mnie. I powiedz chłopakom, żeby się przygotowali na jutro.

Zaatakujemy konwój i Hoa Phu.

6

Tunel, nad którym ludzie Tsinga pracowali przez kilka ostatnich tygodni, zaczynał się w małej rozpadlinie sporo oddalonej od pasa śmierci otaczającego bazę. Oddział liczył sześć osób, mężczyzn i kobiet w wieku po dwadzieścia parę lat. Byli ubrani na czarno i uzbrojeni w karabiny AK-47.

Tuż po zapadnięciu zmierzchu Quang i resztki jego oddziału odnaleźli kopaczy. Żołnierze odsłoniли wejście i korytarz, który pod ostrym kątem zmierzał do bazy. Potem jeden za drugim weszli do tunelu i nie odzywając się prawie do siebie, kontynuowali pracę przy światłach latarek. Pracowali bez wytchnienia. Quang zauważył, że przyjęli go za swego dowódcę.

Gdy zobaczył, co udało im się zrobić do tej pory, aż zatrzęsł się z niecierpliwości. Zostało im już tak niewiele! Tsing mówił prawdę - znajdowali się pod samą bazą.

Jeden po drugim napełniali koszyki ziemią. Stojący z tyłu wynosili je i przynosili puste, pozostali zajmowali się umacnianiem ścian tunelu drewnem, bowiem tunel musiał być na tyle szeroki, by mogli zabrać ze sobą długą broń.

Gdy zaczęli kopać pionowy szyb - bezpośrednie wejście do bazy, zwolnili tempo. Pracowali teraz bardzo cicho nie chcąc, by jakiś nieostrożny ruch zdradził komuś na powierzchni ich zamiary.

Quang odpoczywał przy wejściu do tunelu, gdy usłyszał dźwięk przypominający ptasi świergot. Nasłuchiwał przez moment, potem sięgnął po karabin wsparty nie opodal o pień balsy. Wcześniej rozstawił czterech ludzi na straży wokół wejścia. Ich pozycje, ukryte w zaroślach, tworzyły rogi kwadratu, tak by wejście do tunelu znajdowało się mniej więcej w środku figury. Poświstywanie, które usłyszał, było ostrzeżeniem od jednego ze strażników, stojącego na północny wschód od Quanga - w kierunku przeciwnym od światła Lai Khe.

Usłyszał lekki szelest gałęzi i delikatne kroki, które po chwili ustały. Jakiś głos wyszeptał:

- Jestem porucznik Xong. Czy jest kapitan Quang?

Quang odsunął latarkę tak daleko, jak potrafił od swego ciała. Mrugnął nią przez chwilę, by poinformować nadchodzącego, gdzie jest.

- To ja, poruczniku.

Xong stanął obok Quanga, który dopiero teraz mógł zauważyć wąską twarz wieńczącą ciało ubrane po cywilnemu. Mimo masywnej sylwetki mężczyzna sprawiał wrażenie mięczaka i chyba dlatego Quang nigdy go nie lubił.

- Kapitanie Quang, bardzo mi przykro z powodu syna i ludzi - powiedział Xong nieco sepleniąc.

- Przejdźmy do rzeczy - odparł twardo Quang.

Xong wyszedł z bazy i zatoczył olbrzymie koło, by upewnić się, że nikt go nie śledzi. Był dowódcą tajnej komórki współpracującej z Wietkongiem, której członkowie rekrutowali się z żołnierzy południowowietnamskich. Niektórzy z nich mieli bezpośredni dostęp do części bazy zajmowanej przez Amerykanów i mogli wykraść amunicję i sprzęt prawie pod nosem dowództwa Pierwszej Dywizji. Wiadomość, którą przyniósł porucznik, pochodziła z takiego właśnie źródła.

- Schwytali porucznika Phama - odparł Xong. - To on wyśpiewał wszystko o tunelach.

- Możemy się cieszyć, że nie wiedział o tym - skomentował Quang. - Co z nim zrobili?

Quangowi wydawało się, że dostrzega cień uśmiechu na pomarszczonej, wąskiej twarzy porucznika.

- Będzie w areszcie, a jutro rano zabierają go do Sajgonu na dalsze przesłuchania.

- Musi zapłacić za to, co zrobił, nim opuści Lai Khe.

- Zajmę się tym - zapewnił go Xong. - Porucznik Pham nie wyjedzie żywy z Lai Khe.

- Dziś wieczorem skończymy podkop - powiedział Quang. - Będziemy się trzymać planów Tsinga i zaatakujemy bazę jutro w nocy.

- Pomogę wam, jak tylko potrafię, panie kapitanie.

- Nie powinieneś otwarcie zdradzać swych sympatii - ostrzegł go Quang. - Nie tylko postawiłbyś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, ale mógłbyś się stać cennym źródłem informacji dla wroga.

- Amerykanie zaczęli podejmować kroki w celu zastopowania przecieków. Podejrzewają, że w szeregach wietnamskich jest szpieg. Major Van Dow polecił mi zająć się tą sprawą.

- Będziesz więc w idealnej pozycji, żeby przeciągać sprawę, a może nawet znajdziesz kogoś, kto odpowie za ciebie? - zastanawiał się Quang.

- Myślałem o tym samym, panie kapitanie.

Quang nagle spoważniał.

- Jest jeszcze coś, o czym muszę wiedzieć. I ty możesz mi to powiedzieć.

Xong skinął głową.

- Nazwisko człowieka, który zniszczył tunele, odpowiedzialnego za śmierć Tsinga.

Wiesz, kto to?

- Tak.

- Nie przekomarzaj się ze mną! - głos Quanga stał się twardy jak stal. - Jesteś lojalnym współpracownikiem Ludowej Armii Wietnamu, ale nic, powtarzam, nic nie odwiedzie mnie od zamiaru pomszczenia mojego syna.

- Nie przekomarzam się, panie kapitanie. Chciałbym tylko, żeby pan pamiętał o usługach, jakie oddałem, kiedy wojna się skończy. Przepędzimy Amerykanów, obalimy rząd Południowców. Zwycięzimy, a pan będzie miał wielką władzę. Czy wtedy mogę liczyć na pana wdzięczność za usługi, jakie teraz wyświadczam?

- Powiedz, co wiesz - głos Quanga był lodowaty.

- Człowiek, który pana interesuje nazywa się Scott Gaines i jest porucznikiem - powiedział Xong. - Został przydzielony do Pierwszej Dywizji Piechoty w Lai Khe.

- Jeden ze Szczurów - Quang wypuł te słowa jak najgorsze przekleństwo.

- Mogę panu powiedzieć coś więcej - zaofiarował się Xong.

- Powiedz.

- Wiem, gdzie porucznik Gaines będzie dziś wieczorem.

- Mów!

Xong odbył już wiele spotkań z kapitanem, lecz po raz pierwszy dostrzegł u niego coś, co przypominało poruszenie.

- Jeden z moich ludzi podsłuchał, jak Gaines rozmawiał z bazy przez telefon i rezerwował stolik w restauracji w Sajgonie dla dwóch osób. Na dziś wieczór.

- Więc nie ma czasu do stracenia - przerwał Quang. - Powinieneś mi o tym powiedzieć wcześniej. Teraz chcę znać szczegóły. Muszę wydać rozkazy.

- Co pan chce zrobić, kapitanie?

- Powiedziałem, że chcę znać szczegóły, poruczniku. Wyślę do Sajgonu naszych najlepszych strzelców. Porucznik Gaines i ktokolwiek się z nim umówił, zginą w restauracji.

Gaines i Ann zgodnie z planem pojechali do Sajgonu. Gaines, w świeżo wyprasowanych spodniach, czuł się znacznie lepiej.

Ann ubrała się zupełnie po cywilnemu - w dzinsową spódnicę i czerwoną bluzkę, która prócz tego, że była bardzo elegancka, podkreślała jej powabne kształty.

Wieczór rozpoczęli od spaceru aleją Nguyen-Hue, słynną z egzotycznych kwiatów.

Ludność stolicy Południowego Wietnamu, leżącej nad sześćdziesięciokilometrową zatoką, która łączyła port z Oceanem Spokojnym, rozrosła się podczas wojny do pięciu milionów.

Gaines chciał kupić Ann wszystkie kwiaty na ulicy, lecz ona zgodziła się tylko na jedną różę.

Zatrzymali riksę, podali prowadzącemu adres restauracji i usiedli. Zdążali po Duong Tu-Do - ulicy Wolności, głównej ulicy Sajgonu, która miała kształt szerokiego bulwaru prowadzącego z portu wprost do katedry.

Nowoczesne biurowce przygłniały swym ogromem domy starszej daty. Wszędzie tętniło życie, ulice pełne były samochodów, riks i rowerów. Sprzedawcy tłoczyli się jeden na drugim, głośno zachwalając swój towar, a grupy mężczyzn oddawały się grom hazardowym siedząc na chodniku.

Kobiety wietnamskie uchodziły za najpiękniejsze na Dalekim Wschodzie. Te godne szacunku ubierały się w kolorowe suknie przypominające kimona, zaś wszędybylskie prostytutki wystawiały na pokaz swe atuty polecając usługi każdemu amerykańskiemu mężczyźnie w zasięgu wzroku. Z wyjątkiem Gainesa, któremu druga dama do towarzystwa nie była potrzebna.

Już po raz trzeci Gaines i Ann wybrali „Chez Louis”, elegancką pozostałość po czasach francuskiego kolonializmu. Nie było tam taniej niż w innych restauracjach, które jak grzyby po deszczu powyrastały w mieście, lecz jedzenie podawano znakomite. Nawet jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że Gaines nie zaliczał się do znawców francuskiej sztuki kulinarnej.

Mieściła się w małym, niskim budynku, wciśniętym pomiędzy hinduski sklep z żywnością a chiński bazar, gdzie można było kupić wszystko, począwszy od ubrań, a skończywszy na klejnotach i suszonych rybach.

Zjedli duszoną wołowinę w sosie, rozmawiając o wszystkim: przeczytanych książkach, wspomnieniach z domu i tym, co przydarzyło im się do tej pory, unikali jednak jak ognia wojny i spraw z nią związanych. Należała im się przecież chwila ucieczki od piekła Lai Khe i brudnej wojny w dżungli, która wydawała się im teraz odległa o tysiące kilometrów.

Gdy skończyli deser i delektowali się podanym alkoholem, Ann poruszyła temat, o którym już dawno mieli poważnie porozmawiać.

Gaines nie pił zbyt wiele, przeciętnie trzy piwa w dniu wolnym, ale nic więcej. Czuł się dobrze po smakowitym obiedzie, naprawdę odprężony, lecz nie na tyle, by zupełnie zapomnieć o tym, gdzie są. Był tak samo czujny jak w dżungli na najmniejszy choćby sygnał zagrożenia, który lada chwila mógł się objawić spoza szumu rozmów.

Zdawał sobie sprawę, że wojna nie kończyła się w dżungli, że ludzka dżungla w mieście była tak samo niebezpieczna jak prawdziwa.

Tak czy owak dobrze wiedział, o czym mówi Ann, bo sam o tym wiele myślał. Dość dawno jednak nie myślał w taki sposób o żadnej kobiecie, może kiedyś dawniej, nim poszedł do wojska.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, poruczniku Gaines, że spędziliśmy wieczór rozmawiając o wszystkich rzeczach pod słońcem, ale nie zamieniliśmy ani słowa o nas?

Gaines spojrział na zegarek.

- Lepiej się pospieszmy, jak mamy złapać autobus do bazy.

Uśmiechnęła się i westchnęła przesadnie.

- Wiedziałam, że będziesz żartował, kiedy zacznę o tym mówić - położyła swe ciepłe, miękkie palce na jego twardej, posiniaczonej dłoni. - Kiedy zacznę mówić o nas.

Uśmiechnął się do niej. Podobała mu się, kto wie, może nawet coś więcej?

- Więc to tak wygląda? Czy mam rozumieć, że pozwolimy rozwinąć się temu, co jest między nami i zobaczymy, co z tego wyniknie?

- Nie wiem. A ty co o tym sądzisz?

- Pamiętaj, że to ty zaczęłaś - zażartował.

- Wszyscy, którzy nas znają, myślą, że śpimy razem - zauważyła.

- Z wyjątkiem tych, co nas znają naprawdę - poprawił ją. - Wiedzą, że po prostu jesteśmy przyjaciółmi. Ale wiem, co masz na myśli, Ann. Ja też wiele o nas myślałem.

- A to dopiero. Zastanawiałam się, czy ci to w ogóle przyjdzie do głowy.

- Dlaczego nie? - powiedział. - Cieszę się, że staliśmy się sobie bliscy, ale nie bardzo wiem, co z tym zrobić, biorąc pod uwagę okoliczności. Lai Khe to nie pierwsza lepsza ulica w domu.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

- Moglibyśmy być kimś więcej niż przyjaciółmi. - odpowiedziała nie cofając dłoni.

- Jest ta cholerna wojna. Sam nie wiem, Ann. Nie jestem pewien, czy dobrze byłoby zacząć myśleć o sobie poważnie, a potem stracić się, kiedy nadejdzie czas złapać kulkę.

- Na wszystko jest czas i miejsce - skinęła głową nie spuszczając wzroku.

- Może masz rację.

- A może potrzebujemy się nawzajem? Scott, mężczyzna i kobieta potrzebują siebie nawzajem, by móc odczuwać coś więcej niż strach i ból. Teraz bardzo trudno o coś prawdziwego.

- Wiesz przecież, że nie o to chodzi, że cię nie chcę - wtrącił Gaines.

- Miło mi to słyszeć - rzuciła na poły ironicznie.

- Zobaczysz, jak na mnie działasz, kiedy nie będę się mógł pohamować, uwierz mi.

Jej oczy błysnęły i uśmiechnęła się.

- Nie mam wątpliwości. Miło z twojej strony, że przyznałeś, że będzie kiedyś pierwszy raz.

Gaines poczuł, jak fala gorąca obejmuje mu twarz, i miał cichą nadzieję, że się nie zaczerwienił. Nie można powiedzieć, że był nieśmiały w stosunku do dziewcząt, wręcz przeciwnie, nigdy nie miał kłopotów z umówieniem się na randkę. Ale to były dawne czasy. Teraz nagle przyszło mu do głowy, że coraz bardziej zapomina, jak ludzie zachowują się normalnie, w czasie pokoju. Jeżeli uda mu się przeżyć wojnę, może mieć kłopoty z zaaklimatyzowaniem się w normalnym życiu.

- Nic nie przyznawałem - zaprzeczył - chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że pomysł ten pociąga za sobą daleko idące konsekwencje.

- Konsekwencje - uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Za dużo myślisz. W sprawach serca logika ma niewiele do powiedzenia.

Po raz drugi spojrział na zegarek uważając, by nie stracić jej dłoni ze swojej.

- W tym przypadku możesz mieć rację - powiedział. - W takim razie dajemy sobie spokój z autobusem do bazy. Nieobecność bez usprawiedliwienia.

- Już dobrze, ty mój służbisto - zgodziła się - ale jest też inne powiedzenie, brzemiennie w konsekwencje: ciesz się, póki możesz. Z nikim nie czułam się tak dobrze jak z tobą, nawet w domu, Scott. Nie darowałabym sobie nigdy wiedząc, że przeszliśmy obok siebie, zauważyliśmy się i nic z tego nie wynikło. Widzisz? Nie ma w tym żadnej logiki.

- Babskie gadanie - powiedział. - Konsekwencje konsekwencjami, ale ja mówię poważnie z tym autobusem, siostró Bradley. Lepiej się pospieszmy.

7

Vo Tran zostawił swych kolegów Chinha i Tho w rozlatującym się Citroenie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy od wejścia do „Chez Louis” i przeciskał się w stronę restauracji przez gęstwinę nawet o tak późnej porze tłoczących się ludzi i pojazdów.

W lepszych dzielnicach ruch kończył się z chwilą, gdy Amerykanie zaczęli wracać do swoich baz, lecz dzielnice rozrywki tętniły życiem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tran szedł chodnikiem po przeciwległej stronie. Miał zamiar wejść do restauracji przez tylne drzwi, od ślepego zaułka między dwoma budynkami. Gdy znalazł się w bezpiecznym miejscu pospieszył do drzwi kuchennych, spod których doszedł go zapach gotowanych potraw zmieszany z odorem rozkładających się odpadków.

Miał nadzieję, że nie jest za późno.

Wiadomość przyszła bezpośrednio od dowódcy zgrupowania, który otrzymał ją od samego kapitana Quanga. Tran miał za zadanie sformować grupę uderzeniową.

Z Chinhem i Tho pracował już kilkakrotnie, mimo że miał dopiero dziewiętnaście lat, o rok więcej niż jego koledzy. Jego własny gang uliczny wzbudzał postrach wśród innych młodocianych gangów, złożonych głównie z osób, którym nie uśmiechało się chodzić do szkoły czy zostać wcielonym do wojska. Na życie zarabiali wymuszaniem okupu od drobnych sklepikarzy, mordując właścicieli lub paląc ich dobytek, gdy natrafiali na opór. Nieźle zarabiali też na sprzedaży narkotyków prostytutkom i ich klientom w dzielnicy Cholon, o którą toczyły się bezustanne walki gangów. Jednak spryt i brutalność Vo Trana i jego ludzi zapewniła im niezły udział w nielegalnym procederze.

Sajgońska policja miała ręce zajęte poważniejszymi przestępstwami, zwykle z udziałem lokalnych komórek komunistów i nie zwracała szczególnej uwagi na poczynania gangów, często nie zdając sobie sprawy, jak bliskie powiązania łączyły jedne i drugie.

Tran często wynajmował usługi własne i gangu Ludowej Armii z Północy, do której należał. Był na tyle bystry, żeby zdać sobie sprawę, że znacznie więcej można było osiągnąć znalazłszy się we właściwym czasie po właściwej stronie, dlatego nie odmawiał żadnych usług Wietkongowi. Tak jak dzisiaj wieczorem.

Stanął pod drzwiami i ostrożnie zajrzał do środka. Kuchnia była duża, jasno

oświetlona i pełna ludzi. Na pierwszym planie znajdowało się dwóch mężczyzn zmywających naczynia, z rękami po łokcie w mydlinach. Za nimi kucharze przygotowywali posiłki na długich stołach, zaś pomiędzy nimi krążyli zgrabnie ubrani we fraki kelnerzy, wchodząc i wychodząc wahadłowymi drzwiami.

Tran dysponował tylko pobieżnym opisem mężczyzny i kobiety, którzy byli celem ich dzisiejszego ataku. Nie mógł się zdecydować, czy zacząć działać, czy jeszcze poczekać.

W tej chwili chłopiec do posług otworzył drzwi do kuchni i popychając przed sobą wózek z naczyniami zatrzymał się obok zlewu.

- Hej, ty - szepnął Tran.

Chłopak usłyszał i podszedł do drzwi patrząc ciekawie na Trana.

- Idź stąd. Nic tu nie dostaniesz. Wszystko zabierają do domu kucharze i kelnerzy.

Odwrócił się, by odejść.

- Nie o to mi chodzi - Tran zawołał go z powrotem. - Przed restauracją mam riksę. Dał mi trochę forsy i powiedział, żebym tu na niego czekał, ale siedzi tu już dość długo ze swoją dziewczyną i...

- Aha, o to ci chodzi. Idź stąd, zanim mnie nie wpakujesz w jakieś kłopoty.

Tran podał mu donga.

- Dobrze mi zapłaci, jeśli jeszcze jest w środku, ale Amerykanie parę razy mnie oszukali. Chcę tylko wiedzieć, czy jest w środku.

Tran podał mu krótki opis dwojga.

Chłopak uchylił drzwi, ale tylko na tyle, by móc wyrwać pieniądze z dłoni Trana.

- Są, ale wygląda, jakby się już zbierali do wyjścia.

Tran rzucił się w ciemność zaułka wracając do Citroëna.

Tho i Chinh mieli zabić Amerykanina, zaś Tran nie musiał im płacić w gotówce. Robili to za narkotyki, jak wielu członków gangu. Głupcy, pomyślał Tran. Marnie zginą.

Amerykanin nie mógł wyjść żywy z restauracji. Był jeszcze czas. Rozkaz zostanie wykonany.

Porucznik Xong podniósł oczy znad papierów na biurku i zobaczył, jak dwóch żołnierzy wprowadza do środka przyczepę, która służyła Xongowi i majorowi Dow za miejsce pracy, jeńca z Wietkongu - Phama. Ten ostatni wyglądał na wystraszonego, zmęczonego i zdezorientowanego.

- Rano mają mnie zabrać do Sajgonu - powiedział do Xonga. - Major Dow mówił mi, że więcej nie będę przesłuchiwany. Gdzie on jest?

- O tej porze major nie urzęduje - zgasił go Xong.

Oczy Phama otwarły się szeroko ze strachu.

- O co tu chodzi?

- Major Dow polecił mi przesłuchać cię jeszcze raz w związku z kilkoma istotnymi szczegółami w sprawie operacji kapitana Quanga.

- Ale major Dow powiedział...

- Major Dow zmienił zdanie. Nie zajmie nam to dużo czasu. Rankiem nie będzie cię tutaj. Nie bój się.

- Czego ode mnie chcecie?

Xong wstał zza biurka i podszedł do przodu. Kazał żołnierzom wyjść i dopilnować, by nikt mu nie przeszkadzał.

Strażnicy kiwnęli głowami, odwrócili się i wyszli.

Strach w oczach Phama przerodził się w panikę.

Jak tylko strażnicy zamknęli za sobą drzwi, Xong odpiął kaburę i zasunął drzwi na zasuwę. Wyjął pistolet.

Pham zaczął coś mówić, jakby chcąc prosić o litość, lecz nie udało mu się nawet zacząć. Xong uderzył go mocno w skroń kolbą pistoletu. Pham upadł na podłogę i skulił się.

Xong nie tracił czasu. Schował pistolet do kabury. Podszedł do biurka i wyjął z szuflady kajdanki, zwój taśmy klejącej i nożyczki. Wrócił do Phama i skuł mu ręce za plecami, potem uciął kawałek taśmy i zakleił mu nią usta. Trzymała mocno. Trochę dłuższym kawałkiem unieruchomił mu nogi.

Potem odwiązał sznur, którym Pham podtrzymywał spodnie w pasie i sporządziwszy pętlę założył mu ją na szyję. Schylił się, podniósł Phama na nogi. Gwałtownym pchnięciem przesunął go pod ścianę, koło biurka.

Pham otworzył oczy. Z początku nie wiedział, co się dzieje, lecz za moment oczy nieomal wyszły mu z orbit, kiedy zdał sobie sprawę, w jakiej jest sytuacji. Desperacko próbował się wyrwać, ale nie był w stanie przeszkodzić Xongowi w tym, co robił.

Ze ściany nad głową Phama wystawał hak, na którym wieszano oświetlenie przyczepy. Xong chwycił Phama za gardło żelaznym uściskiem, przydusił do ściany i zaczął podnosić, ciągnąc równocześnie za sznur, który przewlókł wcześniej przez hak. Puścił Phama i ciągnął za sznur zapierając się nogą o ścianę. Czekał, aż Pham się udusi, co zajęło jakieś trzy minuty.

Kiedy ciało przestało się rzucać, a smród odchodów wypełnił pomieszczenie, Xong nie miał wątpliwości. Spodnie opadły na dół. Nie był to miły widok.

Metodycznie Xong kontynuował wykonanie zadania. Przywiązał wolny koniec sznura do haka na ścianie, ściągnął taśmę z ust trupa, uwolnił mu nogi i rozpiął kajdanki. Zwinął zużytą taśmę i wrzucił do kosza na śmieci.

Odsunął się na krok krytycznie przyglądając swemu dziełu. Popęłnił jeden błąd.

Wziął krzesło z za swego biurka i położył na boku pod wiszącym ciałem Phama. Teraz wszystko powinno być w porządku. Pham stanął na krześle, przywiązał sznur do ściany, założył pętlę na szyję i kopnął krzesło.

Zadowolony, Xong zatarł ręce, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Strażnicy stanęli na baczność na jego widok.

- Idę do kuchni coś przegryźć - oznajmił. - Jeniec czyta właśnie swoje zeznania. Nie pozwólcie nikomu wejść do środka. Jak nie wrócę za dziesięć minut, sprawdźcie, co się dzieje. Zaraz będę z powrotem.

- Tak jest - odpowiedzieli równocześnie strażnicy.

Nie widzieli uśmiechu porucznika.

Ann zobaczyła ich pierwsza. Gaines stał przy kasie płacąc rachunek, przez chwilę nie zwracając uwagi na to, co się dzieje. Pociągnęła go mocno za rękaw w momencie, gdy kobieta za ladą wydawała mu resztę. Odwrócił się i spoglądając w ślad za jej wzrokiem dostrzegł dwóch mężczyzn, w których natychmiast rozpoznał ulicznych bandytów.

„Chez Louis” nie pasowało do nich.

Zeszli po trzech wyłożonych dywanem stopniach do środka i skierowali się do kasy. Po kilku krokach rozdzielili się. Mimo iż wieczór był gorący, obaj ubrani byli w skórzane kurtki, pod którymi, jak domyślał się Gaines, mieli broń.

Gaines bardzo niedelikatnie popchnął Ann w plecy prosto na parę czekającą na swoją kolejkę i wszyscy troje upadli na ziemię.

Część jego umysłu pracowała na przyspieszonych obrotach zastanawiając się nad tym, co powinien zrobić i jakie ma szanse, zanim ci nie podziurawią go jak sito.

Chłopcy wyglądali na szybkich, chyba nawet byli na haju, ale mieli przecież do czynienia z człowiekiem, który przeżył w dżungli najbardziej niesamowite i niebezpieczne sytuacje. Wydawało mu się, że spędził w niej całe życie.

Rzucił się z nienacką w stronę tego, który stał najbliżej, nim ten zdążył wycelować w niego broń. Chłopcy nie spodziewali się, myślał Gaines, że nieuzbrojony facet ni z tego ni z owego zaatakuje.

Do drugiego nie dotarło jeszcze, co Gaines zamierza zrobić, gdy ten siłą rozpędu

walnął w swą ofiarę. Wyprostował prawą rękę wytrącając pistolet z dłoni tamtego, a potężnym ciosem drugiej zwałił go z nóg, nie spuszczając z oka pistoletu. Dał nura po niego, w chwili gdy drugi chłopak zaczął strzelać.

Krzyki ludzi wypełniły całą salę i wszyscy nagle zaczęli szukać schronienia pod stołami lub za co solidniejszymi meblami.

Gaines przewrócił się na bok mierząc do napastnika, gdy ten składał się do następnego strzału. Amerykanin bez namysłu wystrzelił trzy pociski, które utkwily blisko siebie w sercu chłopaka. Z ran wylotowych poleciały kawałki wnętrzości i strumienie krwi. Siła wystrzału rzuciła go na elegancką tapetę, na której krew pozostawiła ślady, jakby surrealistyczny obraz. Chłopak nie żył, zanim upadł na ziemię.

Gaines powoli podnosił się z podłogi.

Ostrzegł go krzyk Ann.

- Scott, za tobą!

Gaines odwrócił się w mgnieniu oka w stronę, gdzie powinien był leżeć pierwszy z napastników, lecz ten, wrzeszcząc przeraźliwie, właśnie zmierzał w jego kierunku z nożem w dłoni, który wcześniej porwał z jednego ze stołów.

Gaines wepchnął mu krzyk z powrotem do gardła jednym celnym strzałem, który wyrwał cały tył czaszki strumieniem mózgu i krwi.

W restauracji zaległa grobowa cisza. Ludzie zastygli w bezruchu, wstrząśnięci tym, czego przed chwilą doświadczyli.

Ann zbliżyła się do Gainesa.

- Scott, nic ci nie jest?

- Zupełnie nic, a tobie?

- Cała ścierpłam ze strachu!

- Dwa razy uratowałaś mi życie. Cholera, tak jeszcze nigdy nie dałem się podejść. Nie powinienem tyle pić. Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Zaraz wracam, Ann. Zaczekaj na mnie.

W restauracji powoli zaczęły rozlegać się głosy ludzi, niektórzy zaczęli nawet, z pewnym opóźnieniem, histerycznie krzyczeć.

- Gdzie idziesz? - zawołała za nim.

- Na pewno gdzieś czeka na nich kierowca - rzucił Gaines przez ramię. - Muszę się dowiedzieć, kto ich wysłał i co to za jedni.

Z pistoletem w dłoni zniknął w ogarniętym nocą Sajgonie.

Vo Tran, siedzący za kierownicą citroena zaparkowanego naprzeciw restauracji, usłyszał stłumione wystrzały, lecz w natłoku różnych odgłosów równie dobrze mogły to być ognie sztuczne puszczane przez rozbawioną kompanię w którymś z barów wzdłuż Duong Tu-Do.

Tran wiedział, co to za dźwięk. Czekał z włączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Odbezpieczony karabin thompsona położył na kolanach i czekał. Wyteżył wzrok czekając na Tho i Chinha, którzy lada chwila powinni wybiec z „Chez Louis”, a wtedy on podjedzie szybko po nich i zawiezie w bezpieczne miejsce.

Coś się musiało stać, zdecydował. Czekał chyba trochę za długo, więc włączył światła i ruszył.

Wtedy zauważył Gainesa. Przyspieszył, trzymając lewą ręką kierownicę, a prawą położył na spuście Thompsona.

Gaines stał w cieniu, obok wejścia do restauracji, trzymając w dłoni pistolet. Rozglądął się w lewo, potem w prawo. Właśnie w tym momencie citroen zbliżył się do krawężnika roztrącając pieszych i rowerzystów, którzy posyłali za samochodem wiązki przekleństw.

Tran czuł, że pistolet Gainesa musiał pochodzić od Tho albo od Chinha i że obaj z pewnością nie żyli. Wychylił się z okna samochodu mierząc z karabinu do Amerykanina i nacisnął spust.

Gaines zauważył wycelowaną w siebie lufę karabinu i natychmiast krzyknął:

- Padnij! - tak głośno jak tylko mógł po angielsku i po wietnamsku i błyskawicznie rzucił się na chodnik, nim Tran zaczął strzelać.

Niektórzy ludzie usłyszeli ostrzeżenie Gainesa i ukryli się, inni zaczęli się chować już po gradzie wystrzałów, który spadł na miejsce, gdzie przed chwilą był Gaines.

W całym zamieszaniu Tran stracił o oczu Amerykanina, lecz doskonale widział, jak kilkunastu przechodniów upadło na ziemię od kul. Potem samochód stojący przed wejściem do restauracji eksplodował nagle rozrzucając ogień i odłamki we wszystkich możliwych kierunkach.

Tran przyspieszył strzelając dalej za siebie do tyłu. Po kilku sekundach przestał, rzucił karabin na siedzenie i skupił uwagę na kierowaniu pojazdem. Za późno.

Rozległo się głucho uderzenie metalu o ludzkie ciało. Tran przycisnął pedał gazu i odrzucił je na bok. Ktokolwiek został trafiony, był tylko cieniem, plamką w kącie szyby.

Powtarzał sobie, że musiał trafić Amerykanina, ostrzelał przecież dość dokładnie chodnik przed restauracją. Szkoda tylu ludzi, szkoda Tho i Chinha, ale najważniejsze, że Amerykanin nie żył. Tran myślał teraz tylko o ucieczce. Spojrzał w lusterko i uśmiechnął się na widok dymu przed wejściem do „Chez Louis”, ale za moment kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i coś, co wydawało mu się sylwetką człowieka.

Był prawie pewien, że widzi porucznika Scotta Gainesa, który stanął na środku ulicy, podniósł obie ręce i celował.

Tran wrócił wzrokiem przed siebie szukając najbliższego zakrętu, za którym mógłby się schować. Nie dam rady! pomyślał.

Huk wystrzału nie dotarł do jego uszu. Przedziurawiona opona sprawiła, że stracił panowanie nad samochodem, który jechał teraz sobie tylko wiadomym torem. Tran desperacko próbował zahamować, lecz samochód wpadł w poślizg i przewrócił się wlokąc za sobą warkocz iskier, nim zatrzymał się z hukiem i trzaskiem na jakiejś przeszkodzie.

Tran odzyskał przytomność leżąc w dziwnie skulonej pozycji. Czuł na twarzy jakąś ciepłą, mokrą substancję. Nic go nie bolało, ale był w szoku. Ból przyjdzie później.

Uciekać.

W tej samej chwili poczuł zapach benzyny. Przerażony próbował się wydostać z leżącego na boku auta.

Gaines! pomyślał. Nie może mnie tu znaleźć!

Benzyna z przedziurawionego zbiornika przedostała się na gorący, przegrzany silnik. Vo Tran nie słyszał wybuchu, który zakończył jego życie.

Policja sajgońska i wojskowa połączonych sił zbrojnych zabrały się za przesłuchiwanie świadków strzelaniny w „Chez Louis” tak gorliwie, że nim wszystko zostało wyjaśnione, było już dobrze po północy. Na szczęście nikt z gości nie odniósł obrażeń, jednak na zewnątrz dziewięć osób poniosło śmierć: cztery kobiety, trzech mężczyzn i dwoje dzieci. Stróże prawa doszli do wniosku, że był to jeszcze jeden przypadkowy atak terrorystyczny na amerykańskiego żołnierza. Podobne zdarzały się w Sajgonie dosyć często.

Gaines nie był przekonany co do tej przypadkowości, ale postanowił się nie odzywać. Miał wrażenie, że policjantom było na rękę wyeliminowanie z gry trzech przeciwników. Z rozmów między policjantami wywnioskował, że zabici przez niego młodzi ludzie byli członkami jednego z ulicznych gangów.

Po wszystkim Gaines i Ann odwiezieni zostali do bazy wojskowym helikopterem.

Siedzieli obok siebie na ławce przyspawanej do kadłuba w ciemnym wnętrzu maszyny, rozjaśnianym jedynie bladym migotaniem kolorowych lampek w przedziale pilota. Ann wzięła go za rękę.

Gaines nie miał nic przeciwko temu. Trzymali się tak jak uczniowie na pierwszej randce, pomyślał. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Następnego rana spotkanie w bunkrze kapitana Cartera nie odbywało się już w tak przyjaznej atmosferze jak relacja z udanego wysadzenia tuneli Wietkongu. Obecni byli Carter, Gaines i jego drużyna wraz z Bok Van Thu, major Dow i porucznik Xong, którego major Dow nazwał kiedyś swoim najlepszym człowiekiem, jak pamiętał Gaines.

Po przedstawieniu Xonga major Dow posłał Gainesowi krzywy półuśmiech.

- Cieszę się, że poradził pan sobie tak dobrze z napastnikami w Sajgonie, panie poruczniku. Miał pan szczęście.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy - wtrącił Hidalgo.

- Kłopot w tym, że straciliśmy wszelkie ślady, które mogłyby nas naprowadzić na to, kto nasłał na mnie tych chłopaków - powiedział Gaines. - Ale bardziej interesuje mnie ten wasz Pham. Porozmawiajmy o nim.

- Powiedziałem porucznikowi Gainesowi i jego ludziom, o tym jak Pham powiesił się wczoraj wieczorem - wyjaśnił Carter.

- Szkoda - Dow skinął głową, potem lekko wzruszył ramionami. - W Sajgonie nie traktują jeńców zbyt łagodnie, nawet tych, co chcą współpracować, jak Pham. Musiał sobie z tego zdawać sprawę, bo powiedział o tym porucznikowi Xongowi.

Gaines spojrzał na Xonga.

- Został sam?

- Wydawało mi się, że jest bezpieczny - odparł Xong unikając wzroku Gainesa. - Nie było mnie tylko przez dwadzieścia parę minut. To wszystko moja wina, powinienem był przewidzieć, że w jego stanie może się nawet targnąć na swoje życie.

- Czy właśnie to miał pan wczoraj na myśli mówiąc o ataku odwetowym Wietkongu?
- spytał DeLuca.

Dow zaprzeczył.

- Strażnicy stali cały czas przy wejściu, kiedy porucznik Xong wyszedł. Ufam im.

Hidalgo nie robił tajemnicy z tego, co sądził o Xongu.

- Jest pan pewien, że na to zasługują?

Xong wbił oczy w podłogę bunkra i udał, że nie słyszy.

- Wystarczy - Gaines zwrócił uwagę Hidalgo. Potem zwrócił się do majora: - Pamiętam, że mówił pan coś o oddelegowaniu porucznika Xonga do rozpracowania sprawy kradzieży amunicji. Podejrzewaliśmy o to szpiegów.

- Poruczniku Xong - Dow przynaglił oficera.

Tym razem Xong spojrział w oczy Gainesa.

- Przykro mi, ale do tej pory nie mamy żadnych śladów.

- Mam przecucie, że te kradzieże są tylko częścią czegoś większego - powiedział Gaines - i jak nie zareagujemy odpowiednio, może się stać coś znacznie poważniejszego.

- Proszę mi wierzyć, nie zasypiamy gruszek w popiele - zaprotestował Dow. - Porucznik Xong podczas śledztwa dowiedział się czegoś bardzo ciekawego.

- Wśród chłopów krążą plotki, że kapitanowi Quangowi w jakiś sposób udało się przeżyć, lecz stracił większość ludzi, w tym swojego syna.

- Czy to wszystko, co mamy? - zapytał Gaines. - Garść plotek?

- Byłbym skłonny się założyć, że to prawda - powiedział Dow.

- Więc poprowadźcie śledztwo w tym kierunku - zaproponował Carter. - Wszyscy wiedzą, że komuniści mają w Armii Południowego Wietnamu mnóstwo sympatyków.

- Nikt z moich ludzi do nich nie należy, mogę pana zapewnić - wzburzył się Dow. - Ale poruszmy niebo i ziemię. Chodźmy, poruczniku. Do widzenia panom.

Kiedy obaj oficerowie wyszli z bunkra, Gaines zapytał:

- I co o tym myślisz, Thu? Ufasz im?

Przez cały czas Wietnamczyk stał w kącie, lecz Gaines wiedział, że nie uronił ani słowa z rozmowy.

- Nie ufam im. Co do majora nie jestem pewien, ale porucznik Xong z pewnością nie jest po naszej stronie.

- I tak ma wyglądać narodowa solidarność? - zażartował DeLuca.

Hidalgo przyznał Thu rację.

- Ten skurwiel Xong jest śliski jak piskorz.

Carter wstał drapiąc się w brodę z namysłem i patrzył w stronę wyjścia z bunkra.

- Jest wielu żołnierzy w armii wietnamskiej, którzy są naprawdę po naszej stronie, ale nie jestem pewien, czy ci dwaj do nich należą. Powiem naszym ludziom, żeby się im lepiej przyjrzeni.

- Na razie więcej nie da się zrobić - powiedział niezadowolony Gaines. - Thu, wydaje mi się, że dobrze byś zrobił jadąc do Sajgonu. Spróbowałbyś się tam czegoś dowiedzieć.

- Zgoda.

- Tylko uważaj, żeby ci nie dali w dupę - mruknął Hidalgo. - Jak ciebie zabraknie, znowu każą mi chodzić po norach.

- Masz stracha, co? - odparł Thu z uśmiechem. - Poruczniku, czy mam się też wywiedzieć o napad w restauracji wczoraj wieczorem?

Gaines przytaknął.

- I spróbuj sprawdzić te plotki o kapitanie Quangu.

DeLuca zmarszczył brwi.

- Myślicie, że Quang maczał palce w zamachu na porucznika i Ann?

- Jeżeli uszedł z życiem i stracił syna, to rzeczywiście ma powód, żeby zemścić się na nim za wszelką cenę - zauważył Carter.

- Od samego początku nie wydawało mi się, żeby to był przypadek - Gaines powiedział wreszcie to, co miał na sercu. - Zbyt dobrze mieli wszystko zaplanowane. Wiedzieli dokładnie, gdzie mnie znaleźć i nie tracili czasu na nic.

Carter pokręcił głową.

- To znaczy, że nasz szpieg przekazał im wiadomość.

- Jeżeli Quang żyje... - zaczął Thu. - Kiedy taki człowiek poprzysięgnie komuś zemstę, walka będzie na śmierć i życie.

- Mnie to nie przeszkadza. - mruknął Gaines. - Sprawdź tylko kilku ze swoich najlepszych informatorów, dowiedz się wszystkiego najszybciej jak można i wracaj tu cały i zdrowy przed zmierzchem. My zajmiemy się resztą.

Większość okolicznych mieszkańców sądziła, że magazyny na starej plantacji kauczuku są niezamieszkałe. Quang pocił się właśnie w jednej z takich budowli, otoczony odorem rozkładającej się roślinności. Cały oddział, liczący dziewięć osób, w tym dwie kobiety, przybył tu w pojedynkę, by nie zwracać na siebie uwagi. Ich dowódcą był młody chłopak, Vien.

Quang zwolnił kopaczy z samego rana, gdy dżungla tonęła jeszcze w porannej mgle. Zrobili to, co do nich należało. Dla sprawy oddali swój czas i wysiłek.

Ale ci, pomyślał Quang, poświęciliby dla niej nawet swe życie. Poznał to po ich zdecydowanych ruchach, błyszczących oczach i radości, z jaką przygotowywali się do walki. Szli zabijać.

W nocy Quang otrzymał meldunek o nieudanej próbie zabicia Scotta Gainesa i udanym rozwiązaniu sprawy porucznika Phama.

Quang przybył na to spotkanie samotnie, ryzykując nawet kilka godzin snu na strychu. Gdy się obudził, słońce stało już wysoko. Słyszając kroki zbliżającego się do magazynu człowieka odbezpieczył pistolet.

Przez zarośnięte okna do środka przedostawało się niewiele światła, nie był więc pewien.

- Stój! - krzyknął do przybysza. - I odwróć się powoli.

Mężczyzna zrobił to, co mu powiedziano.

Quang rozpoznał Viena. Schował pistolet i zszedł doń na dół po drabinie.

Gdy nadeszli pozostali członkowie oddziału, Vien poinformował ich, że misją dowodzi kapitan Quang, po czym kazał im otworzyć skrzynie, które ludzie Quanga przynieśli w nocy.

Quang usłyszał stłumione westchnienia, gdy odbito wieka skrzyń. Oczom zdumionych żołnierzy ukazało się dziesięć karabinów AK-47 wraz z nabojami i granatami. Żołnierze wzięli tyle amunicji, ile każdy z nich mógł unieść. Uśmiechali się do siebie radośnie, co chwilę zagadując do siebie.

- Nie chciałem was zniechęcać - zaczął Quang z odrobiną sarkazmu w głosie - ale mam nadzieję, że Vien uprzedził was, jak niebezpieczne macie zadanie.

Rozmowy ucichły.

- Powiedziałem. I nie omieszkałem dodać tego, o czym dowiedziałem się wczoraj wieczorem: plan nasz jest na tyle śmiały, że dzięki zaskoczeniu możemy ponieść bardzo niewielkie straty.

- Wszystko jest w waszych rękach - rzekł Quang. - Mój syn, Tsing, wszystko dokładnie opracował, ja tylko wprowadzam jego plan w życie.

Wyjął z kieszeni złożony kawałek papieru i położył na jednej z walających się wkoło beczek.

- To jest plan bazy w Lai Khe. Amerykanie nie podejrzewają nawet, co ich czeka. Zaatakujemy wcześniej rano, ale przedtem musimy się nauczyć na pamięć mapy i wszystkich instrukcji. Naszym zadaniem jest uczynić jak najwięcej szkód w możliwie najkrótszym czasie, wyeliminować z walki ilu się da żołnierzy amerykańskich.

A jednego w szczególności, pomyślał Quang, wypowiadając te słowa. Dowie się, gdzie go znaleźć, bowiem zamierzał go zabić własnymi rękoma.

Ann Bradley i kapitan Phil Stevens wyjechali z Lai Khe o ósmej tego samego ranka. Po kilku kilometrach drogą numer 13 skręcili na zachód i dalej połą drogą skierowali się do Hoa Phu.

Dzień był bardzo gorący mimo bardzo niskiego pułapu ciężkich chmur. W oddali zagrzmiało. Deszcz jednak nie nadchodził. Wilgotność powietrza przekraczała dziewięćdziesiąt procent. Ann wiedziała, że taka pogoda mogła utrzymywać się całymi dniami.

Stevens prowadził jeepa. Brezentowy dach był postawiony, lecz jego boki były otwarte na podmuchy powietrza, które osuszały mokre od potu mundury i dawały chwilę wytchnienia od upału.

Droga prowadziła teraz dołem, pomiędzy małymi wzgórzami. Była w fatalnym stanie z powodu ostatnich opadów, więc musieli jechać wolno i ostrożnie. Stevens od czasu do czasu soczyście przeklinał, próbując omijać głębokie koleiny i dziury. Im bardziej oddalali się od głównej drogi, tym gorzej się jechało.

Ann trzymała się poręczy, by nie wypaść z samochodu. Patrzyła przed siebie w zarośla, w których mógł się czaić wróg. Po drodze minęli amerykański patrol i grupę żołnierzy, którzy urządzali sobie właśnie małą przerwę przy chacie oblepionej znakami firmowymi coca-coli i amerykańskich papierosów. W oddali dostrzegli konwój czterech ciężarówek wiozących żołnierzy.

Ann spojrzała na spoconą z wysiłku twarz Stevensa. Chciała pozostawić bez komentarza jego złość i zniecierpliwienie, lecz nie udało jej się zdusić w sobie troski, jaką napawał ją ten widok.

Stevens miał trzydzieści trzy lata, był średniego wzrostu, a jasne włosy dodawały mu chłopięcego uroku. Niestety, podkrążone oczy i odór whisky z ust wskazywały aż nazbyt wyraźnie na to, jaki tryb życia ostatnio prowadził.

- Wiem, że masz wyższy stopień ode mnie, Phil - powiedziała wreszcie - ale muszę ci powiedzieć, że wyglądasz jak ćwierć dupy zza krzaka i jedzie od ciebie jak z gorzelnii.

Zachichotał smutno.

- Ciekawe zestawienie - dupa i gorzelnia. Ale dzięki za współczucie, Ann. Jakoś to będzie. Miło, że o mnie pomyślałaś.

- Nic by się nie stało, jakbyśmy sobie dziś odpuścili wyprawę - powiedziała łagodniejszym tonem. - Jeżeli nie czujesz się dobrze...

- Nawet mi nie mów - obruszył się. - Czekają na nas ludzie, którzy pokonali wiele mil, żeby przyjść do lekarza, ludzie, którzy liczą na nas, a ja chcę im pomóc. Mam chyba trochę zszarpane nerwy.

- Myślę, że dobrze ci zrobi, jak od czasu do czasu oderwiesz się od życia w bazie, od ciągłych stresów.

Zachichotał znowu, tym razem bardziej naturalnie.

- Racja, pani porucznik Bradley. Pamiętam, że był to drugi powód, dla którego zgodziłem się na to. Byliśmy wtedy razem.

- Phil, proszę... - zaprotestowała.

Uśmiechnął się w sposób, który dawniej tak bardzo lubiła i machnął ręką.

- Nie martw się, Ann. Pasujecie do siebie ze Scottem. Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi. To się zmieniło, ale nic poza tym. Dobrze, że żadne z nas nie jest dzisiaj samo.

Przeniosła wzrok na ostatni zakręt przed podjazdem do wioski.

- Brakowało mi pana towarzystwa, kapitanie.

Po zakończeniu romansu każde z nich stawiało sobie za punkt honoru zwracać się do drugiego oficjalnym tonem. Co za dziwny świat, pomyślała po raz nie wiadomo który, odkąd przybyła do Wietnamu.

- Jesteś bardzo dobry, Phil. Nie martw się, przeżyjemy.

Miała nadzieję zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło poprzedniej nocy w Sajgonie. Scott podejrzewał, że strzelanina była częścią jakiejś większej operacji i wołał, by jak najmniej osób dowiedziało się o niej. Kapitan Carter nie chciał sponżyć winowajcy.

Po powrocie z Sajgonu zażyła valium, co pomogło jej zasnąć, lecz nie odpocząć. Teraz jednak, gdy zbliżali się do wioski, czuła przyływ nowych sił.

- Chcę, żebyś wiedziała - powiedział Stevens - że Scott według mnie jest w porządku.

- On i ja jesteśmy...

- Wiem, po prostu przyjaciółmi. Odpowiada mi to i pamiętaj, że masz mnie w odwodzie.

- Wiem, Phil. Dzięki i wzajemnie.

Wprowadził jeepa w zakręt, za którym była wioska.

- No to do roboty - powiedział.

Hoa Phu mieściła się w dolinie o łagodnych, porośniętych dzunglą zboczach, które przechodziły w skaliste szczyty. Właśnie tam Khong i jego bandyci urządzili sobie doskonały punkt obserwacyjny. Ky, jak zwykle, stał u jego boku, a za nim reszta bandy, dokonując ostatnich przeglądów broni.

Wioska składała się z kilkunastu bambusowych chat wzmocnionych gdzieniegdzie ziemią, a jej mieszkańcy byli bez wyjątku rolnikami. Uprawiali melony, grejpfruty i orzeszki ziemne. W zagrodzie, rozleniwione upałem bydło porykiwało smętnie. Zwykle w dzień targowy Hoa Phu tętniła życiem, a szeroka droga zastawiona byłaby ciasno rzędami kramów. Dzisiaj jednak byli tam tylko jej stali mieszkańcy, nawet świnie i drób chodziły wolno.

Do pozycji bandytów docierały strzępy rozmów, odgłosy zwierząt, które trudno było zidentyfikować. Całość tchnęła błogim spokojem.

Tak, pomyślał Khong, dojrzała już do zbioru, jak wczoraj powiedział Ky. Spojrzał teraz przez lornetkę w lewo, skąd wyłaniała się droga wiodąca do wsi. Pojawił się teraz na niej jeep z amerykańskimi oznaczeniami. Warkot jego silnika tłumiony był do tej pory przez gęste zarośla, lecz zabrzmiał donośnie, gdy samochód pojawił się w dolinie, dotarł do wioski i stanął. Dwoje żołnierzy w mundurach, mężczyzna i kobieta, wysiadło z samochodu. Nie byli uzbrojeni, zauważył Khong, i w samochodzie nie było widać żadnej broni. Przywitał ich starszy wsi wraz z grupą mieszkańców.

Amerykane zaczęli wyładowywać z samochodu jakieś skrzynki, w których z pewnością były lekarstwa.

Kilka sekund później granat eksplodował. Jeep w mgnieniu oka zmienił się w kupę powyginanego żelastwa - grób Hogartha i Bonhama. Zaklekotały wokół karabiny. Nie można się było pomylić - AK-47. Szyby jednego z samochodów rozprysły się pod gradem kul, które

podziurawiły siedzących w szoferce dwóch żołnierzy.

Pozostali wyskakiwali z wozów. Część z nich padała na ziemię, nim zdążyli znaleźć sobie schronienie.

- Niech cię piekło pochłonie, Bonham! - powtórzył Hines.

Usłyszał strzały z lewej strony. Odwrócił karabin, lecz nim zdążył skończyć manewr, ujrzał trzech ludzi, którzy pierwsi otworzyli ogień do samochodów. Mieli go. Zasypał go grad kul.

Zginął z myślą, że nigdy nie zobaczy już żony i dzieci.

Wokół jego ciała trwała walka.

Sierżant Tom Hines patrzył na krążący mu nad głową helikopter patrolowy, po czym zajął się bardziej przyziemnymi sprawami i natychmiast zmarszczył brwi.

Porucznik Bonham jak zwykle całą swą uwagę skupiał na flircie z ładną Wietnamką, która sprzedawała w przydrożnym sklepiku.

Hines, którego skóra miała odcień czekoladowy, miał na sobie świeżo wyprany i wyprasowany mundur. Jego stan nijak nie pasował do przesiąkniętego wilgocią powietrza. Zaklął pod nosem.

Pochodził z Południowej Karoliny. Dodał sobie parę lat i w ten sposób zdążył jeszcze na krwawą operację usuwania Japończyków z Filipin pod koniec drugiej wojny światowej. Walczył też w Korei, gdzie zdobył honorowy medal Kongresu za odwagę, a listów pochwalnych wystarczyłoby na wytapetowanie średniej wielkości pokoju. Był pewien, że człowiek jego rasy zajdzie daleko wyżej w wojsku niż poza nim.

Tak oto znalazł się w Wietnamie i od razu zdobył sobie zaufanie wszystkich, z którymi miał do czynienia.

Konwój zatrzymał się przy sklepiku na rozkaz Bonhama i stał już pół godziny. Żołnierze wałęsali się pomiędzy wozami bojowymi i ciężarówkami z dostawami dla bazy sił specjalnych za Hoa Phu.

Hines wyznaczył pozycje obronne i próbował powstrzymać się od wyrażenia na głos swej opinii o bezmózgim poruczniku. Ale wkrótce jego cierpliwość wyczerpała się.

- Zbieramy się, chłopcy - rozkazał.

Żołnierze zaczęli wspinać się na platformę ciężarówki. Hines słyszał mamrotane pod nosem opinie, lecz nie mógł im nic zarzucić. Wiedział, co czują. Sam nie odwiedzał barów ani domów publicznych. W domu czekała na niego ukochana żona i dwie córki.

Bonham, przyciskający właśnie dziewczynę do ściany, odwrócił się, by popatrzeć na wchodzącego.

- Co się dzieje, sierzancie?

- Kazałem żołnierzom przygotować się do odjazdu, panie poruczniku.

Bonham był tak zajęty swoimi sprawami, że nie zauważył poruszenia. Odparł z dezaprobatą.

- Niech pan im każe zsiąść. Ja tutaj dowodzę. Jeszcze nie skończyliśmy.

- To pan nie skończył - powiedział Hines spokojnie. - Zatrzymaliśmy się tu tylko po to, by...

- Chłopcy potrzebowali odpoczynku - przerwał porucznik.

- Już sobie odpoczęli - oznajmił Hines. - Życie uczuciowe powinien pan prowadzić w czasie wolnym od służby - dodał, jakby dziewczyna była nieobecna.

Wietnamka spoglądała na Bonhama próbując zgadnąć, jak się zachowa.

- Sierżancie... - zaczął, próbując odzyskać straconą pozycję.

Nie udało mu się.

- Poruczniku - powiedział Hines, jakby formułował pod jego adresem najgorszą obelgę. Zniżył głos do szeptu, by nie podsłuchali ich żołnierze, lecz mówił stanowczym tonem. - Zgłosiłem się na tę misję na ochotnika. Z moją szarżą mógłbym sobie siedzieć za biurkiem w pokoju z klimatyzacją.

- Więc co pan tu robi?

Hines ruchem głowy wskazał na żołnierzy, nie przestał jednak patrzeć na porucznika.

- To są moi ludzie - warknął. - Większość z nich to jeszcze dzieci. Nie zamierzam oddawać ich życia w ręce jakiegoś idioty bez doświadczenia - mówił nie próbując nawet ukryć pogardy dla swego rozmówcy.

- Skoro więc pan tu jest, sierżancie, radzę panu, żeby wykonywał pan rozkazy przełożonego i...

- Mamy za zadanie dotrzeć z dostawami do bazy - powiedział Hines, jakby nie słyszał, co mówi Bonham. - Musimy wrócić przed zapadnięciem zmroku do Lai Khe. I z pewnością stanie w jednym miejscu nam nie pomoże. Żółtki zaraz się dowiedzą, i zanim się obejrzymy, dobiorą nam się do skóry.

- Nie wydaje mi się. Widział pan helikopter. Ta okolica jest...

- Bezpieczna, pewnie. Niech pan posłucha, widziałem już w życiu wielu chłopaków, którzy wrócili do domu nogami do przodu tylko dlatego, że zielony porucznik nie zwracał uwagi na to, co mówił doświadczony sierżant. Chłopcze, ja się już biłem, kiedy ty zmoczyłeś swoje pierwsze pieluchy. Ruszamy. Możesz się zabierać z nami albo zostać tu ze swoją panienką, a my wstąpimy po ciebie w drodze powrotnej.

- Sierżancie, pańska niesubordynacja znajdzie się w raporcie, kiedy wrócimy do Lai Khe.

- Będziemy się o to martwić na miejscu. Aha, jeszcze jedno, panie poruczniku. Ci chłopcy, o których mówiłem... - przerwał, by wyrzucić większe wrażenie, później pokończył -

ich dowódcy wracali razem z nimi. Też nogami do przodu.

Potem spojrzął przelotnie na dziewczynę, skinął jej głową i wyszedł.

Po krótkiej wymianie zdań z Wietnamką Bonham podążył za Hinesem.

Kierowcy włączyli silniki.

Thi Sang był jednym z ponad miliona Wietnamczyków z Północy, którzy uciekli na Południe w 1954 roku po klęsce Francuzów. Północ dostała się w ręce komunistów, a na Południu utworzona została Republika Wietnamu.

Wielu kolegów, przyjaciół i krewnych zostało, sądzili bowiem, że komuniści nie będą tacy źli.

Od tego czasu przestał dostawać od nich jakiegokolwiek wieści.

Thi Sang był starszym wioski Hoa Phu. Amerykanów darzył sympatią. Wiedział, że wojna rodzi szaleństwo w umysłach ludzi bezpośrednio w nią wciągniętych, bez względu na to, jakiej są narodowości. Szczególnie polubił jednak Phila Stevensa i Ann Bradley, którzy regularnie odwiedzali jego wioskę udzielając ludziom pomocy lekarskiej.

Byli też inni Amerykanie, którzy nazywali jego naród żółtkami i gardzili nim, lecz zdawał sobie sprawę, że często motywem takiego postępowania był zwykły strach.

Phil i Ann należeli w oczach Sanga do dobrych Amerykanów. Byli odważni, dowodziły tego ich cotygodniowe wizyty w wiosce, a przede wszystkim starali się zrozumieć Wietnamczyków. Próbowali się nauczyć strzępków języka, który dla większości ich rodaków pozostawał niezrozumiały.

Sang z boku przyglądał się dwóm rzędom ludzi ustawionych w kolejce do dwóch stolików, które przed chwilą rozłożyli Amerykanie. Rozmawiali z każdym. Od czasu do czasu prosili Sanga o pomoc w tłumaczeniu.

Zagrzmiało.

Sang miał nadzieję, że nie zacznie padać, a nawet gdyby, będą mogli kontynuować to, co rozpoczęli w jego domu, największym we wsi.

Po chwili zjawiał się konwój, złożony z czterech pojazdów. Z przodu jechał samochód transportowy, osłaniany trzema wozami bojowymi. Ann i Phil podnieśli na chwilę wzrok, lecz nie przerwali pracy.

Niepokój Sanga wzbudziła postać nieznanego rowerzysty, który zjawiał się, nie wiadomo skąd.

Hines jechał z przodu w jeepie dowódcy rozglądając się bacznie dookoła, z palcem na

spuście karabinu. Bonham siedział z tyłu. Nie odzywał się do sierżanta od czasu postoju i ani na chwilę nie rozchmurzył twarzy. Hinesa wcale to nie obchodziło. Nadszedł czas, żeby odpowiednimi kanałami zablokować Bonhama, nim ten przez swą lekkomyślność spowoduje śmierć jakiegoś człowieka, lub nim jakiś chłopak rozwali go z zemsty.

Uwaga Hinesa powędrowała teraz w stronę rowerzysty, oddalonego od nich nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach.

- Zatrzymaj się - powiedział cicho do Hogartha.

Kierowca nacisnął hamulec, zaś rozżłoszczony Bonham natychmiast wrzasnął:

- Dlaczego stajemy?

Hines pokazał dłonią.

- Rowerzysty.

- I co z tego?

- Wygląda podejrzanie.

- Co się panu śni, do jasnej cholery? - krzyknął Bonham. - Ruszaj! Ja tu rozkazuję. Co jest z tym rowerzystą? - zapytał.

Hogarth nie przyspieszał. Czekał z oczyma utkwionymi w Hinesa.

- Co on tu robi? Skąd się tu wziął? Znam ten kraj, w Sajgonie pełno jest rowerów, ale tutaj - nie. Zatrzymaj się! - krzyknął do Hogartha.

- Masz słuchać moich rozkazów - wrzasnął Bonham. - Ruszaj!

Hogarth jakby nie słyszał.

- Ma zamiar nas zaatakować.

- Jesteś szalony! - rzucił Bonham.

Rowerzysta był już obok nich. Sięgnął pod ubrania, którymi przykryty był bagażnik i wyciągnął granat. Zębami odbezpieczył go i wrzucił do jeepa.

Hines widział wszystko. Znalazł jeszcze czas, by warknąć przez ramię:

- Niech cię piekło pochłonie, Bonham!

W tej samej chwili wyskoczył z auta. Ręką zamortyzował upadek, przewrócił się na bok dobywając karabin.

- Co to jest? - zapytał Ky, odkładając na bok lornetkę. - Jakież komplikacje?

- Nie - odparł Khong. - Lekarze amerykańscy chyba z bazy w Lai Khe, przyjechali tu z lekarskami.

Oczy Ky zabłyśły.

- Wietkong zapłaci nam za nie, ile będziemy chcieli.

- Prawda - przyznał Khong. - Lepiej nie mogło nam się udać. Spojrzał na drogę, którą przybył samochód.

- Co się stało? - spytał ponownie Ky.

- Spóźniają się, ale zawsze przyjeżdżają. Nie będziemy musieli długo czekać. Zabieram się.

Khong podszedł do zardzewiałego, pogieętego roweru opartego o pień drzewa. Z przodu, przy kierownicy, miał umieszczony bagażnik, którego jedyną zawartość stanowić mogło pozwijane ubranie, lecz pod jego osłoną Khong ukrył granat i mały, amerykański karabin. Podał lornetkę Ky i zarzucił rower na ramię.

- Każ chłopcom zająć pozycje - powiedział. - Jak tylko konwój pokaże się w wiosce, jadę tam i zaczynamy.

- Będziemy gotowi. - Ky oblizwał usta.

Khong odwrócił się i poszedł w dół ścieżki, która wyprowadzić go miała na drogę o kilkaset metrów od wioski. Nie uszedł daleko, gdy huk nadlatującego helikoptera sprawił, że razem ze swymi ludźmi musiał poszukać schronienia. Udało im się, a ułamek sekundy później przeleciała nisko nad nimi maszyna, dotykając prawie czubków drzew.

Khong i jego ludzie ostrożnie wyszli z ukrycia, gdy huk ucichł. Szef bandy pomachał do swych ludzi z zadowoleniem. Czuł, jak puls mu przyspieszył w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić.

Niedługo nadjedzie konwój i zacznie się masakra.

Gdzieś w oddali złowieszczo zagrzmiało.

Dziewczynka bardzo starała się być dzielna. Zamknęła mocno oczy, a choć usta co chwilę wyginały się w podkówkę, dzielnie wyprostowała rękę w stronę Ann. Drugą ręką trzymała się matki, która szeptem dodawała jej odwagi.

Ann spojrzała przed siebie i zauważyła rowerzystę w tej samej chwili, gdy konwój wjeżdżał do wioski. Thi Sang wyszedł przed nich, prawdopodobnie chcąc sprawdzić, skąd wziął się rowerzysta. Zaczęła na nowo bandażować ramię dziewczynki.

W tym momencie cichy, spokojny dzień w Hoa Phu przerodził się w najczarniejszy nocny koszmar. Ann usłyszała dziwnie przytłumiony odgłos wybuchu, szybko podniosła głowę i ujrzała, jak prowadzący jeep zбочzył z drogi uderzając w pobliską chatę.

- Cholera! - syknął Phil.

Jakiś mężczyzna - czarnoskóry sierżant podnosił się z ziemi i przygotowywał karabin do strzału. Wrzaski atakujących wypełniły wioskę, po czym ustąpiły miejsca odgłosom AK-47 dochodzącym ze wszystkich stron. Samochody zasypane zostały pociskami. Amerykańscy żołnierze ginęli, nim zdążyli odpowiedzieć ogniem. Sierżant dostał serię w brzuch, która praktycznie rozerwała mu ciało na strzępy.

Wraz ze Stevenssem padli na ziemię. Po chwili zza jednej z chat wyszedł mężczyzna, który przedtem jechał na rowerze. Teraz uzbrojony był we własny karabin. Ann dobrze wiedziała, co zamierza zrobić.

Otoczył ich tłum przerażonych, krzyczących ludzi. Dorośli starali się znaleźć dla dzieci jakieś schronienie pragnąc sami ująć śmierci.

Ann przypomniała sobie o broni pozostawionej w jeepie o kilka kroków od nich. Phil miał swój karabin maszynowy, ona M-16. Potrafiła strzelać z obu. Nim pojechała na wojnę, ojciec nauczył ją posługiwać się bronią.

- Musimy się dostać do jeepa! - krzyknęła do Phila ponad hałasem.

Z początku Stevens nie wiedział, o co chodzi, ale po chwili odpowiedział:

- Dobrze!

Rzucili się w stronę pojazdu. Kule przelatywały ze świstem wokół nich, lecz udało się. Znaleźli się po drugiej stronie jeepa, co dawało im częściowe schronienie od kul. Ann sięgnęła do środka i podała Stevensowi karabin, sama biorąc do ręki swój. Próbowwała nie

patrzeć na to, co rozgrywa się przed jej oczami.

Rowerzysta otworzył ogień. Stał spokojnie w rozkroku i metodycznie naciskał spust. Seria dosięgła Thi Sanga, małą dziewczynkę i jej matkę, w chwili gdy chronili się w chacie. Ich krew opryskała całe obejście.

Ann krzyknęła ze zgrozą, a po chwili jej ciałem zaczęła wstrząsać siła odrzutu M-16. Napastnik schronił się za chatą. Ściana, obok której stał, ułamek sekundy temu zmieniła się w pył, lecz on nie został trafiony.

Phil trzymał karabin w obu dłoniach mierząc w tym samym kierunku co Ann, lecz nie strzelał. Popatrzył na nią z przestraszeniem.

- Uciekajmy stąd! - krzyknął, próbując usiąść za kierownicą.

Strzelanina przycichła. Od strony konwoju nikt już nie stawiał oporu.

- To nie jest Wietkong - powiedziała Ann - tylko zwykli bandyci, Phil.

- Gównu mnie obchodzi, kto to jest - rzucił. - My nie walczymy. Nie powinno nas tutaj być! - wypluł słowa trzęsąc się ze strachu. Na jego bladej twarzy pojawiły się kropelki potu.

- Phil, nie bądź tchórzem. Tu potrzebują nas ludzie.

- Nie pojedziemy daleko - powiedział, wspinając się do jeepa. - Wrócimy, jak się to wszystko skończy. My nie bierzemy udziału w walce, Ann...

Przykucnęła za samochodem starając się go przekonać. Kilka pocisków z metalicznym brzękiem odbiło się od samochodu, inne podziurawiły opony po odsłoniętej stronie.

Ann zobaczyła, jak Stevens instynktownie przechylił się na bok, ale nim zdążył zeskoczyć z samochodu, dostał kulę w prawą pierś. Uderzenie zrzuciło go na ziemię w czerwony pył. Ann puściła serię w kierunku dwóch bandytów, którzy przygarbieni biegli, by dołączyć do tego, który schronił się za chatą. Straciła ich z oczu, lecz wiedziała, że nie trafiła. Od chaty dzieliło ich tylko kilka metrów.

Przestała strzelać i rozejrzała się po wiosce. Kilka chat już płonęło. Między leżącymi Amerykanami przechadzał się jeden z bandytów i strzelał każdemu w głowę. Ann oparła karabin o jeepa i podeszła ostrożnie do Stevensa. Jego prawe ramię było ciemnoczerwoną masą pulsujących mięśni.

- Do diabła, dostali mnie! - wystękał, zaciskając zęby. - Należało mi się, zawsze byłem tchórzem. Cholera!

- Nie mów tak, Phil - pocieszała go. - Wydostaniemy się stąd.

Wyrzała zza samochodu. Ani śladu bandytów za chatą.

- Nie pieprz, Ann - powiedział Stevens. - Pamiętaj, że jestem lekarzem. Nie boli mnie

bardziej, bo jestem w szoku, ale lada chwila wyjdę z niego, a wtedy stracę przytomność z bólu albo z upływu krwi.

- Phil...

Podniósł pistolet słabnącą ręką.

- Może ich... powstrzymam... Uciekaj, Ann... No już, idź... i powodzenia z Gainesem... Fajny z niego facet... Uciekaj...

Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi.

Zawahała się przez chwilę, nie wiedząc co robić. Strzały w wiosce ucichły. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był trzask płomieni palących się chat.

Nagle trzech bandyci wyskoczyli z zarośli jakieś dwadzieścia metrów od nich.

- Uciekaj! - wycharczał Stevens do Ann z całą siłą, na jaką go było stać. Podniósł pistolet i zaczął strzelać.

Ky wybiegł z zarośli razem z Khongiem i jeszcze jednym bandytą. Dostrzegł Amerykanów i uśmiech wykrzywił mu usta w szkaradny grymas. To on przechadzał się między rannymi żołnierzami dobijając ich strzałami w głowę. Największą przyjemność sprawiała mu śmierć przytomnych, ich krzyk, nim celny strzał rozwalił im głowy. W takich chwilach wszystko inne usuwało się w cień. Żył zemstą, zadawał ból i śmierć obcym najeźdźcom, którzy zabili mu żonę, czworo dzieci i zniszczyli farmę. Czuł się potem, jak po zażyciu bardzo mocnego narkotyku.

Zostało jeszcze dwoje!

Gdyby Khong nie podniósł dłoni, rozerwaliby ich na strzępy.

- Chcę ich mieć żywych - powiedział.

Ky zachowywał się, jakby nie usłyszał polecenia. Nienawiść pomieszała mu zmysły.

- Amerykanie muszą zginąć! - krzyknął po angielsku. - Śmierć Amerykanom.

Wystrzelił serię w kierunku jednego z nich, zabijając na miejscu.

- Nie posłuchałeś rozkazu, Ky - powiedział chłodno Khong. - Trzeba dać przykład innym.

Wycelował swój karabin w Ky i jednym naciśnięciem spustu pozbył się go. Potem spojrzął na drugiego.

- Chodź. Musimy złapać tę kobietę. Żywą.

- Tak jest - odpowiedział posłusznie tamten, nie zwracając sobie głowy trupem Ky.

- Za nią!

Puścili się biegiem za uciekającą kobietą.

Wiedziała, że ją złapią, ale przecież nie mogła się poddać, nie mogła przestać biec.

Słyszała tylko świst swego oddechu. Serce tłukło się w jej piersiach jak szalone, a oczy zalewał pot.

Potknęła się o wystający korzeń i upadła, upuszczając karabin. Zamortyzowała upadek dłońmi. W mgnieniu oka pozbierała się jednak, chwyciła karabin i ruszyła przed siebie. Przez myśl przelatywały jej koszmarne obrazy - masakra w wiosce, okrucieństwa, jakich dopuszczali się bandyci, wreszcie śmierć Phila Stevensa. To dodawało jej sił.

Potknęła się po raz drugi. Próbowwała się uwolnić z gęstej płataniny roślin, lecz nie zdążyła.

Goniący zwolnili, gdy zobaczyli, co się stało i podeszli ku swej ofierze wolnym krokiem. Jeden z nich uśmiechnął się. Nie był to przyjemny widok, miał bowiem twarz pociętą bliznami i okrutne wejrzenie.

- Dzień dobry pani - powiedział silnie akcentując każde słowo. - Miłe spotkanie.

Skinął głową do chłopaka stojącego za nią, zaś ten zamachnął się i kolbą karabinu uderzył Ann w głowę. Ujrzała wszystkie gwiazdy i straciła przytomność z myślą, że nie dożyje chwili, gdy będzie się mogła kochać ze Scottem.

12

Bok Van Thu przybył na przedmieścia Sajgonu wczesnym popołudniem i bezzwłocznie zajął się zbieraniem śladów, o co prosił go Gaines.

Dla Wietnamczyka porucznik był jednym z najodważniejszych żołnierzy, jakich znał, z tego powodu zadanie które mu zlecono - dowiedzieć się czegoś o zamachu na Scotta Gainesa i wyjaśnić powiązanie tego zdarzenia z pogłoskami o przeżyciu kapitana Quanga - miało dla niego jeszcze dodatkowy, osobisty wymiar, bowiem nie dalej niż tydzień wcześniej Gaines uratował mu życie.

Zgadzał się ze swym amerykańskim przyjacielem, że zamach nie mógł być dziełem przypadku, dlatego ucieszył się na myśl, że w jakiś sposób mógłby mu się zrewanżować. Minęły prawie dwa lata, odkąd Thu przeszedł na stronę Południa i nigdy nie było chwili, by pożałował swej decyzji.

Sam fakt wzięcia do niewoli nie spowodowałby tego - tylko jednostki spośród schwytanych partyzantów decydowały się na coś takiego, lecz Thu miał w Wietkongu wystarczająco wysoką pozycję, by zorientować się w rzeczywistej sytuacji. Wiedzy tej nie posiadali szeregowi żołnierze.

Za młodu przyłączył się do ruchu marksistowskiego, ponieważ nie podobało mu się, jak obce państwa mieszały się do spraw jego kraju i decydowały o jego przyszłości. Jednak po kilku latach walki przeciw Amerykanom zorientował się, że sam Wietkong był obiektem manipulacji innych sił, których wpływ na jego kraj wydawał się znacznie bardziej destrukcyjny niż amerykański. Zrozumiał, że on i inni ludzie, którzy z nim walczyli i obok niego umierali, są pionkami w większej grze.

Wiadomości o tym, co dzieje się na północy kraju powoli docierały na południe. Wprowadzono stan wyjątkowy, zamknięto usta wszelkiej opozycji poprzez zastraszanie i masowe egzekucje. Podobnie działał Wietkong, a przestępstw przezeń popełnianych nie można było w żaden sposób porównać z tym, co robili Amerykanie. Thu wiedział o masakrze ludności cywilnej w wiosce My Lai, lecz rozumiał, że była ona wyjątkiem od reguły. Wojna budziła we wszystkich ludziach najgorsze instynkty. Różnica polegała na tym, że Wietkong popełniał zbrodnie z zimną krwią, mając jedynie na celu destabilizację kraju i wzbudzenie strachu w ludności cywilnej.

Takiego losu Thu Wietnamowi nie życzył. Ustrój demokratyczny pozwalał przynajmniej ludziom próbować zmian od wewnątrz. Był przekonany, że gdy uda się powstrzymać komunistów, skończy się ludobójstwo i dlatego przeszedł na drugą stronę.

Znał wielu młodych ludzi, synów swych sąsiadów, krewnych i przyjaciół, którzy zginęli walcząc o wolność dla swego kraju. Chciał uczcić ich pamięć mając nadzieję, że w ten sposób chociażby w części zmieni na lepsze wizerunek swych rodaków w oczach Amerykanów.

Nie ufał ani majorowi Dow ani Xongowi. Miał nadzieję, że informacje, które uda mu się zdobyć w Sajgonie posłużą kiedyś przeciw nim, jeżeli rzeczywiście byli winni zdrady. Nim wyjechał z bazy, dowiedział się od Gainesa nazwisk zamachowców: Vo, Chinh i Tho, oraz tego, że byli członkami jednego z sajgońskich gangów ulicznych. To znacznie ułatwiło mu pracę. Wiedział, gdzie zacząć.

Znał Sajgon tak dobrze jak dżunglę, w której spędził znaczną część swego dorosłego życia. Jeżeli kapitan Quang rzeczywiście ocalał, będą musieli wieczorem wybrać się na polowanie i próbować go zniszczyć.

Klub „Kit Kat” znajdował się przy jednej z bocznych uliczek, otoczony mrowiem maleńkich sklepików, a niedaleko mieściła się dzielnica rozrywki. Prowadził go przyjaciel z dzieciństwa Thu, imieniem Nguyen Quot. Zanim go kupił, stanowił istną przystań dla prostytutek i handlarzy narkotyków, nic więc dziwnego, że dowództwo zakazało żołnierzom wstępu. Quot rozpoczął powolny proces budowania dobrej opinii klubowi od wyrzucenia powyższych, jednak gdy widział się ostatnim razem z Thu, skarżył się, że zaczynają go coraz częściej odwiedzać członkowie ulicznych gangów.

W rzeczywistości klub nie był niczym więcej jak kwadratowym pomieszczeniem z niskim sufitem i wyłożoną kafelkami podłogą, na której stały gdzieś stoliki. Z jednej strony znajdował się bar i szafa grająca.

Quot siedział właśnie za ladą przeglądając gazetę. Podniósł wzrok, a gdy ujrzał Thu, jego znudzona twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

- Co za miła niespodzianka. Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie. Co wypijesz?

- Piwo. Ja też się cieszę, że cię widzę, Nguyen.

Gdy kolega sięgnął po piwo, Thu kątem oka spojrzał na bok, gdzie siedziało trzech bardzo młodych ludzi. Mogli mieć nie więcej niż po osiemnaście lat. Patrzyli się na niego i chichotali między sobą mówiąc coś do siebie.

Quot postawił przed nim piwo, lecz nie chciał wziąć pieniędzy.

- Nie, kolego, stawiam ci na koszt firmy. Cieszę się, że wreszcie widzę kogoś, z kim

można po ludzku pogadać.

Thu skinął głową w kierunku chłopaków.

- Są z nimi jakieś kłopoty?

- Co jakiś czas. Wystraszyli większość z moich stałych klientów.

- Dlaczego ich nie wyrzucisz albo nie wezwiesz policji?

- Chciałem tak zrobić w zeszłym tygodniu.

- I co się stało?

- Pobili mnie i zagrozili, że zrobią to jeszcze raz, jeżeli będą ze mną kłopoty. Wiedzą, że sam sobie z nimi nie poradzę. Powinni wszyscy siedzieć w więzieniu.

- Znasz takiego jednego, co się nazywa Vo Tran?

Quot przytaknął.

- Był przywódcą jednego z takich gangów. Zawsze tu przychodził, ale wczoraj wieczorem ktoś go zastrzelił z innymi dwoma.

- Kto będzie następnym szefem gangu?

- Będą ze sobą o to walczyć - powiedział Quot.

- Chciałbym się dowiedzieć, kto ich nasłał na tego Amerykanina z dziewczyną - zniżył głos Thu.

Quot zmarszczył brwi.

- Można wiedzieć, dlaczego cię to interesuje?

- Znam Amerykanina, którego mieli zabić. Nazywa się Scott Gaines, jest porucznikiem i moim bardzo dobrym przyjacielem. Pracujemy razem. Jestem tu, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Jeżeli to właśnie on zabił tych trzech, to jest i moim przyjacielem. Zrobię wszystko, żeby wam pomóc.

- Wiesz, kto to jest kapitan Quang?

- Tak, od wczoraj. Podśluchałem, jak Vo i inni naradzali się. Kapitan Quang wyznaczył nagrodę za jego głowę. Muszę cię ostrzec, ale znajdą się jeszcze inni, którzy będą chcieli ją zdobyć. Scott Gaines nie będzie mógł spać spokojnie, póki kapitan Quang żyje.

Thu pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Miałem przecucie, że mu się udało. Wiesz może, gdzie jest?

Quot potrząsnął głową i otwierał usta, by odpowiedzieć, lecz przeszkadzili mu w tym chłopcy, którzy dotąd siedzieli spokojnie z boku.

Thu obrócił się twarzą do nich, opierając plecami o bar.

Jeden z chłopaków zaczął:

- Zadajesz zbyt wiele pytań. Kim jesteś?
- Człowiekiem, który zadaje zbyt wiele pytań.
- Słyszeliśmy, jak wymówiłeś nazwisko Scott Gaines. Szukamy tego faceta.
- Żeby dostać nagrodę kapitana Quanga?
- Zgadza się - odparł bez zająknięcia chłopak. - Powiesz nam, gdzie on jest.
- Nie - powiedział spokojnie Thu. - To wy mi powiecie, gdzie znaleźć kapitana

Quanga.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Jest nas trzech, a ty jesteś sam - zwrócił uwagę chłopak stojący w środku.
- Jest nas dwóch - poprawił zza baru Quot.

Bandyci cofnęli się trochę i jak na komendę wyciągnęli z tylnych kieszeni spodni noże sprężynowe. Długie ostrza zabłysły groźnie w stronę Quota i Thu.

- Powiesz nam wszystko - wysapał jeden z bandytów. - Gdzie jest ten Amerykanin?
- A właśnie, że wy mi wszystko powiecie - powiedział cicho Thu.

Nagle błyskawicznie zeskoczył z krzesła i przyjął postawę obronną z prawą ręką gotową do ataku, a lewą chroniącą pierś przed ciosami. Począł jeszcze chwilę, aż bandyci zbliżą się do niego i wtedy ze stłumionym okrzykiem zaatakował. Bandyta z lewej strony, oberwawszy potężnym uderzeniem w czoło, osunął się nieprzytomny na ziemię błyskając białkami oczu. Następny chciał się cofnąć, lecz zbyt wolno. Thu obrócił się na pięcie i piętą trafił go w brzuch. Bandyta skulił się, stracił dech i padł na podłogę. Trzeci zaczął atakować z podniesionym nożem, ale nim zdołał uczynić krok, trafiła go w głowę butelka z piwem rzucona celną ręką Quota zza baru. Zamroczony, bandyta upadł.

Thu stanął nad jedynym z trójki, który nie stracił przytomności, położył mu stopę na gardle i lekko nacisnął. Chłopak zaczął się dusić i chwycił Thu za nogę obiema rękami. Thu nie zachwiał się ani na moment.

- Mógłbym ci skrócić kark jednym ciosem. Chcesz?

Oddech chłopaka stał się szorstki, urywany. Wił się pod ciężarem stopy Thu, jednak bez rezultatu. Oczy wyszły mu na wierzch z przerażenia.

- Nie... nie zabijaj... mnie... - zdołał wykrztusić.
- Gdzie jest kapitan Quang?
- Nie wiem, tylko Vo wiedział.

Thu przycisnął mocniej stopą gardło bandyty.

- Mów prawdę! - powiedział ostro.
- To prawda, przysięgam! Kapitan Quang... spotkał się z Vo. Miał zabić

Amerykanina... Nic więcej nam nie powiedział... nic...

- Masz szczęście, że ci wierzę wycedził Thu i cofnął się. Spojrzał na dwóch pozostałych bandytów i dodał: - Zabierajcie się stąd. Jak się dowiem, że któryś z was tu był i niepokoił mojego przyjaciela, dostanę was i ukatrupię. Zrozumiano?

Bandyci powoli podnosili się na nogi rozmasowując bolące miejsca.

- Tak... - któryś z nich wymamrotał.

Thu stał i patrzył, jak się wynoszą, jeden po drugim na niepewnych nogach, rzucając ukradkiem spojrzenia za siebie.

Thu odetchnął. Odwrócił się do przyjaciela i rzekł:

- No, to po kłopotcie. Nie sędzę, żeby cię więcej niepokoił.

- Ani ja. Sam nie wiem, jak ci się mogę odwdzińczyć - Quot uśmiechnął się szeroko. - Chyba postawię ci piwo.

- Dziękuję, innym razem - odparł Thu kierując się do drzwi. Muszę wrócić do Lai Khe i powiedzieć chłopakom, że kapitan Quang żyje. Jakbyś coś o nim usłyszał, natychmiast daj mi znać.

- Obiecuję - posiedział Quot. - I przekaż porucznikowi, żeby na siebie uważał.

- Nie znasz Scotta - odparł Thu. - Lepiej żeby kapitan Quang znalazł sobie bezpieczne schronienie, zanim Szczury go wytropią.

13

Chata, którą dzielili między siebie żołnierze Gainesa była jedną z wielu rozlatujących się drewnianych budowli w obozie. Poza nimi tu i ówdzie wyrastały przyczepy, wykorzystywane jako biura i bunkry obronne - centralny punkt bazy.

Nie mieli nic specjalnego do roboty, więc tym niecierpliwiej czekali na powrót Thu z Sajgonu i na jakiegokolwiek wiadomości od kapitana Cartera, co oznaczałoby ich powrót do akcji.

Leniwie tocząca się rozmowa zesza wreszcie na temat tego, co będzie, gdy skończy się wojna. Niektórzy potrzebowali alkoholu i narkotyków, by wspomnienia o domu, o najbliższych, nie stały się jedną wielką torturą, lecz Gaines był zdania, że rozmowa właśnie na ten temat miała pozytywny wpływ na morale żołnierzy. Jeśli pamiętali o tym, kto i co czeka na nich w domu, życie nabierało zupełnie innych wymiarów, stawało się jakby cenniejsze.

DeLuca siedział ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej podłodze przeglądając jeden z numerów gazety wojskowej. Natrafił właśnie na artykuł o antywojennych protestach w Ameryce.

- Zawsze miałem nadzieję, że wrócę do domu i zacznę normalne życie w cywilu, kiedy to gównie się skończy. Teraz nie jestem wcale pewien, że poznam stare dobre Stany.

Hidalgo prychnął z oburzeniem.

- Mówisz, że nie chce ci się wracać do domu? Smęcisz albo nie powodziło ci się tam tak dobrze, jak mnie.

Wyciągnął się wygodnie na pryczy z rękami założonymi pod głowę. Z zadowoleniem wpatrywał się w sufit.

- Chłopie, tam seniority aż jęczą z tęsknoty za małym Hidalgo.

DeLuca zaśmiał się.

- Zanim wrócisz do domu, chłopcy powybijają ci już co lepsze kurki z kurnika. Cienko zapiejesz, bracie.

Hidalgo wzruszył ramionami.

- Więc będę musiał zapoznać parę nowych panienek. Możesz mi wierzyć, są gorsze rzeczy.

DeLuca przerzucał strony, chcąc znaleźć kolumnę z żartami.

- Pewnie masz rację, Johnny. Te dziewczynki, co tak wrzeszczą przeciwko wojnie, nie mają nic przeciwko wolnej miłości. Wyobrażasz sobie? Taką cenę mogę zapłacić. Dzięki, chłopie, czasem zapominamy o tym, co najważniejsze.

- Nie przejmuj się - odparł Hidalgo, podparł się na łokciu i spojrzał na Gainesa. - Ciekawe, co o tym myśli nasz porucznik. Myślałeś kiedyś o tym?

W grupie ludzi tak sobie bliskich jak Szczury, stopnie wojskowe miały drugorzędne znaczenie. Żołnierze szanowali siebie wzajemnie i po tym, czego razem doświadczyli nie przeszłoby im przez myśl traktować pozostałych inaczej niż jak bliskich przyjaciół.

- Tak, myślałem - przyznał Gaines. Siedział u wejścia do chaty opierając się plecami o framugę drzwi i patrzył na to, co dzieje się w bazie. Gdy zagadnął go Hidalgo zorientował się, że niezbyt dokładnie wie, o czym rozmawiali.

- Myśli o Ann - powiedział DeLuca zatroskanym tonem. - Nie ma lekko - dodał. - Wczoraj wyszliście razem obronną ręką ze strzelaniny, a dzisiaj jej nawet nie widziałeś.

- Odważna dziewczyna - skomentował Hidalgo. - Dostała ci się jedna z tych najlepszych.

Gaines nie był zaskoczony, że ci dwaj potrafią czytać w jego myślach. W walce tworzą się między ludźmi bardzo silne więzy.

- Masz rację, Johnny - przyznał. - Ann Bradley nie traci głowy z byle jakiego powodu.

- Wszystko jedno jaka odważna - wtrącił się DeLuca. - To całkiem naturalne troszczyć się o kobietę. Możesz mi wierzyć, jestem z pochodzenia Włochem. Bez względu na to, czy się do tego przyznają, czy nie, trzeba im ciepła i opieki, zwłaszcza tutaj. Ale w Hoa Phu jest spokojnie, nic jej nie grozi.

- Mam przecucie, że Quang żyje - zmienił temat Gaines. - Chciałbym, żeby Thu był już z nami.

- Idzie kapitan - powiedział Hidalgo.

Wyszli na zewnątrz, by przywitać Cartera, który zbliżał się ku nim długim, zdecydowanym krokiem od strony swego bunkra. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie. Gaines poczuł ciarki przebiegające mu po grzbiecie.

- Co się stało, kapitanie?

- Właśnie dostaliśmy wiadomość, że konwój zaopatrzeniowy został zaatakowany w Hoa Phu i nie dotarł na miejsce przeznaczenia.

- Ann... - wyrwało się Gainesowi, nim mógł się powstrzymać. Zaciśnął zęby, przygotowany na najgorsze.

- Prawdziwa masakra - ciągnął Carter. - Wygląda na to, że nikt w wiosce nie przeżył. Wszystko stało się nie więcej niż pół godziny temu. Mamy właśnie pierwsze raporty.

- Do jasnej cholery! - krzyknął Hidalgo spoglądając na czerwony pył u swych nóg.

- Nie wiem, jak pan to zrobi, ale muszę tam być - powiedział z determinacją Gaines.

- Potargaloby cię na strzepy, gdyby się stało inaczej - odparł Carter. - Wszyscy trzej bierzecie udział w akcji. W tym rejonie odkryto już wystarczająco dużo tuneli, że teraz z czystym sumieniem mogę was wysłać na rozpoznanie. Zabierajcie sprzęt, amunicję i zabierajcie się. Helikopter już się grzeje.

- W porządku - wymamrotał DeLuca. - Ma pan rację, i tak jakoś byśmy się w to wkręcili. Sprawa osobista.

- Co do Ann i Stevensa istnieje jeszcze nadzieja. Mogło ich nie być w wiosce, kiedy zaczęła się strzelanina.

Twarz Gainesa wyglądała jak wyciosana z kamienia.

- Chodźmy to sprawdzić.

Tego samego popołudnia oddział Viena odpoczywał przed planowanym nocnym atakiem na bazę w Lai Khe. Niektórzy spali w baraku, inni siedzieli na zewnątrz i czytali.

Kapitan Quang czekał. Gdy był pewien, że nikt nań nie patrzy, wymknął się z baraku. Jego krótka nieobecność nie wzbudzi niczyich podejrzeń, po prostu pomyślał, że wyszedł sobie ulżyć.

Szarogranatowa chmura wisząca nad okolicą nie zwiastowała rychłego deszczu i końca upałów tego dnia. Powietrze było nieomal zbyt gęste, by oddychać.

Będziesz pomszczony, synu, pomyślał Quang z bólem w sercu.

Odszedł w bok od baraku i jeszcze raz spoglądając na zachmurzone niebo zanurzył się w dżunglę. Miał nadzieję, że tej nocy jednak zacznie padać. Deszcz zatrzyma patrole w bazie, a ewentualny kontratak Amerykanów nie powinien być zbyt groźny.

Scott Gaines też umrze, opowiadał Quang duchowi swego syna, a ty będziesz pomszczony, bez względu na to, co się stanie. Nie mam teraz po co żyć. Jeżeli będę musiał umrzeć, by zabić tego przeklętego Amerykanina, niech się tak stanie...

Quang postanowił rozszerzyć zakres ataku, choć nie podzielił się jeszcze z nikim swymi planami. Zrobi to dopiero tuż przed rozpoczęciem akcji, gdy ludzie Viena będą wystarczająco podnieceni. Nie będą kwestionować nowych rozkazów Quanga, nawet gdyby oznaczało to ich śmierć.

Xong czekał w umówionym miejscu, zaledwie kilka kroków w dżungli, jednak

całkowicie niewidoczny dla kogokolwiek z baraku.

Quang skinął na powitanie.

- Gratuluję udanego pozbycia się tego zdrajcy Phama, poruczniku.

- Szkoda, że nie powiodło mi się tak samo ze Scottem Gainesem - odparł Xong.

- Tą sprawą też się zajmiemy.

- Dziś w nocy? Plany się nie zmieniły?

- Wszystko odbędzie się zgodnie z tym, co postanowiliśmy ostatnim razem. Co się dzieje ze śledztwem, o którym wspominałeś? Czy Amerykanie domyślają się, że jesteście naszymi oczami i uszami?

Xong uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Skoro major Dow powierzył mi śledztwo - jak mogą być jakieś wyniki?

- A co z Gainesem?

- Nic, przyznaję ze smutkiem. Szczury mają dziś wolny dzień. Nie udało mi się nic o nich dowiedzieć. Rano mieliśmy razem z nimi odprawę, ale w naszej obecności nie powiedziano nic, o czym byśmy już wcześniej nie wiedzieli. Mam jeszcze inne wiadomości.

- O czym? Czyżby o masakrze w Hoa Phu?

Zaskoczony Xong odkaszlnął.

- Ale przecież Amerykanie odcięli ten rejon od świata. Myślą, że nic się nie przedostało na zewnątrz do ludzi.

- Ludzie jeszcze nie wiedzą - powiedział Quang. - Ja wiem, poruczniku, bo nie jestem jednym z nich. Jestem dowódcą Siódmego Batalionu Ludowej Armii Wietnamu. Wydałem rozkaz, by wszyscy pozostali przy życiu żołnierze kręcili się w okolicy i dowiedzieli wszystkiego, co się da.

- Czy to był atak Wietkongu? Napadnięto i obrabowano amerykański konwój...

- Nie odpowiadamy za to. Gdyby któryś z innych dowódców zorganizował napad, wiedziałbym o tym. Nie, to byli bandyci, poruczniku.

- Wie pan, że wzięli zakładniczkę, kobietę?

Quang przytaknął.

- Widziano ich, jak uciekali. Po raz kolejny ten bandzior, Khong Noh, wszedł mi w drogę, ale teraz nie ujdzie mu to na sucho. Ufam, że moi ludzie wkrótce powiedzą mi, gdzie się ukrywają.

- Chce pan dostać tę kobietę?

- Oczywiście.

- Okup?

Quang nie próbował nawet ukryć niecierpliwości. Xong był cennym źródłem informacji, ale nie należał do inteligentnych.

- Chciałbym ją przesłuchać jeszcze przed atakiem - wyjaśnił. - Pracujesz dla Amerykanów i od czasu do czasu co nieco usłyszysz, ale przez cały czas jesteś dla nich kimś z zewnątrz. Ta kobieta jest jedną z nich, może wiedzieć o wiele więcej o rozmieszczeniu i sile ognia załogi bazy. Chciałbym, by nasza akcja zaskoczyła ich kompletnie.

- Rozumiem - powiedział Xong. - Dopilnuję, by natychmiast otrzymał pan wszelkie informacje, które pana interesują.

Quang usłyszał, jak Vien wzywa go od strony baraku. Wspiął się na pień balsy i spojrzał w stronę, skąd dochodziły głosy. Xong dołączył do niego. Ujrzeni Viena, obok którego stała zasuszone, przygarbiona i pomarszczona staruszka.

- To jest pani Truong - powiedział Quang. - Jest z moimi ludźmi. Przyszła tu, więc zapewne wie już, gdzie Khong Noh trzyma kobietę.

- A co ja mam robić?

- Wracaj do Lai Khe i daj znać, jeżeli będzie się działo coś ciekawego. Jak nie, wykonuj swe obowiązki.

Xong nie lubił być spychany na margines, ale posłusznie zgodził się.

Quang poczekał, aż Xong odwróci się i pójdzie w stronę drogi, odległej o jakieś dwieście metrów. Kiedy zniknął mu z oczu, Quang podszedł do Viena i kobiety.

- Pani Truong ma dla nas wieści - przywitał go Vien. - Wie, gdzie bandycie zabrali Amerykankę.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Quang. - Każ swoim ludziom przygotować się do wymarszu. Idziemy odwiedzić Khonga w jego obozie. Nie mamy czasu do stracenia. Khong Noh nie obejdzie się z nią zbyt łagodnie, a Amerykanie z pewnością zaczęli jej już szukać.

Vien skinął głową i pobiegł wykonać rozkaz.

Quang rzekł do kobiety:

- Pani Truong, teraz proszę mi powiedzieć, dokąd bandyci zabrali Amerykankę?

Ann Bradley powoli odzyskiwała przytomność. Znajdowała się w pozycji siedzącej z dłońmi zawiązanymi z tyłu jakiegoś małego drzewka.

Otworzyła oczy i przeszył ją ból. Jęknęła, lecz jej uszu dobiegł jedynie cichy szmer.

Jakiś cień powoli nabrał kształtów młodego mężczyzny w chłopskim ubraniu. Siedział naprzeciw niej i na pierwszy znak życia dany przez Ann, skoczył na równe nogi. Patrzyła w ślad za oddalającą się sylwetką.

Żyję! Nie zabili mnie! Myśl ta ożywiała jej ciało.

Rozejrzała się wokół. Mała polana w środku dżungli. Gorąco. Duszno. Pełno owadów. Jak z oddali dolatywały ją pokrzykiwania małp i innych zwierząt, których nawet nie starała się zidentyfikować.

Ból dosłownie rozłupywał jej czaszkę i z każdą chwilą czuła się gorzej. Opuchlizna w miejscu, gdzie dostała kolbę karabinu, tętniła w rytm uderzeń serca.

Przypomniała sobie, czego była świadkiem. Mieszkańcy wioski, żołnierze. Phil. Mała dziewczynka, którą opatrywała, zanim rozpętało się piekło. Wszyscy nie żyją.

Mężczyzna wrócił z drugim, starszym, który kazał ją uderzyć. Stał przed nią oparłszy ręce na biodrach.

- Widzę, że zdecydowała się pani do nas przyłączyć - powiedział gardłowo, z silnym akcentem.

- Kim jesteś? - zapytała, zdziwiona opanowanym brzmieniem swego głosu. W środku zatrzęsała się z przerażenia.

- Jestem Khong Noh, a ty moim jeńcem.

- Widzę, ty draniu. Co tu się dzieje?

Dłonie Khonga zacisnęły się w pięści.

- Uważaj, co mówisz, amerykańska dziwko.

- Nie jesteście z Wietkongu - powiedziała. - Więc skąd?

Khong uspokoił się z widocznym wysiłkiem.

- Masz rację, droga pani. Nie jestem z Wietkongu. Tamci by cię już dawno rozwalili.

- Więc czego chcecie? - w głosie zabrzmiała nuta niepokoju. - Dlaczego zabiliście tylu niewinnych ludzi?

- Dostanę za ciebie okup - Noh podszedł do przodu i kucnął przy niej. - Lepiej, żeby zapłacili.

Wiedziała, co ma zamiar zrobić. Zamknęła oczy i przygryzła wargi, by się nie rozpłakać, zaś on brutalnie obmacywał jej piersi. Potem wstał, zostawiając młodego na straży.

Spuściła głowę i nie mogła już dłużej powstrzymać cisnących się do oczu łez. Łez wstydu i bezsilnej wściekłości.

Helikopter zatoczył łuk i wylądował na pastwisku przylegającym wprost do Hoa Phu. Gaines, DeLuca i Hidalgo siedzieli na ławce gotowi w każdej chwili do zejścia. Przy bocznych drzwiach siedział kanonier z dłońmi na swym działku M-60, wypatrując niebezpieczeństwa. Żołnierze byli w pełnym rynsztunku bojowym, zabrawszy ze sobą dodatkową amunicję i granaty.

Scena, jaka ukazała się ich oczom, gdy wylądowali, była prawdziwym koszmarem, z gatunku tych, których się nie zapomina.

Niektóre chaty były zupełnie spalone, wszędzie widać było martwe ciała - posiekane kulami karabinów maszynowych albo zasztyletowane i zatłuczone na śmierć.

Widok ten wzburzył do głębi oddział Gainesa. Nie wykluczone, że informacje Cartera były błędne, że Ann wcale nie wzięto do niewoli, a jej ciało znajdują za chwilę, poszarpane kulami jak wiele innych. Gaines, trochę wbrew sobie, zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby, gdyby zginęła na miejscu, zamiast znaleźć się w rękach ludzkich bestii, które nie wahały się przed popełnieniem najstraszliwszych zbrodni.

Wyskoczyli z helikoptera, a ten zaraz uniósł się w powietrze.

Podbiegli truchtem w kierunku największego skupiska amerykańskich żołnierzy. Trzyosobowe drużyny zajmowały się wkładaniem zwłok do plastikowych worków, na zewnątrz których przyczepiane były identyfikatory każdego z poległych. Inni sprawdzali w chatach, czy na pewno nikt nie ocalał z rzezi. Najgłośniejszym dźwiękiem było bzyczenie wszędobylskich much.

Prawdziwe piekło, pomyślał Gaines, nawet Dante nie wymyśliłby czegoś podobnego.

W stronę nadchodzących odwrócił się major Henry Otter, mężczyzna przysadzisty, o czerwonym, byczym karku. Miał na sobie wypolerowane na błysk buty, świeżo wyprasowany mundur i lustrzane, ciemne okulary. Gaines widział go już kilkakrotnie w bazie.

- Co tu, do jasnej cholery, robisz, Gaines? - spytał z mocnym, teksaskim akcentem.

- Przyjechaliśmy się trochę rozejrzeć.

- Z czyjego polecenia?

- Kapitana Cartera z S-2.

- A co wy tu macie do roboty? To byli moi chłopcy.

Otter poczerwieniał na twarzy, a siatka żył pojawiła się na szyi i czole.

Temu już niewiele brakuje, pomyślał Gaines. Nie czuł jednak wrogości wobec niego. Ci żołnierze, większość z nich naprawdę niedaleko wyszła poza wiek chłopięcy.

- Ktokolwiek to zrobił, musiał się gdzieś ukryć - powiedział Gaines.

- Kazałem helikopterom przeszukać cały teren...

- Dżungla jest bardzo gęsta, majorze - wtrącił DeLuca. - S-2 sądzi, że patrol na nogach ma większe szanse.

- Zamknij się, aż ktoś zapyta cię o zdanie. To rozkaz - warknął Otter, potem zwrócił się do Gainesa: - A ty sprowadź z powrotem swój helikopter i wynoście się stąd do diabła. Gdzie, do jasnej cholery, był ten facet, kiedyśmy go potrzebowali, kiedy mi powiedział, że okolica jest całkiem bezpieczna. A ja wysłałem moich chłopaków na śmierć.

- Niech pan się uspokoi, majorze - powiedział Gaines.

Otter podszedł parę kroków do przodu i zacisnął pięści.

- Tylko mi nie mów, żebym się uspokoił, skurwielu!

Gaines nie ustępował.

- A może to pan powinien się skontaktować z bazą, majorze. Robimy przecież to samo, chcemy dostać tych, co zabili pana ludzi.

- Niech piekło pochłonie ten pieprzony Wietkong!

- To nie Wietkong - odezwał się Hidalgo. - Okolice została z nich oczyszczona dość dawno. Myślę, że to bandyci.

Otter spojrzał ze złością na Hidalgo.

- Dobrze by ci zrobiło parę dni w pierdłu, razem z kolegą - ruchem głowy wskazał na DeLukę. - Nie przepadam za ochotnikami, którzy nie wiedzą, co mówią.

- Pan, majorze, nie wie, co mówi - przerwał Gaines. - Proszę zostawić moich ludzi i poszukać sobie kogoś własnych rozmiarów. To jak: sam pan sprawdzi, czy ja mam się skontaktować z bazą?

Przez kilka sekund stali w milczeniu i Gaines sądził, że major wreszcie wybuchnie. Obecność tylu zabitych każdemu mogła zszarpać nerwy. Otter spojrzał jeszcze raz na Gainesa, potem skinął głową i powiedział:

- Zaczekajcie tu, aż wrócę.

Podszedł do jeepa z radiostacją, choć wiedział, że baza potwierdzi misję tych żołnierzy. Wywiad zawsze robił, co chciał.

Ciężki odór śmierci w powietrzu utrudniał oddychanie. Gaines i jego ludzie nie mieli masek, w które wyposażono pracujących tu żołnierzy.

Gaines zatrzymał pierwszego napotkanego oficera i zapytał o Phila Stevensa. Porucznik wskazał mu najbliższego jeepa, obok którego leżało jego ciało. Nie było jednak ani śladu Ann Bradley. Zniknęły również wszystkie lekarstwa i środki opatrunkowe. Z pewnością bandyci nie pozostawiliby tak cennego ładunku. Samochód dostawczy też wyglądał na doszczętnie splądrowany.

Gaines stanął obok samochodu, którym jechali Phil i Ann. Drużyny pakujące zwłoki jeszcze tu nie doszły. Płótno, okrywające Stevensa pokryte było czerwonymi plamami. Gaines starał wziąć się w garść wiedząc, że przyplływ uczuć osłabiał instynkt walki, nie mógł jednak powstrzymać cisnących się pytań. Gdzie jest Ann? Co z nią zrobili?

Hidalgo i DeLuca podeszli do porucznika z dwóch różnych stron patrząc na majora, który właśnie wysiadał z jeepa.

- Wygląda, że zupełnie o nas zapomniał - powiedział DeLuca.

- Tak, jak powinien - odparł Hidalgo. Co teraz?

Z samochodu pełnego dziennikarzy, nie wpuszczonego na teren wioski, dobiegły ich pełne niezadowolenia krzyki. Stosunek wojska do środków masowego przekazu był, delikatnie mówiąc, niezbyt przyjazny. Część żołnierzy uważała, że odpowiadają za wzrost nastrojów antywojennych.

- Rozejrzyjmy się trochę - powiedział Gaines.

Ruszyli wokół wioski patrząc uważnie na skraj dżungli rozciągającej się tuż za pastwiskami. Wtem Gaines posłyszał jakiś cichy głos.

- Co to jest? - zapytał DeLuca.

- Przypomina płacz dziecka - powiedział Hidalgo.

Gaines rozumiał słowa, ale nie potrafił powiedzieć, z której strony nadchodziły.

- Porucznik Scott, porucznik Scott! - krzyczał dziecięcy głosik.

- Tam! - Gaines wskazał dłonią kierunek.

Hidalgo i DeLuca odwrócili się w stronę podziemnego schronu.

- Co, do diabła? - warknął Hidalgo.

- Sprawdź. Ubezpieczajcie mnie - rzucił Gaines.

- Nie martw się, ale uważaj - powiedział DeLuca.

Hidalgo i DeLuca rozeszli się w dwie przeciwne strony, zaś Gaines podszedł do schronu i kopnięciem odsunął dobrze ukryte wejście. Cofnął się i opuścił broń.

Z płytkiej ziemianki patrzyły nań dwie małe, pobrudzone ziemią twarzyczki. Dziewczynka i chłopiec. Miał może z osiem lat, ona była chyba o kilka lat młodsza. Chłopiec obejmował ją ręką. Oboje drżeli, a dziewczynka cicho płakała. On miał na głowie czapkę

drużyny nowojorskich Jankesów.

- Porucznik Scott... - powtórzył chłopiec. - Źli ludzie... poszli?

Gaines przykucnął i podał mu rękę.

- Poszli, Duong. Ty i twoja siostra możecie wyjść.

Miesiąc wcześniej, kiedy Stevens miał straszliwego kaca, Gaines towarzyszył Ann w jej sobotniej wyprawie do Hoa Phu. Spędzał czas próbując nauczyć chłopców gry w baseballa, używając piłki tenisowej i grubych kijów. Duong i Gaines polubili się natychmiast, a na pamiątkę spotkania Amerykanin zostawił chłopcu czapkę.

Czy ukryli ich tu rodzice, zanim zaczęła się masakra? Najprawdopodobniej podzielili los mieszkańców wioski.

Duong podsadził siostrę, potem sam wziął za rękę Gainesa i wspinał się ze schronu. Gdy byli już na powierzchni, porucznik wziął dziewczynkę za rękę, co wydawało się ją trochę uspokajać. Spojrzał na chłopca.

- Pamiętam cię, Duong. Powiedz siostrze, że nic wam już nie grozi.

- Dobrze, porucznik Scott.

Podczas gdy chłopak tłumaczył, Gaines poprosił Hidalgo, by znalazł kogoś, kto mógłby zaopiekować się dziećmi.

Dzieci zaczynały się powoli rozglądać po okolicy i dostrzegać ślady zniszczeń.

- Duong, chciałbym, żebyś mi pomógł - poprosił Gaines.

- Tak, porucznik Scott... Zabić tych ludzi?

- Odważny chłopak - skomentował DeLuca.

- Tak, Duong. Znajdę i zabiję tych, co to zrobili - przyznał Gaines. - Widziałeś któregoś z nich?

- Ja tylko widzieć, jak źli ludzie iść sobie - powiedział chłopak. - Oni iść tędy - pokazał ruchem głowy na najbliższą chatę. - Oni zabić moi rodzice?

- Nie wiem, Duong, ale musisz być bardzo dzielny. Za chwilę przyjdą tu inni i zajmą się wami. Ja muszę iść i znaleźć tych, co zniszczyli twoją wioskę. Rozumiesz?

- Duong rozumieć - chłopak nie spuszczał oczu z twarzy Gainesa. - Ja pomóc porucznik Scott.

- Bardzo się cieszę. Opowiedz mi, co widziałeś. Czy ludzie, którzy tu byli, są z Wietkongu?

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie Wietkong. Ja słyszeć, jak oni się śmiać. Bandydzi. Osiem bandyci. Oni śmiać się i mówić: Amerykanie myśleć my Wietkong.

- Czy prowadzili kogoś ze sobą?
- Tak, pani pielęgniarka - odparł chłopak.
- Widziałeś, dokąd poszli, Duong?
- Ja pokazać, porucznik Scott.

Wziął siostrę za rękę i poprowadził ich do miejsca odległego od ich kryjówki o kilkanaście metrów. Wyciągnął palec i powiedział tylko jedno słowo:

- Tam!

Gaines zauważył, że bandyci próbowali zatrzeć ślady starannie ułożonymi liśćmi i gałęziami. Ślady maczet rzucały się jednak w oczy, gdy patrzyło się z właściwej strony.

Hidalgo wrócił z piegopatym lekarzem, którego wesoła twarz i przyniesione w podarunku czekoladki zdobyły natychmiast serca dzieci. Przed odejściem Duong zapytał jeszcze:

- Porucznik Scott ścigać bandyci?
- Tak. Dziękujemy ci za pomoc, kolego. Jesteś bardzo dobrym żołnierzem.

Chłopak pokręcił głową.

- Ja dobrze grać w baseball - poprawił.

Doktor odprowadził dzieci do helikoptera.

- Boże, pomóż nam - westchnął Gaines, patrząc w ślad za dziećmi.

- Jeżeli w ogóle jest - mruknął Hidalgo. - Co my teraz zrobimy, poruczniku? Idziemy za nimi?

- A ty co myślisz, barania głowo? Wyślemy tych tutaj - kiwnął, głową w stronę żołnierzy Ottera - to zrobią taki rwetes, że bandyci usłyszą ich na całe mile i zabiją dziewczynę.

- To moja osobista sprawa - powiedział Gaines.
- Ich ośmiu, nas trzech - zastanawiał się DeLuca..
- Bywało już gorzej - podsumował Gaines. - Idziemy, Szczury.

Dali nura w zieloną ścianę dżungli i ruszyli truchtem w szyku bojowym, z bronią gotową do strzału.

Tay, nowy przyboczny Khonga po śmierci Ky, szarpnął Ann za włosy i podniósł jej głowę w stronę polaroida, którego trzymał w dłoni szef bandytów. Khong nacisnął migawkę, a błysk żarówki rozjaśnił wnętrze wojskowego namiotu odbijając się w nieobecnym spojrzeniu Ann.

Tay puścił jej głowę. Dziewczyna upadła na ziemię i przyglądała się im bez słowa. Miała związane ręce i nogi.

Gdy zdjęcie było gotowe, Khong oderwał je od taśmy prowadzącej i oglądał z zadowoleniem.

- Wystarczy.

Tay zaglądnął mu przez ramię.

- Zabijemy ją teraz?

- Niepotrzebnie się denerwujesz, Tay. W takich sprawach potrzeba trochę delikatności.

- Nie rozumiem.

- Zamierzam dostać za nią okup w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Amerykanie mogą zażądać dowodów, że żyje, zanim zdecydują się zapłacić - cierpliwie wyjaśnił Khong.

- A kiedy już zapłacą?

- A jak myślisz? - Khong zachichotał. - Nie można jej pozwolić, żeby im wszystko wyśpiewała.

- Szefie, jest pan mądrym człowiekiem.

- Szef musi być mądry - zgodził się Khong. - Inaczej nie mógłby być szefem. To dobrze, że rozumiesz, Tay. Każdy człowiek powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Gdyby Ky wiedział, nie musiałbym go zabić.

Khong ucieszył się, widząc cień przerażenia, jaki na chwilę przebiegł przez twarz Noha. Potem popatrzył na kobietę. Mimo, że nie rozumiała, o czym mówili, najwyraźniej też się bała. Zadowolonym wzrokiem mierzył jej ciało: zaokrąglone biodra i wystające piersi. Do tej pory nie zbliżył się do niej, bo im dłużej zwlekał, tym bardziej bała się ofiara i tym bardziej go podniecała.

Ale już niedługo...

W obozie panowała cisza. Ludzie Noha byli zmęczeni walką i zabijaniem.

Tego wieczora Khong miał zamiar wysłać Tay do Sajgonu z kopertą zaadresowaną do komendanta bazy w Lai Khe. W środku będzie tylko zdjęcie. Odczeka dzień lub dwa nim zatelefonuje z żądaniem okupu. Zastanawiał się, w jaki sposób i czy w ogóle podzielić się pieniędzmi z członkami bandy. Kto wie, czy nie byłoby najlepiej zabrać pieniądze i zacząć od nowa gdzie indziej. Mógłby z łatwością namówić Tay, by pomógł mu zabić pozostałych - wystarczy kilka celnych serii od tyłu, a potem on sam zabije Tay. Wtedy dziesięć tysięcy dolarów przypadnie jemu samemu w udziale. W tych stronach świata taka suma czyniła z człowieka króla.

Prawdziwa władza, pomyślał Khong...

Snucie planów przerwał mu jakiś hałas dochodzący z zewnątrz. Rozpoznał szorstkie głosy swoich ludzi, lecz jednego nie był w stanie skojarzyć z osobą.

- Tay, zobacz, kto to jest.

Tay miał właśnie wyjść na zewnątrz, by wykonać polecenie, lecz nim zdążył się poruszyć, poła namiotu odchyliła się i do środka weszło dwóch mężczyzn. Z tyłu namiotu stała trzecia sylwetka, mierząc z karabinu do jego ludzi.

To nie byli Amerykanie! Nosili czarne mundury Wietkongu, a głos, który Khong usłyszał wcześniej, należał do kapitana Quanga.

Quang spojrział prosto w oczy Khonga, lecz przemówił najpierw do żołnierza trzymającego karabin:

- Uważaj na nich, Vien. Jakby próbowali jakichś sztuczek, strzelaj bez wahania.

- Rozkaz - odparł służbiście Vien.

Khong poczuł, jak zasycha mu w gardle, ale nie czuł strachu. Całe życie spędził przecież w walce z innymi.

- Co pan tu robi, kapitanie Quang?

- Więc znasz mnie. Dobrze, oszczędzi nam to cennego czasu.

Quang spojrział na Ann. Bez współczucia, przyjmował tylko do wiadomości jej obecność.

- Przychodzę po tę kobietę.

Khong ruszył do przodu, próbując złapać Quanga za gardło, ale wymierzona weń lufa karabinu zatrzymała go i rozjaśniła nieco myśli. Cofnął się i opuścił dłoń.

- Nie rozumiem, kapitanie. Jakże może mieć dla pana znaczenie?

- Nie wasz interes. Potrzebuję jej. Jeżeli chcecie się przeciwstawić, zginiecie wszyscy - powiedział Quang tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Kapitanie Quang, czy tak się pan odwdzięcza za wyświadczone usługi? Ma pan

wysokie stanowisko w Wietkongu, powinien pan być wdzięczny za to, co dzisiaj zrobiliśmy w wiosce.

- Nie mam nic przeciwko śmierci Amerykanów - powiedział Quang - ani spacyfikowaniu wioski, która była do nich przyjaźnie nastawiona.

- Więc dlaczego...

- Potrzebuję tej kobiety i zamierzam ją stąd zabrać.

Quang wyciągnął z pochwy amerykański nóż wojskowy i pochylił się do przodu z zamiarem przecięcia więzów krępujących Ann.

Khong błyskawicznie skalkulował. Nie uśmiechało mu się stracić pieniędzy, których ucieleśnieniem była kobieta, musiał więc zaryzykować.

- Stój! - krzyknął.

Quang spojrzał na Khonga z zaciekawieniem.

- Co powiedziałeś?

- Nie jesteś mężczyzną - powiedział Khong. - Jesteś tchórzem, kapitanie Quang. Pozwoliłeś, żeby inni odwalili za ciebie brudną robotę. Boisz się walczyć ze mną o tę kobietę.

- Nie boję się nikogo.

Khong wskazał gestem na nóż, który Quang trzymał w ręce.

- Lubisz noże? To dobrze, bo ja też.

Sięgnął za plecy i wyciągnął nóż bardzo podobny do broni Quanga.

- Ośmielisz się walczyć przeciwko mnie na śmierć o kobietę, czy mam rację nazywając cię tchórzem?

Vien czekał na instrukcje od swego dowódcy. Quang skinął głową i Vien wyszedł z namiotu.

Khong kazał wyjść Tayowi i patrzył na Quanga stojąc po drugiej stronie związanej kobiety.

- Słyszałem, że twój syn wczoraj zginął - drażnił go Khong, wykonując nieznaczne koliste ruchy nożem. - Zabiję cię teraz i niech zdycha z wami jeszcze jedna rodzina tchórzów w tym kraju!

- Ty psie! - wybuchnął Quang. - Jak śmiesz obrażać pamięć mego syna bohatera i mojej rodziny! Zginiesz!

Skoczył do przodu mierząc w serce Khonga. Ten odbił uderzenie wyprostowaną lewą ręką, dłonią złapał za nadgarstek, a prawą ciął w okolicach gardła kapitana.

Walczyli tak przez minutę. Jedyнным dźwiękiem dochodzącym z namiotu było ciężkie sapanie.

Nagle Khong niespodziewanie kopnął Quanga. Zaskoczony kapitan upadł, lecz starczyło mu na tyle przytomności umysłu, by pociągnąć Khonga za sobą. Zakleszczyli się na chwilę w morderczym uścisku, próbując opanować ruchy noża przeciwnika. W pewnej chwili Quangowi udało się znaleźć na grzbiecie Khonga. Wykrzywione wściekłością twarze omal się nie dotykały.

- Jesteś dzikim bandziorem - wysyczał Quang. - Ja jestem żołnierzem, taka jest różnica między nami. Ja walczę za mój kraj, za rodzinę. Poddaj się, Khong, koniec z tobą.

- Nigdy! - ryknął Khong. Z nowym przypiływem sił zrzucił z siebie Quanga.

Walka trwała, lecz obaj wiedzieli, że nie potrwa zbyt długo, że jeden z nich popełni śmiertelny błąd.

Ann Bradley, nie mogąc się podnieść, patrzyła na nich pustymi oczyma.

Gaines prowadził, więc jako pierwszy usłyszał szmer głosów przed sobą.

Od dłuższego czasu znajdowali się w dusznym, wilgotnym uścisku dżungli. Oślepiająca swą różnorodnością zieleń, półmrok i kakofonia odgłosów zwierząt i ptaków wpływały otepiająco na zmysły. Prócz śladów pozostawionych przez bandytów, wokół nich nie było ani śladu istoty ludzkiej.

Zaczęli idąc pod górę, ale gdy doszli do ruin budowli, która kiedyś służyła jako świątynia, jak jeden mąż przypadli do ziemi.

Gaines naliczył pięciu mężczyzn w pośpiechu zwijających obóz. Strzępy rozmów docierające do nich świadczyły, że wzajemnie się ze sobą nie zgadzali. Ich strój i uzbrojenie nie pozostawiały żadnych wątpliwości - byli to bandyci.

Wokół stojącego w środku obozu namiotu nie było śladów żywej istoty. Gdzie jest ich przywódca? Gdzie Ann? Czy są razem? Pytania jedno za drugim kołatały w głowie Gainesa. Jeżeli są w namiocie, dlaczego nie wychodzą?

Pięciu bandytów. A chłopak naliczył w wiosce ośmiu...

Gaines wzdrygnął się. Obejrzał się w chwili, gdy zza drzew wynurzyła się za ich plecami sylwetka człowieka. Bez wątplenia celowała do nich z karabinu.

- Z tyłu! - rzucił Gaines. - Padnij!

Hidalgo i DeLuca nie tracili czasu, by przekonać się o tym na własne oczy i bez wahania przypadli do ziemi.

Z karabinu napastnika poszła długa seria. Kule zaszeleściły wśród liści nie całe pół metra nad ich głowami, a kilka z nich wpadło nawet w obręb obozowiska bandytów.

Gaines strzelił tylko raz ze swego M-16 i po gwałtownym wybuchu czerwieni,

napastnik zwał się bezwładnie do tyłu.

DeLuca zachichotał.

- Prosto w głowę. Nie marnujesz kul.

Od strony obozu nadleciały pociski. Bandyci nie mierzyli dobrze, próbując się ukryć w ruinach świątyni.

Trzej Amerykanie otworzyli ogień i para strzelających bandytów nakryła się nogami. W ułamek sekundy później Gaines starał się jedną serią skosić pozostałych, ale nie zdążył. Bandyci znów otworzyli ogień, który wcisnął oddział Gainesa w wilgotne podłoże dżungli.

- Starajcie się ich tam zatrzymać. - powiedział Gaines. - Ja ich zajdę z boku.

- Ty zawsze bierzesz sobie najlepsze kaski - poskarżył się Hidalgo.

Gdy bandyci przerwali ogień, DeLuca i Hidalgo natychmiast nacisnęli spusty. Tymczasem Gaines zbliżał się szybkim krokiem do miejsca, które dawało mu otwartą linię ognia na bandytów. Wtedy dostrzegli go i zaczęli strzelać, ale nie trafili. Gaines zasypał ich gradem kul, które rozpruły ich na strzępy, pokrywając czerwienią ruiny świątyni. Cholera! Chciał ich dostać żywych!

Na polanie zaległa cisza. Przez całą minutę oddział pozostawał na swych pozycjach nie mówiąc ani słowa, by nie ściągnąć na siebie ognia ukrytego strzelca. Do pełnego rachunku brakowało dwóch bandytów.

Gaines zniecierpliwiał się.

- Idę się rozejrzeć - zawołał do kolegów.

- Ubezpieczamy cię - nadeszła odpowiedź DeLuki. - Trzymaj się.

Gaines wyszedł z ukrycia, a gdy znajdował się w połowie drogi do ruin, z ziemi poderwał się na równe nogi młody chłopak i zaczął uciekać na oślep.

Tay myślał tylko o ucieczce.

Wszystko stało się tak nagle. Najpierw kapitan Quang i jego ludzie, a potem ten atak! Tay zabił w swoim życiu wiele kobiet i dzieci, ale teraz nie miał ochoty walczyć.

Amerykanie nie strzelają w plecy, pocieszał się. Popędzany tą myślą biegł tak szybko, jak tylko mogły unieść go nogi. Uda mi się!

Gaines strzelił z biodra i roztrzaskał biegnącemu kolano. Bandyta poleciał przed siebie jak łyżwiarz, któremu nagle zabrakło oparcia, i natychmiast zaczął krzyczeć.

Amerykanin stanął nad nim. Chłopak wiał się na ziemi z bólu, próbując na oślep chwycić bolącą nogę, która poniżej kolana była bezkształtną mieszaniną żył, krwi i strzępów kości. Gaines dotknął go lufą karabinu, lecz bandyta nie zwracał na to uwagi. Trzeba było najpierw pomóc mu się skoncentrować.

Gaines kopnął go w głowę. Bandyta krzyczał nadal, więc porucznik powtórzył. Kopnięcie nie było na tyle silne, by zmiądzzyć mu czaszkę czy ogłuszyć, ale tym razem wystarczyło.

Chłopak przestał wrzeszczeć. Szklistymi oczyma wpatrywał się w Gainesa i w lufę M-16 opartą na jego czole. Z trzęsących się ust wydobywały się co jakiś czas nieśmiałe jęki.

- Gdzie jest kobieta? - spytał Gaines w miejscowym narzeczu. Gadaj!

- Kapitan Quang... - bandyta zdołał wykrztusić, spoglądając trwożnie na namiot rozbity nie opodal. Po chwili, ogarnięty nową falą bólu, zaczął krzyczeć.

Przed oczami Gainesa stanął obraz masakry w Hoa Phu.

- Do zobaczenia w piekle, gówniarzu.

Kula z M-16 zamieniła głowę bandyty w mokrą plamę na ziemi. Gaines odwrócił się i poszedł w kierunku namiotu, siłą powstrzymując się od biegu. Zdał sobie sprawę, że jest bardziej zdenerwowany, niż powinien. Masakra, Ann w rękach wroga... Powtarzał sobie, że nie uratuje Ann, gdy zabraknie mu zimnej krwi.

Hidalgo i DeLuca wyszli z ukrycia. Skinęli głowami, rozumiejąc instrukcje Gainesa.

DeLuca stanął z boku polany ubezpieczając pozostałych. Hidalgo podszedł do namiotu z jednej strony, Gaines z drugiej. Na dany znak, obaj odwinęli poły namiotu i cofnęli się, by nie narazić się na kule. Po chwili zagłębili do środka.

Gdy zobaczyli ciało, opuścili broń. Nieżywy mężczyzna, jak na Wietnamczyka, miał pokązaną posturę. Leżał na plecach z nożem zagłębionym po rękkość w sercu.

Gaines wszedł do środka, Hidalgo został na miejscu.

- Kto to, do jasnej cholery? - krzyknął DeLuca.

- Nazywał się Khong Noh - powiedział Gaines. - Był poszukiwany przez nas jako bandyta w całej prowincji.

- Co z Ann? - spytał Hidalgo.

Gaines schylił się i podniósł kawałek sznurka leżącego po drugiej stronie namiotu i wyszedł na zewnątrz.

- Khong wziął ją do niewoli, ale nie wiadomo skąd wziął się Quang i mu ją odebrał, przynajmniej tak mogę się domyślać z tego, co mi powiedział bandyta, zanim go nie wykończyłem. Wydaje mi się, że walczyli ze sobą. Kiedy Khong zginął, jego ludziom brakło odwagi, pozwolili Quangowi zabrać ją bez walki i mieli sami stąd pryskać, kiedy myśmy nadeszli.

- Więc Quang żyje - powiedział Hidalgo. - I Ann też.

- Ale gdzie się mogli podziać, do diabła? - Hidalgo nie poddawał się, patrząc na

otaczającą ich ścianę dżungli. - Ani śladu po nich.

- Trudno się dziwić - przyznał Gaines. - Quang pokonał Khonga, bo po prostu był lepszy. Zna dżunglę na tyle, by nie zostawić żadnych śladów.

- Więc muszą tu gdzieś być - zdecydował Hidalgo. - A my nie mamy zielonego pojęcia gdzie. Niech to jasny szlag trafi.

- Wiemy, co Quang do ciebie czuje, poruczniku - powiedział DeLuca - dlatego lepiej byłoby znaleźć ją szybko. Jak się dowie, że jest twoją dziewczyną...

Gaines spojrzał po raz ostatni na ruiny i ciała zabitych.

- Jesteśmy w ślepym zaułku. Nic tu nie zdziałamy, pora wracać do bazy.

Na strychu starego baraku było niesłychanie gorąco.

Kapitan Quang zamachnął się. Ann widziała nadchodzący cios, lecz nie miała siły uchylić się przed nim. Wierch dłoni Wietnamczyka trafił ją prosto w twarz z taką siłą, że spadła ze skrzyni, na której siedziała. Kapitan zadawał jej pytania, a mężczyzna, którego nazywał Vien, przyglądał się.

- Powiesz mi wszystko, czego będę chciał, siostró Bradley. - Stał nad nią i patrzył wzrokiem pełnym pogardy. - Albo zginiesz.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po nazwisku. Przyjrzał się jej tabliczce identyfikacyjnej, potem zerwał ją z jej szyi i odrzucił na bok. Potem pokazał jej mapę. Nie chciała na nią spojrzeć, więc ją uderzył. Jego oczy błyszczały jak oczy szaleńca.

Spojrzała na Viena. Wyglądał na człowieka, który potrafi wszystko poświęcić dla sprawy. Ten też pewno oszalał, pomyślała, lecz najgorszego spodziewała się ze strony Quanga.

- I tak mnie zabijesz, kapitanie Quang.

- Aha, już mnie znasz.

Skinęła głową. Poznała Quanga od razu. Był dowódcą lokalnych oddziałów Wietkongu, więc jego zdjęcie znał na pamięć każdy żołnierz. Od chwili, gdy pojawił się w obozie bandytów, wiedziała, że nie czeka ją nic dobrego. W czasie szybkiego marszu przez dżunglę całkowicie odzyskała przytomność. Prowadziło ją dwóch żołnierzy. Nawet gdy zaplątała nogę w pnącza i potknęła się, nie zareagowali i wlekli ją przez jakiś czas, nim nie odzyskała równowagi.

Po jakimś czasie znaleźli się w starym baraku, który kiedyś służył za magazyn kauczuku. Przed wejściem czekała mała grupa uzbrojonych młodych mężczyzn i kobiet, mniej więcej w wieku Viena. Byli ciekawi jej widoku, lecz Vien kazał im się przenieść na drugi koniec baraku. Potem we trójkę weszli na gorący, duszny strych i zaczęło się przesłuchanie.

- Tak, i wiem co się stało z twoim oddziałem. Wiem też, że zginął twój syn.

Wzdrygnął się, jakby dotknęła otwartej rany.

- Więc może lepiej zrozumiesz swoje położenie, gdy ci powiem, co ja wiem o tobie.

Jesteś kochanką Scotta Gainesa.

- Nigdy nie byliśmy kochankami, po prostu umówiliśmy się na kolację - próbowała opanować wzruszenie. - A co Scott Gaines ma do tego?

- Wszystko. Nie próbuj udawać, dobrze wiesz, że jego oddział odpowiada za zniszczenie tuneli, śmierć moich żołnierzy i syna.

- Porucznik Gaines wykonywał rozkazy swojego przełożonego - powiedziała. - Tak czy tak, nic o tym nie wiem.

- Twoje kłamstwa sprowadzą na ciebie tylko ból. Są sposoby, żeby cię zmusić do mówienia, a kobiety nie są w stanie zbyt długo wytrzymać bólu. Radziłbym ci, żebyś się zdecydowała na współpracę.

Zauważyła, że gdy Quang wspomniał o torturach, Viena jakby coś tknęło. Patrzył prosto przed siebie unikając jej oczu.

- Nie pomogę wam - powiedziała Quangowi.

- Pomożesz. Bez względu na to, czy chcesz czy nie - stanął na wprost niej. - Daję ci ostatnią szansę uniknięcia cierpienia. Powiedz mi, gdzie jest Gaines.

Rzucił jej w twarz kawałek papieru. Kątem oka dostrzegła, że jest to dokładny plan bazy w Lai Khe.

- Nic wam nie powiem.

Quanga ogarnęła wściekłość. Nie zauważyła nadchodzącego uderzenia, które powaliło ją na ziemię. Trafiło w miejsce, gdzie dostała kolbę karabinu. Próbowała walczyć z ogarniającą ją falą nudności. Pulsujący ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy, lecz starała się nie stracić przytomności.

Nie poruszyła się, więc Quang podszedł bliżej i przewrócił ją na plecy. Miała zamknięte oczy i oddychała głęboko.

Quang wyprostował się i wraz z Vienem rozpoczęli dyskusję na jakiś temat. Nie rozumiała tego, co mówią, lecz mogło to mieć coś wspólnego z nią.

Vien, jak tylko mógł, starał się opóźnić nadchodzącą konfrontację z kapitanem, ale wiedział, że w sprawie tej kobiety nie może bez zastrzeżeń słuchać Quanga.

Kapitan zaczął.

- Obudź ją i przyciśnij trochę. Chcę, żeby nam powiedziała, gdzie Gaines może być dziś w nocy, kiedy zaatakujemy.

Vien odchrząknął i spojrzał mu w oczy.

- Z całym szacunkiem, panie kapitanie, ale nie mogę wykonać pańskich rozkazów.

Quang spojrzał na niego przenikliwie.

- Czy dobrze cię słyszę, Vien? Masz obudzić tę kobietę i wyciągnąć od niej, co wie.
- Nie będę brał udziału w torturach.
- Gdy poszliśmy do obozu Khonga, wiedziałeś, że będziemy ją przesłuchiwać.
- Nic pan nie mówił o torturach. To przecież kobieta.
- Tak samo jak nasi najzdolniejsi żołnierze - warknął Quang. - Co to ma za znaczenie?
- Jest Amerykanką, więc myślałem, że łatwo da się zastraszyć i zacznie mówić. Nie przypuszczałem, że sprawy zajdą aż tak daleko.

Quang uśmiechnął się zagadkowo.

- A gdy szlachetne ideały rewolucjonisty staną w konfrontacji z rzeczywistością, rewolucjonista zawodzi, bo jest tylko małym chłopcem, który chce się bawić. I nie ma dla niego miejsca w prawdziwym świecie poświęcenia i walki.

- Moja grupa i ja jesteśmy przygotowani na największe poświęcenie, gdy dziś zaatakujemy bazę - sprzeciwił się Vien. - Oddamy życie, by wygnać z naszego kraju imperialistycznych najeźdźców, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Jesteśmy gotowi do poświęceń i proszę tego nie kwestionować.

- Nie sądziłem, że okażesz się niezdyscyplinowany, Vien.

- Przykro mi, kapitanie, ale stanowczo sprzeciwiam się torturom.

- Śmiesz mi się przeciwstawiać...

- Ta kobieta jest pielęgniarką, panie kapitanie. Nie bierze udziału w walkach. Nie chciałbym pana obrazić, ale nie zamierzam zostać oprawcą kobiet.

Przez kilka minut Quang zastanawiał się, co robić. Vien nie miał wątpliwości co do tego, o czym myśli. Z pewnością rozważał sprawę pozostałych członków oddziału, na których posłuszeństwo liczył dziś w nocy.

Quang uspokoił się.

- Dobrze, Vien. Może masz rację. Przesłuchamy ją później, a teraz chodźmy odpocząć.

Kapitan zszedł ze strychu i zostawił go samego z nieprzytomną kobietą. Vien odetchnął z ulgą. Był zadowolony, że ta konfrontacja nie przerodziła się w coś poważniejszego, ale pewne wątpliwości pozostawały. Czy przypadkiem kapitan Quang nie próbował ich wykorzystać w swojej osobistej rozgrywce ze Scottem Gainesem?

Quang powiedział Vienowi, że chce znać rozmieszczenie oddziałów w bazie, lecz gdy przyszło do zadawania pytań, Quanga interesował jedynie człowiek, który według niego odpowiadał za śmierć jego syna.

Vien znał plany akcji. Oczekiwał, że do walki poprowadzi ich syn Quanga, więc po

jego śmierci ucieszył się, że to właśnie ojciec przeprowadzi plan syna. Właściwie wykonany atak mógł spowodować w bazie wielkie zniszczenia.

Nienawidził Amerykanów, ale zależało mu na kolegach, którzy wraz z nim przyszlizli na tę akcję. Miał zamiar śledzić poczynania kapitana i zareagować, gdyby jego obsesja na punkcie Gainesa miała zagrozić ich życiu.

Zszedł na dół, znikając z pola widzenia Ann, która przez cały czas obserwowała go przez półprzymknięte powieki.

Nie wiedziała, dlaczego Vien stanął w jej obronie. Wyglądał na ulepionego z innej gliny niż Quang. Kapitan był twardym żołnierzem, który najprawdopodobniej myślał o swej obsesji w kategoriach wojskowych. Cel uświęca środki, nie wyłączając tortur i masowych mordów dokonywanych na niewinnych ludziach. Znała wielu Amerykanów, którzy zgodziliby się z takim postawieniem sprawy.

Teraz tylko dwie sprawy zaprzętały jej myśli. Po pierwsze, Quang miał zamiar zaatakować bazę w Lai Khe. Po drugie, musiała stąd jak najprędzej uciekać.

Niedaleko miejsca, gdzie leżała, znajdowało się małe kwadratowe okienko. Quang z pewnością postawił na dole jakiegoś strażnika, by ten przywołał go natychmiast, jak tylko odzyska przytomność.

Musiała uciec! Wrócić do bazy i ostrzec wszystkich przed zbliżającym się atakiem.

Fakt, że Quang zgromadził żołnierzy na opuszczonej plantacji wskazywał na to, że atak ma nastąpić tej nocy. Dowodził batalionem żołnierzy rozlokowanym w tunelach, więc dzisiejsza operacja też zacznie się przez tunel. Mapa bazy, zaangażowanie Quanga i uzbrojeni ludzie... Nie było innego wytłumaczenia.

Scott Gaines miał być celem ataku. Bez względu na to, co Quang zamierzał zrobić tej nocy, musi zabić Scotta lub sama zginie, tego była pewna.

Podczołgała się ostrożnie nad krawędź strychu i spojrzała w dół. Pozostałej części oddziału najwidoczniej pozwolono wrócić do środka. Część z nich rozmawiała półgłosem, inni spali. Nie zauważyła Quanga ani Viena.

Przy drabinie stał oczywiście strażnik, ale nie miał chyba rozkazu sprawdzać, co się z nią dzieje, bo chodził tam i z powrotem nie spoglądając nawet do góry.

Jak potrafiła najciszej, przysunęła się do okna. Zakłęła pod nosem, bo ujrzała coś, co do tej pory zasłaniała jej gra cieni. Okno było zamknięte na kłódkę. Nie da rady go otworzyć.

Zrezygnowana oparła się o ścianę i usiadła na podłodze. Zawód przejął ją do głębi. Musiała przecież jakoś się stąd wydostać. Kłopot w tym, że nie wiedziała jak.

Ściemniało się dosyć wcześnie. Masa burzowych chmur zmieniała powoli kolor na popielatogranatowy. Ani na chwilę nie przestawało grzmieć. Powietrze było pełne wilgoci, lecz deszcz nie zaczynał padać.

Gdy Gaines z oddziałem wrócili do Hoa Phu, czekał już na nich helikopter. Po wylądowaniu w bazie natychmiast zameldowali się w bunkrze kapitana Cartera.

Gaines martwił się. Niepokój o Ann dawał mu się we znaki już w dżungli, lecz teraz, gdy nie mieli nic do roboty, groził, że zmieni się w szaleństwo.

Carter czekał na nich sam z z troskaniem malującym się na twarzy.

Gaines natychmiast zapytał:

- Thu nie wrócił jeszcze z Sajgonu?

- Nie - Carter zaprzeczył ruchem głowy.

- Wróci przed zmierzchem, jak obiecał - pocieszał ich Hidalgo.

- Nie martw się - dodał DeLuca. - Wróci z wiadomościami o Quangu.

- Niepokoję się. Zanim nie wróci, nie możemy nic zrobić w sprawie Quanga. Wiemy, że żyje, nie wiemy tylko, gdzie się ukrywa i gdzie przetrzymuje Ann - powiedział Gaines.

- Coś wisi w powietrzu - zauważył Hidalgo. - i nie jest to tylko deszcz.

- I coś tu nie gra - zastanawiał się na głos DeLuca. - Po jaką cholerę Quang wybierał się do obozu bandytów i zabijał ich szefa? Przecież nie obchodzi go, co robił z jeńcami. Cieszyłyby się tylko, że kilku więcej z ich wspólnych wrogów zginęło.

- Quang chce się od niej czegoś dowiedzieć - zawyrokował Gaines. - To jedyna możliwość. Macie rację, inaczej coś tu nie gra.

- Co jeszcze wiemy? - zapytał Carter. - Musimy sobie jakoś poradzić.

- Wydaje mi się, że wszystko w jakiś sposób łączy się z kradzieżą amunicji i sprzętu - dodał Gaines.

- Szpieg w naszych szeregach - zgodził się Carter.

- Jeżeli Quang ma wśród nas swojego człowieka, ten właśnie człowiek może nam powiedzieć, gdzie powinniśmy szukać kapitana, a wtedy będziemy wiedzieć, gdzie jest Ann - ciągnął Gaines.

- Sam pan mówił, kapitanie, że znikająca amunicja to tylko wierzchołek góry lodowej

- przypomniał DeLuca.

- W dodatku ten facet nie może być zwykłą płótką, inaczej nie miałby dostępu do wielu informacji - wtrącił Hidalgo.

- Jeszcze nie dostaliśmy informacji z centrali o majorze Dow i Xongu - powiedział Carter.

- Mnie się oni od początku nie podobali - pokręcił głową Hidalgo.

- Ani mnie - zawtórował DeLuca.

- Kapitanie, a może by tak zaprosić majora na małą pogawędkę - zaproponował Gaines. - Niech przyjdzie sam, bez Xonga.

- To da się zrobić - zgodził się Carter i sięgnął po słuchawkę.

Za chwilę zgłosił się major Dow.

Zgodnie z prośbą Cartera, przyszedł sam. Gaines wyczuł, że oficer czuje się niepewnie, choć stara się ze wszystkich sił nie dać tego poznać po sobie.

- Panowie - przywitał ich sztywno. - Pozwólcie, że wyrażę swoje współczucie z powodu waszych kolegów, zabitych w Hoa Phu. Armia Republiki Wietnamu podejmie wszelkie...

- Bardziej interesowałoby nas - przerwał mu Carter - co zrobiliście w sprawie włamań do magazynów.

- Tak, znowu szpiedzy - powiedział Dow. - Czy mogę zapytać, dlaczego nie chcieliście, żebym przyszedł tu razem z porucznikiem Xongiem?

- Niech pan nie udaje Greka - nie wytrzymał Hidalgo. - Chcemy jasnej odpowiedzi.

- Greka? - Dow wyglądał na zaskoczonego.

- Mówi, że nie odpowiada pan na pytania - wyjaśnił Gaines. - Proszę nam powiedzieć, co do tej pory ustaliliście.

Dow westchnął.

- Wiecie panowie, że na czele śledztwa postawiłem porucznika Xonga.

- Dlatego właśnie nie chcieliśmy, by tu przyszedł. - powiedział Carter. - I jeszcze z kilku innych powodów.

- Ktoś tu mówił, że jest najlepszym człowiekiem do takich zadań - przypomniał Gaines.

- Popełniłem błąd, panowie. Gdy porucznik Xong powiedział mi, że cały dzień spędził na śledztwie i niczego się nie dowiedział, wzbudziło to moje podejrzenia. Widzicie panowie, mnie się też wydaje, że jest wśród nas szpieg i że jest to porucznik Xong.

- Dlaczego? - zapytał Gaines.

- Kazałem go sprawdzić - powiedział Dow. - Dwa razy wychodził z bazy. Okłamał mnie. To nie jest dowód, ale uważam, że powinien zostać przesłuchany.

- Nie spieszył się pan z tą wiadomością - zauważył Carter.

- Przyszedłem zaraz, jak tylko zostałem wezwany, panie kapitanie.

- O to właśnie chodzi - powiedział DeLuca. - Trzeba było pana wzywać.

- Jeżeli to prawda, uważam zdradę Xonga za osobistą porażkę - powiedział ze smutkiem Dow.

- Poza tym dziwna śmierć Phama - przypomniał Hidalgo. - Jeżeli Xong jest na liście płac Wietkongu, Pham nie popełnił samobójstwa.

- Czy mogę zapytać dlaczego wy, panowie, uważacie, że Xong jest szpiegiem?

- Quang musiał mieć swego człowieka w dowództwie - wytłumaczył Gaines. - Pan, porucznik Xong i kilku innych - to właśnie dowództwo.

- Więc mnie też podejrzewacie, że jestem szpiegiem? - Dow nie posiadał się ze zdumienia.

Gaines wstał.

- Odszukajmy Xonga. Musimy z nim porozmawiać.

Nie miał zamiaru opowiadać majorowi o tym, co zaszło po ataku bandytów na Hoa Phu.

- Dobrze - powiedział Dow. - Widzę, że muszę wam dowieść swojej lojalności. Wolałbym, żebyście mnie traktowali jak żołnierza, jak przyjaciela, ale udowodnię wam, po czyjej jestem stronie. Osobiście wezmę udział w schwytaniu i przesłuchiowaniu porucznika Xonga.

Gaines nie wytrzymał.

- Niech pan zachowa dla innych gładkie słówka, majorze. Pomoże nam pan go złapać, a my go już sobie przesłuchamy.

- Jak chcecie.

- Gdzie on jest?

- Chodźcie, zaprowadzę was do niego.

Gaines spojrzał na Cartera, który kiwnął głową przyzwalająco.

Wyszli z namiotu we czwórkę: Gaines i Dow z przodu, za nimi Hidalgo i DeLuca. Zdecydowanym krokiem zmierzali w stronę bunkra dowodzenia armii wietnamskiej.

Po drodze Dow powiedział:

- Dowiedzieliśmy się, że wśród ludności cywilnej krążą plotki o tym, że kapitan Quang przeżył.

- My też już o tym wiemy - machnął ręką Gaines.

- To właśnie Xong zwrócił na to naszą uwagę. Czy zrobiłby to, gdyby był szpiegiem?

- Oczywiście - rzucił DeLuca z tyłu. - Wiedzieli, że prędzej czy później wszystko się wyda.

- Xong powiedział nam o tym, żeby zrzucić z siebie podejrzenia - zgodził się Hidalgo.

Dow ruchem głowy wskazał na bunkier dowodzenia, do którego zbliżali się szybkim krokiem.

- Tu właśnie znajdziemy porucznika Xonga, jeżeli nie przyszło mu do głowy gdzieś wyjść.

- Jak to rozgrywamy, poruczniku? - zapytał DeLuca.

- Spokojnie - powiedział Gaines. - Zajdziecie z dwóch stron bunkra i wkroczycie do akcji, jakby chciał uciec. Major i ja wchodzimy do środka. Pamiętajcie, że mamy do niego parę pytań i bierzemy go żywego.

Hidalgo i DeLuca udawali się właśnie na swoje pozycje, gdy z bunkra wyszedł Xong. Zobaczył nadchodzącą czwórkę i zorientował się, że idą po niego. Przez moment przypominał Gainesowi osaczone zwierzę, a w chwilę później już biegł na złamanie karku.

Żołnierze ruszyli za nim. Gaines i Dow odbezpieczyli pistolety.

Xong wybrał zły kierunek ucieczki, znalazł się bowiem w ślepych zaułku, gdzie zbiegały się trzy bunkry. Zdawszy sobie z tego sprawę, odwrócił się twarzą w kierunku ścigających i wyjął broń.

Gaines zaczął krzyczeć w jego stronę, żeby się zatrzymał, że nie mają zamiaru go zabić, lecz przerwało mu krótkie szczeknięcie pistoletu majora Dow.

Xong jęknął z bólu i upadł twarzą do ziemi. Nie ruszał się.

Gaines myślał, że udusi majora gołymi rękami. Strzał wywołał w bazie poruszenie. Zewsząd nadbiegali żołnierze wietnamscy i amerykańscy chcąc się dowiedzieć, co się stało.

Hidalgo i DeLuca opuścili broń i podeszli do nieżyjącego.

- Mówiłem panu, majorze, że chcemy go żywego - powiedział Gaines.

- Ale właśnie w nas wycelował - nie chciałem, żeby się komuś coś stało...

Hidalgo i DeLuca podeszli do nich.

- Zabity na amen - oznajmił DeLuca.

- Dostał między oczy - uzupełnił Hidalgo. - Dobrze pan strzela, majorze.

- Niech pan stąd idzie, majorze - powiedział Gaines ledwo opanowując złość. - Niech pan stąd idzie, do jasnej cholery.

- Przykro mi - tłumaczył się Dow. - Nie zdawałem sobie sprawy...

- Zabieraj się stąd!

Tym razem Wietnamczyk wyczuł groźbę kryjącą się za słowami Gainesa.

- Tak... przykro mi, chciałem tylko pomóc... - powiedział cicho skruszonym tonem.

Nagle odwrócił się i odszedł.

Gaines spoglądał za nim i uspokoił się trochę, przypomniawszy sobie, że nie może pozwolić sobie na takie uczucia, gdy życie Ann wisi na włosku.

Ann. Właśnie stracili ostatnią nitkę, prowadzącą do kapitana Quanga...

Sprawą porucznika Xonga zajęła się natychmiast policja wojskowa Armii Republiki Wietnamu. Gdy wrócili do bunkra Cartera, kapitan czekał już na nich, a u jego boku stał Thu. Żołnierze wymienili powitalne gesty, po czym Gaines pokrótce zdał sprawę Carterowi z tego, co zaszło.

Carter zmarszczył brwi.

- Mógłbym zażądać, żeby go zatrzymali i przekazali nam.

- Myślałem o tym - powiedział Gaines. Nie zgodzą się na to bez jakiegoś dowodu, a my nie mamy nic.

- Zawsze możemy się sami do niego zabrać - zaproponował DeLuca. - Trochę perswazji, i jeśli wie coś o Quangu, wyśpiewa nam wszystko.

- Jeżeli rzeczywiście jest szpiegiem, stoi za wysoko, żeby kontaktować się bezpośrednio z Quangiem - zauważył Gaines. - Chyba nawet nie wie, gdzie jest, żeby było bezpieczniej. Kontaktowali się przez Xonga. A na dodatek, możemy się mylić.

- Więc posłuchajcie, czego Thu dowiedział się w Sajgonie - przerwał Carter. - Szykuje się coś nowego.

- Ngai Quang żyje - zaczął Thu. - Teraz oczywiście już o tym wiecie, po masakrze w Hoa Phu. Ale nasłał też na ciebie morderców.

- Przynajmniej to możemy określić - mruknął Gaines. - Gdzie się ten drań ukrywa?

- Nie wiadomo dokładnie, ale poczekaj, aż usłyszysz resztę - wtrącił Carter.

- Po drodze do autobusu, którym chciałem wrócić do bazy - ciągnął Thu - zauważyłem kobietę, która kiedyś była moim informatorem. Nigdy nie powiedziała mi nic szczególnego, ale miała swoje powody. Jej mężem jest student o dość radykalnych poglądach, na imię ma Vien. Od czasu do czasu coś powie, bo chce, żebyśmy dostali w swoje ręce tych, którzy ciągle zabierają jej męża na jakieś akcje, po prostu chce mieć męża przy sobie. Tak jak ma być w rodzinie.

- Nigdy nie zagrzałem zbyt długo miejsca w domu, kiedy byłem żonaty - zachichotał DeLuca.

- Dlatego właśnie płacisz alimenty - skontrował Hidalgo.

- Dajcie sobie siana, chłopaki - powiedział Gaines. - I co ci powiedziała ta kobieta?

- Była przygnębiona, bo mąż powiedział jej, że nie wróci na noc do domu, że może w ogóle nie wrócić, bo zginie za sprawę. Powiedział, że kapitan Quang wyznaczył go do poprowadzenia ataku na bazę. Nie chciała powiedzieć tego Amerykanom, ale nie chce, żeby jej mąż zginął. Wytłumaczyłem jej, że jeśli atak dojdzie do skutku, zginie wielu niewinnych ludzi, że Viena i Quanga trzeba powstrzymać. Obiecałem jej zatroszczyć się o to, by jej mężowi nic się nie stało. Opowiedziała mi o wszystkim, ale nie wiedziała, gdzie mają zgrupowanie.

- Już zarządziliśmy specjalne środki bezpieczeństwa. - powiedział Carter. - Miałeś rację w tym, że szykuje się coś poważnego.

- Jeżeli Quang macza w tym palce - rzekł Gaines - będziemy mieli do czynienia z podkopem.

- Racja - wykrzyknął Carter. - Wysłałem już kilka oddziałów w poszukiwaniu tunelu. Wy też powinniście do nich dołączyć.

Nad ich głowami zagrzmiało i pierwsze krople deszczu spadły na ziemię.

Gorąco panujące na strychu, zmęczenie, szok po przejściach minionych dwudziestu czterech godzin i zniechęcenie, gdy wreszcie zdała sobie sprawę, że znajduje się w pułapce bez wyjścia, złożyły się na to, że zapadła w głęboki, niespokojny sen.

Obudziła się czując, że ktoś potrząsa nią gwałtownie. Otworzyła oczy. Leżała na podłodze koło ściany pod zamkniętym oknem. Położyła dłonie na podłodze. Wydawało jej się, że samo podniesienie własnego, bezwładnego ciała do pozycji siedzącej wymaga nadludzkiego wysiłku.

Nie była pewna, ale jak przez mgłę słyszała kroki oddalające się od niej. Zmysły powoli zaczynały funkcjonować. Starła się je w jak najkrótszym czasie opanować. Udało się.

Była sama na strychu. Ktoś musiał wejść do niej na górę, obudzić i zejść z powrotem na dół, nim zdążyła przyjść do siebie.

Z dołu dochodziły ją przytłumione głosy ludzkie, lecz nie rozumiała, o czym mówią.

Spojrzała w stronę okna. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej. Ale coś było nie tak...

Zauważyła i przez chwilę nie wierzyła własnym oczom.

Kłódka, zamykająca okno zniknęła!

Zmarszczyła brwi. Ktoś wszedł tutaj, zdjął kłódkę, obudził ją i nim zdążyła się zorientować kto to, zszedł na dół. Ale kto? zastanawiała się. I dlaczego?

Wszystko jedno. Trzeba uciekać!

Otworzyła okno, ale zawahała się na chwilę. Może to pułapka? Ale w jakim celu? Jeżeli chcieli ją zabić, po co udawać, że uciekała? Zdecydowała, że nie ma to najmniejszego sensu.

Nie było czasu na dalsze zastanawianie się. Pojawiła się szansa i należało ją wykorzystać.

Okno było na tyle duże, że mogła się przez nie przecisnąć. Upewniwszy się, że ma pewny chwyt, pozwoliła nogom przez chwilę wisieć beczynnym. Nie wiedziała dlaczego, ale wisiała tak przez jakiś czas.

Boisz się, dziewczyno!, powiedziała sobie.

Spojrzała w dół. Wylądowała prosto w gąszczu wysokiej trawy, która podchodziła do samej ściany baraku. O kilka kroków dalej grunt opadał lekko.

Puściła się i wylądowała na mokrej od deszczu trawie i potoczyła w dół. Kiedy wstała, czuła jedynie lekki ból w okolicy biodra, na którym wylądowała.

Rozejrzała się niepewnie dookoła. Nie była jeszcze do końca przekonana, że nie jest to kolejna sztuczka kapitana Quanga.

Barak stał pogrążony we mgle. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek zauważył jej ucieczkę.

Odwróciła się, zaczęła biec i upadła. Podniosła się i ruszyła dalej, przez cały czas spodziewając się, że lada chwila usłyszy huk wystrzału lub rozkaz zatrzymania się. Tak czy owak miała zamiar nie stawać ani na chwilę.

Muszę dostać się do bazy, muszę ich ostrzec, myślała. Muszę ostrzec Scotta!

O parę kroków przed nią zaczynała się dżungla.

Kapitan Quang zebrał oddział Viena koło drabiny prowadzącej na strych.

- Na nas już czas - powiedział. - Vien, wyprowadź ludzi i każ im przygotować się do wymarszu. Schodzimy do tunelu.

Vien zmarszczył brwi.

- Myślałem, że atak zacznie się tuż po północy.

- Zaskoczymy ich - powiedział Quang. - Wskoczymy z tunelu z bronią w rękę i zarzucimy ich granatami.

- Ale według planu mieliśmy się wśliznąć pod osłoną ciemności i założyć ładunki wybuchowe w najczulszych miejscach bazy i użyć siły tylko w przypadku wykrycia naszej obecności.

Vien zdawał sobie sprawę, że sześciu mężczyzn i dwie kobiety, wchodzący w skład jego oddziału, przysłuchiwali się uważnie każdemu ich słowu. Każdy z nich miał ze sobą po kilkanaście zapasowych magazynków, granatów, każdy miał swoją porcję materiałów wybuchowych i zapalników. Biło od nich pełne napięcia oczekiwanie.

- Zmieniłem plan - oznajmił Quang. - Naszym celem będzie nie tylko psychiczne załamanie wroga, lecz także jego fizyczne zniszczenie. Zabijemy wielu z nich, a wtedy każdy Amerykanin zda sobie sprawę, że nigdzie nie jest bezpieczny, że wszędzie dopadną go nieustraszone oddziały Wietkongu. Czy ktoś chciał poddać w wątpliwość moje słowa?

Vien zebrał się na odwagę.

- Tylko pytałem dlaczego, panie kapitanie.

- W bazie będzie tej nocy więcej Amerykanów, toteż więcej ich zginie - Quang patrzył na żołnierzy. - Czy jest wśród was ktoś, kto nie chce umrzeć za swój kraj?

Cała grupa, jak na dany znak, pokręciła przecząco głowami.

- Znakomicie - ucieszył się Quang. - Powtarzam rozkaz, Vien. Przygotuj ludzi do wymarszu.

- A pan?

- Zajmę się naszym więźniem.

Quang wspinał się na górę po drabinie.

Vien odwrócił się do swych ludzi.

- Słyszeliście, co powiedział kapitan. Mam nadzieję, że jesteście gotowi. Jeżeli nie, możecie odejść. Nikt wam tego nie weźmie za złe.

- Walczymy za nasz kraj - powiedziała jedna z kobiet. - Nie uciekniemy jak psy.

Inni zgodnie skinęli głowami.

Vien wyszedł z nimi na zewnątrz. Przejrzał plan Quanga. Kapitan miał zamiar torturami zmusić dziewczynę do tego, by powiedziała mu, gdzie szukać Gainesa, a potem poderznąć jej gardło i dołączyć do oddziału.

Ryk Quanga, gdy odkrył, że dziewczyna uciekła, wstrząsnął barakiem w posadach.

- Vien, chodź tutaj natychmiast!

Nie miał wyboru. Podjął wielkie ryzyko. Gdy Quang zasnął, wyszedł na górę, zdjął kłódkę z okna i obudził kobietę. Potem szybko uciekł. Strażnik postawiony przy drabinie niczego nie podejrzewał.

Quang stał przy otwartym oknie.

- Wytlumacz mi to, Vien. Co tu się stało?

- Nie mam pojęcia - Vien wcześniej przygotował sobie odpowiedź.

- Jak mogła uciec? To ty jej bronieś, ty jej pomogłeś, kiedy ja spałem!

- Wyszedłem tylko raz na górę, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje. Była nieprzytomna, więc wróciłem. To wszystko.

Twarde spojrzenie Quanga nie pozostawiało wątpliwości, że kapitan zna prawdę. Ale nie odezwał się. Pospiesznie zszedł na dół, dołączył do grupy żołnierzy i zaczął wydawać rozkazy.

- Was troje - w tę stronę. - Wskazał dłonią na ścianę drzew, mającą przed nimi. - Wy rozdzielcie się i sprawdźcie, co się da.

Ostatniej parze kazał rozejrzeć się po najbliższej okolicy.

- Spotykamy się tu wszyscy za piętnaście minut.

Gdy wszyscy zniknęli, Vien zapytał:

- A co ja mam robić, kapitanie?

- Po przesłuchaniu Amerykanki - zaczął Quang - obaj zeszedliśmy na dół, a ja pozwoliłem sobie na chwilę drzemki. Byłem zmęczony po całym dniu, ale stało się. Zasnąłem. A ty to wykorzystałaś, Vien.

- Nie wiem, o czym pan mówi, kapitanie.

Quang wyciągnął pistolet.

- Jesteś zdrajcą. Chce mi się rzygać na twój widok.

- Dlatego odesłał pan innych. Żeby mnie zabić.

- I żeby znaleźli kobietę, choć tak naprawdę, nie ma to większego znaczenia - powiedział Quang. - Zanim zorientuje się, w którą stronę ma iść, my dawno zaatakujemy bazę. Spóźni się - w oczach błysnęła zapiekła nienawiść. - Myślisz, że oszalałem, prawda?

- Tak, kapitanie. I zabiera pan moich przyjaciół na pewną śmierć, tak jakby pan sam jej szukał.

- Słusznie. Zawsze uważałem, że jesteś bardzo bystrym młodym człowiekiem. Problem polega na tym, że nie rozumiesz pewnych rzeczy, na przykład tego, że na wojnie nie ma miejsca na współczucie. I kto wie, czy nie masz racji. Możliwe, że oszalałem, ale i tak nie ma to znaczenia dla naszej rozmowy, która jest twoją ostatnią.

- Ma znaczenie dla moich przyjaciół - powiedział Vien. - Za mną poszliby wszędzie. Chcieli wziąć udział w akcji, bo pana syn był moim kolegą i prosił mnie o pomoc w opracowaniu planów ataku na bazę. Kiedy przyprowadziłem ich tutaj, byłem pewien, że pan zajmie jego miejsce.

- Twoi ludzie pójdą za mną - rzekł Quang. - Masz rację, Vien, jestem szalony. Ale widzisz, nic mi już w życiu nie pozostało, a to każdego może przyprawić o szaleństwo. Umrę za jakieś pół godziny. Właściwie czekam na śmierć. Wreszcie będę razem z żoną i dziećmi i zginę z bronią w ręku, walcząc z wrogami naszego kraju.

- Wykorzystuje pan tych, co są gotowi oddać życie za swe przekonania. Chce pan poświęcić ich życie, by zaspokoić swe pragnienie zemsty, a teraz chce mnie pan zabić, żebym ich nie zbuntował przeciwko panu.

- Zabiję cię, bo jesteś zdrajcą! - warknął Quang.

Vien zdawał sobie sprawę, że Quang ma zamiar nacisnąć spust i rzucił się na niego. Obaj upadli na ziemię. Pistolet wypadł kapitanowi z ręki i gdzieś się zawieruszył, lecz był znacznie starszy i bardziej doświadczony niż Vien. Kopnął go w brzuch, co sprawiło, że uścisk Viena osłabł. Przywalił go swym ciężarem i wyjął nóż.

Z wściekłością wbił go w klatkę piersiową Viena, którego ciało wygięło się w łuk. Krew trysnęła z rany, gdy wyciągnął ostrze. Uderzył jeszcze raz. Ciało Viena opadło na

ziemię, wstrząsnął nim dreszcz i wydawało się, że skołał.

Quang wytarł nóż o koszulę Viena i wstał. W pobliżu nie było nikogo, nikt nie widział, co się stało.

Schował nóż do pochwy, chwycił ciało Viena za nogi i zawlókł je do baraku, za najbliższe przepierzenie. Stał w rozkroku nad ciałem i powiedział do siebie:

- Nic mnie nie powstrzyma przed dokonaniem zemsty. Znajdę Gainesa. Mój syn zostanie pomszczony, a ja dołączę do swojej rodziny - skończywszy litanie, splunął na ciało i wyszedł.

W miejscu, gdzie upadł Vien, pozostała kałuża krwi, a jej ślady wiodły do środka baraku. Quang szybko odszedł na bok. Drużyna Viena zbliżała się powoli ku barakowi. Padający deszcz zdążył ich już przemoczyć do suchej nitki.

Quang wyszedł im naprzeciw.

- Wysłałem Viena po posiłki.

- Kiedy uderzymy, kapitanie? - zapytała młoda kobieta.

- Musimy zacząć już teraz - Quang mówił powoli i rozważnie. - Vien i pozostali zdążą wykonać swoją część zadania.

- Jesteśmy gotowi, kapitanie. Możemy zaczynać.

- Więc chodźmy - powiedział cicho Quang. - Już czas.

Ann nie mogła biec. Zarośla były zbyt gęste, a ziemia zbyt śliska. Wydawało jej się, że pływa, próbując utrzymać równowagę w zapadającym zmroku. Od tego, czy dotrze do bazy w Lai Khe na czas, zależało życie wielu amerykańskich żołnierzy.

Nie miała jednak pojęcia, gdzie się znajduje. Straciła wszelką orientację, gdy po masakrze w Hoa Phu ogłuszyli ją bandyci. Próbowała się uspokoić, lecz nie przyszło jej to łatwo. Dobrze, że przespaa się trochę w baraku, czuła się teraz znacznie silniejsza.

Zatrzymała się. Nagle zorientowała się w grozie swego położenia. Sama, w środku dżungli... Za chwilę zrobi się całkiem ciemno.

Plantacja kuczuku, pomyślała. Przecież gdzieś w pobliżu musi być droga. Muszę wrócić do baraku, idę w złym kierunku...

Miała się właśnie odwrócić, gdy wpadł na nią jakiś cień i pozbawił ją tchu. Silne męskie ręce nie pozwoliły jej upaść, a w uszach zabrzmiał głos Scotta Gainesa:

- Spokojnie, Ann, spokojnie. Jesteś u swoich.

19

- Scott! dzięki Bogu!

Przytuliła się do niego tak ciasno, jakby był dla niej kimś cenniejszym od życia.

Dołączyły do nich inne sylwetki. Hidalgo i DeLuca. podobnie jak Gaines, mieli na sobie peleryny chroniące od deszczu. W jednej chwili znaleźli się koło nich.

- O Boże! - powtórzyła. - Modliłam się, żebyś zdążył. Byłam u nich w niewoli, kapitan Quang... On żyje.

- Wiemy, że żyje, Ann. Wszystko wiemy. Szukaliśmy cię. Potrafiłabyś nas zaprowadzić do niego?

Puściła go i cofnęła się.

- Tak. To niedaleko.

Thu zjawił się nagle nie wiadomo skąd.

- Jesteśmy bardzo blisko plantacji. Tędy - pokazał drogę.

- Tak, tędy - potwierdziła Ann. - Jakiś magazyn, czy co.

- Byłem pewien, że dawno opuszczony - przyznał DeLuca. - Tyle czasu szukaliśmy w tej okolicy jakiegoś tunelu do wysadzenia.

- Nie widziałam, żeby coś kopali - powiedziała Ann. - Mam wrażenie, że był to dla nich tylko punkt zborny. Są bardzo dobrze uzbrojeni.

- Zatrzymamy ich - uspokoił ją Hidalgo. - W bazie mamy pogotowie bojowe, wzmocnione patrole, a Szczur; wszelkiej maści wężą po okolicy. Nie uda im się.

- Jeżeli będziemy mieli szczęście - zauważył Gaines Zabierz nas tam, Ann. Musimy go zamknąć na zawsze.

Wkrótce potem przykucnęli ukryci za drzewami. Barak spoza mgły sprawiał wrażenie całkowicie opuszczonego.

- Nie podoba mi się to - zaczął DeLuca.

- Powinni byli zostawić kogoś do pilnowania rzeczy, chyba, że nie zamierzają wracać - rzekł Hidalgo.

- Jeżeli tak jest rzeczywiście, nie mamy czasu do stracenia - powiedział Gaines.

- Co robimy, poruczniku?

- Ubezpieczajcie mnie - rzucił Gaines. - Sprawdzę, co się dzieje.

Puścił się truchtem w stronę baraku i przypadł do ściany. Potem z gotowym do strzału karabinem wskoczył do środka uchylając się przed oczekiwanym gradem kul.

Ale nikt doń nie strzelał. Gaines wstał i kolistymi ruchami wodził lufą karabinu po wnętrzu magazynu, szukając celu.

W środku było prawie całkiem ciemno, lecz Gaines zauważył po lewej stronie strome wyjście na strych, a po prawej ściankę, za którą kiedyś chyba było biuro. Stamtąd dochodził go bardzo słaby jęk. Jęk człowieka, który umiera i nie ma ludzkiej siły, która mogłaby go uratować.

Gaines nasłuchiwał jeszcze przez kilka chwil, potem zajrzał do biura, gotów w każdej chwili otworzyć ogień.

Gdy zobaczył leżącego na podłodze mężczyznę w mundurze Wietkongu, wrócił do drzwi i zawołał pozostałych, potem wrócił i ukląkł przy konającym.

Miał dwie głębokie rany kłute, a wielka kałuża krzepnącej krwi wskazywała, iż niewiele mu jeszcze pozostało.

- Quang - Gaines powiedział do niego.

Gaines nie mógł opanować zaskoczenia, gdy mężczyzna, zbierając w sobie resztki sił pokazał palcem na drzwi po drugiej stronie magazynu.

Do środka weszli Ann i Thu. DeLuca z Hidalgo zostali na straży.

Gaines nachylił się nisko nad drżącymi ustami mężczyzny.

- Lai Khe... atak... tunel... północna część... kapitan Quang... - wyszeptał i to były jego ostatnie słowa.

- Właśnie on mnie uwolnił - szepnęła Ann i odwróciła głowę. Nie rozumiem... Dlaczego?

- Niektórzy ludzie są całkiem dobrzy, inni zupełnie źli, ale tych jest niewiele - powiedział Gaines. - Nie ma teraz czasu. Jesteśmy niedaleko bazy, a ten chłopak podał nam w przybliżeniu miejsce podkopu. Jak się pospieszymy, możemy ich jeszcze zaskoczyć.

Thu chwycił radiostację.

- Połączę się z bazą.

- Powiedz im, żeby przeszukali jej północną część. Niech żołnierze otoczą podejrzone miejsca, ale niech się zanadto nie zbliżają. Dobrze by było, jakby wystrzelili flary.

- A ty? - zapytała Ann.

Gaines skierował się do drzwi, za którymi stał Hidalgo - Jesteśmy najbliżej wejścia do tunelu - rzucił przez ramię. - Mamy szansę go tam jeszcze zastać. Poza tym czas najwyższy, żebyśmy to załatwili między sobą.

- Pójdę z tobą - zaproponował Thu.

Gaines zatrzymał się.

- Nie. Ann przeżyła dziś więcej, niż kto inny przez całe życie. Załatw dla niej jakiś transport do bazy i zaczekaj z nią, dopóki nie przybędą.

- Sierzancie... - Thu zaczął rozmowę z bazą.

Ann podbiegła nagle do Gainesa, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła z całej siły.

- Powodzenia, żołnierzu.

- Trzymaj się, Annie. Już niedaleko do końca - uścisnął ją i zniknął w strugach deszczu i gęstniejącej ciemności.

Ann podeszła do drzwi i widziała, jak rozmawia przez chwilę z Hidalgo i DeLuca, po czym wszyscy ruszają przed siebie.

Annie... Nigdy jej tak nie nazwał. Podobało jej się to imię w ustach Scotta.

- Uważaj, Scott - powiedziała w ciemność, w stronę, gdzie zniknęli.

Thu skończył rozmawiać i podszedł do niej. On też patrzył w mrok.

- Bardzo chciałbym iść z nimi - powiedział cicho.

- Rozumiem cię.

Nim Quang i ośmioro członków jego drużyny dotarli do wejścia do tunelu, wokół zaległa ciemność. Mżawka zamieniła się w solidny deszcz.

Syn Quanga zatroszczył się o to, by żołnierze, którzy mieli brać udział w akcji zapoznali się dobrze z ukształtowaniem okolicznego terenu i nie mieli kłopotów z odnalezieniem wejścia do tunelu. Tsing poinformował też każdego o jego miejscu i roli w ataku. Poza przyspieszeniem akcji, Quang nie wprowadził do planu żadnych istotnych zmian.

- Wartownicy - rozkazał Quang. - Zająć pozycje.

Trudno było powiedzieć, że w pobliżu znajduje się potężna baza wojskowa. Pofałdowany teren zasłaniał wszystko, włącznie z martwą strefą, którą Amerykanie wycięli z dżungli. Szelest padających gęsto kropli, zagłuszał wszelkie odgłosy z bazy.

Quang dał wartownikom około pół minuty na zajęcie pozycji: trzech ukrytych punktów, skąd mogli ostrzelać każdego, kto chciałby się zbliżyć do wejścia do tunelu w czasie akcji.

Niebo rozjaśniła na moment błyskawica. W jej świetle Quang nie mógł dostrzec wartowników.

- Dobra robota, synu - wyszeptał.

Potem głośniejszym głosem dodał do czekającej piątki.

- Chodźcie za mną.

Potykać się i ześlizgując z pagórka, doszli do wejścia. Zgodnie z planem dwóch odkopywało wejście, a ubezpieczała ich pozostała trójka.

Nagle rozległ się trzask i świst. Na niebie rozbłysła srebrzystobiała flara rzucając pełne światło na Quanga i żołnierzy, mających wejść do tunelu.

Gaines, DeLuca i Hidalgo wspinali się właśnie na pagórek, gdy flara zgasła. Ciemna plama poniżej mogła być wejściem do tunelu, lecz nie mogli być pewni.

Od strony bazy rozległ się znajomy trzask. Druga flara powędrowała w niebo, oświetlając okolicę swym migotliwym blaskiem.

- Jest - powiedział DeLuca.

Gaines z Hidalgo zauważyli coś więcej - ludzkie sylwetki, które mierzyły do nich z karabinów.

- Ognia! - krzyknął Gaines. - Jest ich trzech!

Padli na ziemię, celując w stronę wartowników. Hidalgo zaklął po hiszpańsku.

Wtedy rozpętało się piekło. Amerykanie wybrali sobie cele bez uzgodnienia, lecz efekt był piorunujący.

Gaines ściął serią najbliższego z lewej. Wietnamczyk rozłożył ręce i padł w milczeniu na ziemię.

Broń Hidalgo zacięła się, więc obdarzywszy ją wiązką epitetów, wyjął nóż i podczołgał się jak wąż ku środkowemu wartownikowi. Ten był tak pochłonięty strzelaniem, że nie zauważył napastnika, póki nie było za późno. Hidalgo wytrącił mu broń i powalił na ziemię uderzając ostrzem w najczulsze miejsca.

Po chwili wstał. Deszcz szeleścił kroplami po pelerynie, obmywał ręce i nóż ze świeżej krwi. Odwrócił ciało na plecy.

Dziewczyna. Nastolatka. Patrzyła nań szklistym, oskarżycielskim wzrokiem. Martwym wzrokiem.

Przestań, powiedział do siebie Hidalgo. Do roboty.

Dołączył do DeLuki i Gainesa, naradzających się przed wejściem do tunelu.

- Są już w drodze - mówił Gaines. - Lada chwila znajdą się w bazie.

- Miejmy nadzieję, że chłopaki po drugiej stronie zrobią, co do nich należy - powiedział Hidalgo.

- A my, po naszej stronie dokończymy tego, cośmy zaczęli - wyszczerzył zęby DeLuca. - Tunel jest jeszcze ciepły, taki, jakie lubimy najbardziej.

- Zapraszam was do rock and rolla - powiedział Gaines.

DeLuca tylko na to czekał. Pierwszy dał nura w błotnistą dziurę i zniknął im z oczu.

Strzelanina dochodząca spoza północnej części bazy zwróciła uwagę wszystkich żołnierzy przypisanych do tego rejonu po tym, jak Thu zameldował do bazy, że właśnie tam znajduje się wyjście z tunelu.

Carter zostawił w swym bunkrze młodszego oficera, a sam wybiegł z karabinem na zewnątrz. Nie mógł siedzieć beczynn timer, gdy inni nadstawiali karku.

Cholerny Wietkong, pomyślał. Zabezpieczasz rejon, wydaje ci się, że wszystko w porządku, a pieprzony Wietkong jakby nigdy nic robi podkop.

Wcześniej zażądał zatrzymania majora Dow. Policja wojskowa Armii Republiki Wietnamu tym razem nie ociągała się, ale jeżeli Dow rzeczywiście maczał w tym palce, dawno powinno go nie być w bazie, bo teraz wszystkie podejrzenia padłyby na niego.

Carter odwrócił się i zobaczył dwie ubrane na czarno sylwetki - wybiegające z jednego z bunkrów w części bazy zajmowanej przez Wietnamczyków. Bunkier majora Dow!

Oczywiście, pomyślał Carter. Ostateczne potwierdzenie tego, w co nie chciał wierzyć. Major Dow winny był zdrady.

Wietnamczycy ostrzelali swe przedpole i mieli zamiar ruszyć do przodu, gdy seria z karabinu Cartera podcięła im nogi i zwałili się bezwładnie w błoto.

Znajdujący się w pobliżu żołnierze natychmiast dostrzegli, skąd rozpoczął się atak i gdy ich oczom ukazał się kolejny napastnik, nie dali mu nawet czasu otworzyć ognia zasypując go gradem kul. Skoncentrowane serie M-16 sprawiły, że częściowo zawałiło się wejście do tunelu. Carter i wszyscy inni zeszli ze swych pozycji biegnąc w stronę wejścia do tunelu.

Atak w tym kierunku został powstrzymany, powiedział do siebie Carter. Kapitan Quang stracił ochotę do dalszej walki i będzie się wycofywał w stronę wyjścia, poza bazą.

Prosto w ramiona Szczurów.

Tunel był szerszy niż zazwyczaj, by oddział bez kłopotu mógł zabrać ze sobą długą broń. Niepomierne ułatwiało to zadanie Szczurom. Amerykanie zostawili jednak karabiny przy wejściu. Mieli zamiar rozegrać ostateczną bitwę w tunelu, w przeciwieństwie do żołnierzy Wietkongu. Doświadczenie nauczyło ich, że szybkość przemieszczania się po

podziemnych korytarzach była najważniejsza.

Każdy z nich miał ze sobą pistolet i latarkę. Przykucnięci, szli naprzód tak szybko, jak było to możliwe, badając każdy fragment korytarza, czy nie kryje się gdzieś pułapka. Hidalgo żałował, że nie da się szybciej. Co parę kroków ocierał czoło i oczy z potu pomieszanego z ziemią. Widok twarzy kobiety, którą zabił, nie opuszczał go ani na chwilę.

Po jakichś stu metrach tunel zakręcał w lewo.

- Oto i oni - szepnął DeLuca.

Zza zakrętu dobiegło ich sapanie i po chwili ukazały się im dwie ubrane na czarno sylwetki. Obie wycelowały prosto w Amerykanów. Ci nie mieli wyboru, musieli najpierw upewnić się, czy nie są to ich koledzy z bazy, którzy w ferworze walki zapuścili się aż tak daleko. Nim jednak zakończyli identyfikację, kule zaczęły im świstać koło uszu.

Hidalgo i DeLuca odrzuciwszy na bok latarki przypadli do ziemi strzelając ze swych pistoletów. Grzmot karabinów urwał się i dwa martwe ciała zwały się z nóg.

Kaszłąc od ostrego dymu, Hidalgo pomacał w ciemności za latarką. Trzymając ją z dala od swego ciała, poświecił przed siebie. Dym otaczający dwóch zabitych żołnierzy był prawie tak gęsty jak mgła, lecz Hidalgo zdążył dojrzeć przestraszoną twarz trzeciego, która natychmiast schowała się za załomem korytarza.

Hidalgo uśmiechnął się.

- W porządku.

DeLuca wyjął z pochwy nóż, schował pistolet i ruszył w kierunku ostatniego z żołnierzy. W chwilę później rozległ się piskliwy, urywany krzyk.

Sierzant wrócił chowając nóż na miejsce.

- Za bardzo ci się to wszystko podoba, Frank - powiedział Hidalgo.

- Pierdolisz - odparł filozoficznie DeLuca. - Chodźmy zobaczyć, co słyhać u porucznika.

- Pewnie coś ważnego, inaczej nigdy by nie przepuścił takiej okazji jak ta - zauważył Hidalgo.

Obaj odwrócili się i zaczęli wycofywać drogą, którą przyszli.

- Widzę majora Dow! - zawołał Gaines do tunelu w ślad za DeLuca i Hidalgo kilka minut wcześniej. - Idę za nim!

Nie był pewien, czy go usłyszeli, bo w tej samej chwili zagrzmiało. Flara powoli wypalała się, lecz jej niepewne światło wystarczyło Gainesowi, by zidentyfikować majora Van Dow.

Biegnący cień pośliznął się i upadł z wyciągniętymi przed siebie rękami, po czym

natychmiast wstał i pobiegł dalej, obejrzwawszy się za siebie. Dzięki temu Gaines mógł go rozpoznać. Nie tracąc czasu Amerykanin zarzucił karabin na ramię i rzucił się na majora. Zwalił go z nóg atakiem na kolana, jak w rugby, nim Wietnamczyk zdążył ukryć się w dżungli.

Wyciągnął pistolet i odwrócił majora na plecy.

- A teraz, majorze, wraca pan sam do bazy, czy mam pana jakoś przekonać? Nie zgadza się pan? Proszę bardzo. Nawet się z tego cieszę.

- O... co chodzi? - wystękał Dow drżącym głosem. - Nie wiedziałem, że to pan, poruczniku - próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego bardzo dziwny grymas. - Właśnie wracam do bazy. Nie wiem, co się mogło stać i chciałem się dowiedzieć. Czy baza jest atakowana?

- Może pan sobie darować. Był pan szpiegiem nasłanym przez Quanga i współpracował pan z Xongiem, który był waszym łącznikiem. Bez pańskiej wiedzy nie miałby tyle swobody.

- Ale to właśnie ja pierwszy zameldowałem, że kapitan Quang żyje! - zaprotestował Dow. - Ja zastrzeliłem Xonga. Nie jestem szpiegiem!

- Dowiedzieliśmy się o tym tylko dlatego, że prędzej czy później ktoś by nam powiedział, poza tym chciał się pan zabezpieczyć. A Xonga zastrzelił pan, żeby się nie dostał w nasze ręce. Wiedział pan, że od razu wskaże na swego zwierzchnika. Równie dobrze mógł go pan przecież zranić. Mówiłem wyraźnie, że chcemy go żywego. A teraz - Gaines czuł, jak wzbiera w nim gniew - zabieram cię, śmierdzielu, do bazy. Tam nam wyśpiewasz wszystko, co wiesz. Kapitan Quang ma chyba jeszcze innych szpiegów w bazie.

- Nic wam nie powiem.

- Powiesz. Jeszcze się nie znasz. Pomożesz nam też znaleźć Quanga. A teraz ruszaj, póki jeszcze możesz.

Dow dziwnie nań spojrział. W świetle nowej flary Gaines zorientował się, że major coś zauważył.

Chłodna lufa dotknęła karku Gainesa.

- Tu jestem, poruczniku - odezwał się Ngai Quang. - Rzuć broń i stań obok majora.

Gaines posłuchał.

Dow ze zdziwieniem zauważył, że Quang mierzy do ich obydwu.

- Cieszę się, że pana widzę, kapitanie Quang. Myślałem, że jest pan w tunelu.

- Byłbym, gdyby Amerykanie nie wystrzelili flary - odparł Quang po angielsku. - W ostatniej chwili zdałem sobie sprawę, że to nie ma sensu. Plan mojego syna nie powiódł się,

całe tygodnie pracy poszły na marne. Amerykanie wszystko wiedzieli o ataku. Zaraz po wyjściu z tunelu zabiliby nas - wbił ciężki wzrok w Gainesa. - Nie mógłbym dołączyć do swych przodków, gdybym najpierw nie policzył się z tobą. Wiedziałem, że ty stoisz za tym wszystkim, że ty odpowiadasz za fiasko tej akcji. Teraz nadszedł czas ostatecznych rozrachunków. Umrzesz, Gaines i mój syn będzie pomszczony.

- Kapitanie Quang, a co ze mną? - spytał Dow.

- Z tobą? - zapytał z ironią Quang. - Ty też z nim pójdiesz.

Postaraj się to jakoś przedłużyć, mówił sobie Gaines, graj na czas. Może DeLuca i Hidalgo zdecydują się wrócić i sprawdzić, co się z nim dzieje. Wlepił wzrok w karabin Quanga, lecz odezwał się do Dowa.

- Zastrzeli cię z tego samego powodu, co ty zabiłeś Xonga. Jakież to romantyczne, prawda?

Dow spoglądał na Quanga z rosnącym przerażeniem. Zrobił krok do przodu, podnosząc ręce do góry w błagalnym geście.

- Nie, kapitanie Quang! Byłem lojalny...

Kula z karabinu Quanga rozpruła mu brzuch.

Gaines był świadom ciszy, jaka zaległa dookoła po deszczu. Słychać było tylko cichy plusk wody, spływającej po niezliczonych liściach.

- Nadszedł czas zapłaty, jak mówicie wy, Amerykanie - powiedział kapitan złowróżbnym głosem.

Gaines po raz ostatni rzucił okiem na wejście do tunelu w gasnącym świetle flary. Nikogo.

Rzucił się dziko na bok, by przynajmniej spróbować walczyć o życie.

Seria z karabinu przysłała wcześniej, niż oczekiwał. Poczul, jak opuszcza go napięcie, lecz wylądował na ziemi cały i zdrowy, co trochę go zdziwiło. Przewrócił się na bok gotów do skoku sądząc, że Quang po niecelnym strzale będzie się starał wymierzyć dokładniej.

Wtedy ujrzał, jak Quang wali się na twarz. Tył jego głowy wyglądał w świetle flary jak masa błyszczącej, czarnej galarety. Padł u samego wejścia do tunelu, skąd wynurzyli się DeLuca i Hidalgo, trzymając w dłoniach pistolety. Wyprostowali się, rozejrzeli dookoła i podeszli do Gainesa.

Gaines nie rozumiał. Strzał musiał pochodzić z karabinu.

Wtedy z ukrycia wyszedł Bok Van Thu z M-16 gotowym do następnego strzału. Przy nim kroczyła Ann z pistoletem Thu.

Gaines uśmiechnął się. Nie mógł wyjść z podziwu nad odwagą Ann, lecz przede

wszystkim cieszył się, że żyje.

- Myślałem, że wy dwoje zostaniecie na plantacji i zaczekacie na posiłki.

- Wydawało nam się, że posiłki mogą nie nadejść - wyjaśniła Ann. - Jak to ujął kapitan Quang, nadszedł czas zapłaty.

- Próbowałem ją zatrzymać - zaczął Thu - ale nie potrafię sprawić, by kobieta usłuchała rozkazu.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Gaines. - Żaden mężczyzna nie potrafi. Dziękuję wam.

W okolicy zaroilo się od żołnierzy. W górze pojawiło się kilka helikopterów, oświetlając reflektorami skraj dżungli i wypełniając ciche powietrze nocy pulsującym brzmieniem swych silników. Oddziały otoczyły rejon i rozpoczęły prace zabezpieczające.

Nikt nie zatrzymywał Szczurów ani Ann Bradley, gdy ruszyli spokojnym krokiem do bazy.

Grzmot przetoczył się z hukiem za horyzontem. Znów zaczęło padać.